

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Kto stoi za Konfederacją?
- Nacjonaliści idą po Hiszpanię
- Co znaczy być Polakiem w USA?
- Matki wagnerowców • PiS kusi, choć kampanii jeszcze nie ma



WYSOKIE
OBCASY

**Paula Rakowska,
Dominika Kasińska**
Tam, gdzie nasz świat



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza

NIE MA WOLNYCH BEZ SOLIDARNOŚCI

Znieczulone dolary



Afera
farmaceutyczna:
600 tysięcy ludzi
zmarło już w USA

RYŚ: JACEK GAWRONSKI

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Wojny krymskie

Dla cara Mikołaja I wojna
krymska okazała się klęską.
Swoją przegrywa też Putin



Wyzwolenie ambasadora

Gdy Romuald Spasowski dowiedział się
o rzezi w kopalni Wujek, powiedział sobie:
„Krwi robotniczej nie daruję...”

Dominika
Wantuch

Obława na hasło „aborcja”

Policjanci otoczyli kobietę, utrudniając pracę lekarzy. Wyjęli jej z torby laptopa, choć nie mieli pozwolenia, kazali oddać telefon. Policjantki weszły z kobietą do gabinetu, by – bez przyczyny – przeprowadzić kontrolę osobistą. Kazaly się rozebrać, zdjąć bieliznę, robić przysiady, kaszleć, pacjentka nie chciała, bo krwawiła, musiała słuchać, że jest przestępcą. Potem policjanci dodali, że zachowywała się chaotycznie, sugerowali niestabilność emocjonalną, przekonywali, że od kobiety czuć było woń alkoholu.

Ta historia wydarzyła się naprawdę, w nocy z 27 na 28 kwietnia w Krakowie. Pani Joanna została tak potraktowana przez policję, gdy powiadomiła swoją lekarzkę psychiatrę, że czuje niepokój i jest rozbita psychicznie. W zaufaniu przyznała, że zażyła tabletki poronne. Lekarzka zadzwoniła na numer alarmowy 112.

Do domu Joanny przyjechało jednak nie tylko pogotowie, by ratować jej życie, ale i policja. Pierwszy, drugi, trzeci, kolejny patrol towarzyszyły kobiecie w drodze na

SOR, na izbie przyjęć, w gabinecie ginekologicznym, bo zrobiła coś, co w Polsce NIE jest karalne – kupiła i zażyła środki poronne. Na hasło „aborcja” urządzono jednak obławę.

Jak bardzo zdeterminowani są policjanci, by wykazać się przed PiS?

Nie pierwszy to raz, gdy policja pokazuje, że kobiety ma za nic, i ściga za aborcję. Jak bardzo są zdeterminowani policjanci, by wykazać się przed pisowskimi dygnitarzami?

Policjanci wypompowują szamba, by znaleźć martwy płód, przekopują ogródki, przeszukują domy i okolice zamieszkania. Tak np. było w Częstochowie niespełna rok temu, gdy lekarze stwierdzili, że 17-latką mogła być w ciąży, i zawiadomili policję. Policja kontroluje organizację kobiece, by wylapywać sprzedaż tabletek. Chce dotrzeć do kobiet, które wykonały aborcję, wzywa na przesłuchania, sprawdza mężów, partnerów, ojców, koleżanki, matki, przyjaciółki. Może któraś ją namówiła? Może przelała pieniądze, może asystowała... Policja sprawdza dokumentację medyczną szpitali, bo a nuż coś wzbudzi podejrzenie. Tak było np. w przypadku mojej koleżanki, która mieszka za granicą. Podczas odwiedzin u rodziców w Polsce poroniła. Wezwanie na przesłuchanie w sprawie „tajemniczej” śmierci płodu przyszło aż do Szwajcarii...

To tylko kilka ujawnionych historii, w których kobiety padają ofiarami policji czy lekarzy. Jedni i drudzy ślubowali pomoc. ●

Więcej ► Wyborcza.pl

Andrzej rysuje



Kalifornia Karuzelowe chłodzenie



Turyści w upalnym słońcu latają na karuzeli Sky Flyer na targach w Costa Mesa w Kalifornii. Temperatury już drugi tydzień osiągają tam nawet 50 stopni, dlatego letnicy uciekają na wybrzeże, gdzie jest nieco chłodniej. **Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu do Wyborcza.pl



- WSL2307**
- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynekod
 - 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
 - 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
 - 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 22.07.2023 r. do 23.07.2023 r.

Miłość do Konfederacji



18-latkowie będą głosować na Konfederację, bo chcą wygodnie żyć, a najbardziej cenią spokój, rodzinę i miłość

Więcej
► Wyborcza.pl

Agresywna skamielina Ssaki, czyli łowcy dinozaurów



Panowanie dinozaurów skończyło się wraz z upadkiem planetoidy, która 66 mln lat temu uderzyła w okolicę dzisiejszego półwyspu Jukatan. Ze świata dinozaurów przetrwały tylko ptaki, ich potomkowie, a Ziemię opanowały ssaki.

Ale wiadomo też, że ssaki polowały na dinozaury, bo w ich żołądkach znajdowa-

no dinozaurze kości. W najnowszym wydaniu pisma „Scientific Reports” naukowcy z Chin i Kanady opisyją skamieniałe szczątki splątanych w boju dwojga zwierząt – roślinożernego dinozaura wielkości dużego psa i mniejszego drapieżnego ssaka przypominającego rozmiarami borsuka – sprzed 125 mln lat, czyli z wczesnej kredy. Mały ssak siedzi na grzbiecie dużego dinozaura, przygważdza-

jąc go do ziemi. Jedną z tylnych łap trzyma łapę ofiary. A zęby zaciska na jej boku.

– To mocne dowody wskazujące na atak – uważa współautor publikacji dr Jordan Mallon z Kanadyjskiego Muzeum Historii Naturalnej w Ottawie.

Atak „małego na dużego” nie powinien zresztą dziwić. I dziś drapieżniki są często mniejsze od roślinożerców, na które polują. ●

Tomasz Ulanowski

W „Dużym Formacie”

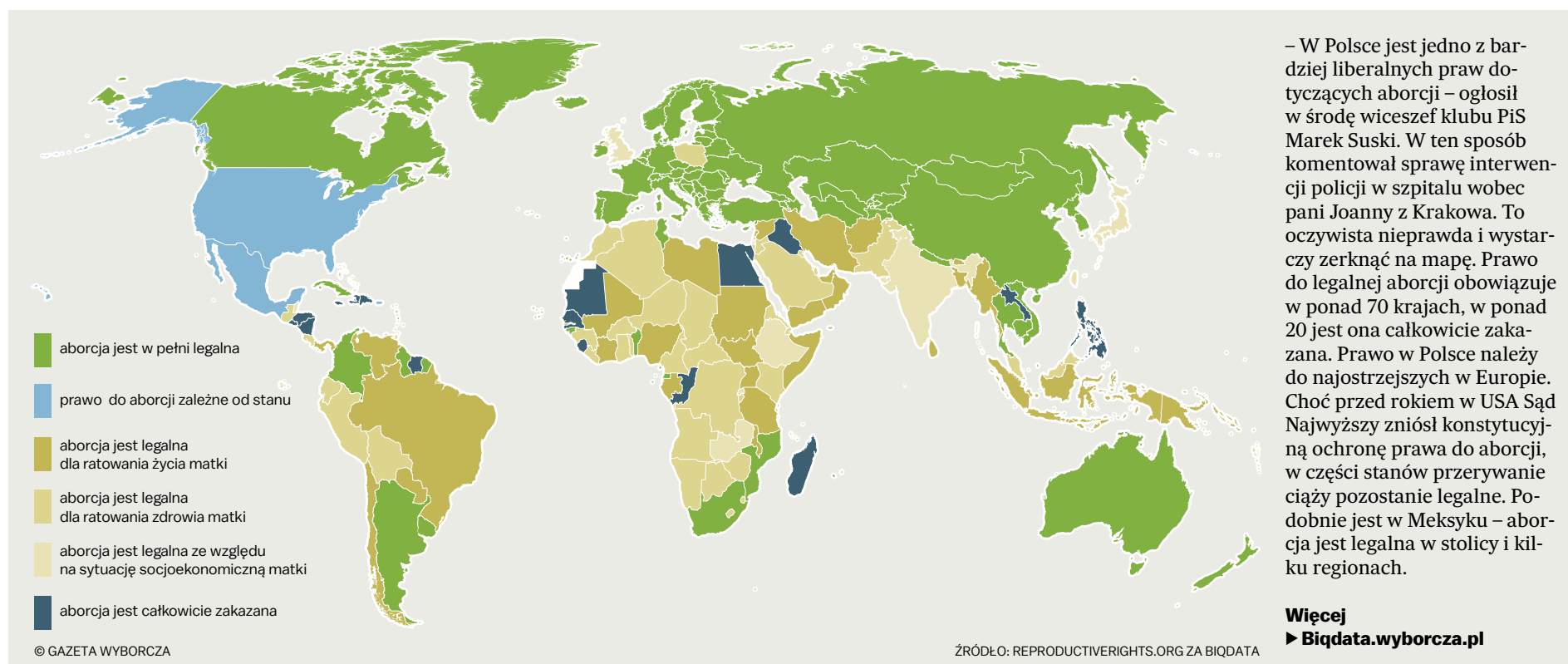
Dom w ślepej uliczce

Po karetkę zadzwoniła Anna, najmłodsza z rodzeństwa, wtedy szesnaście lat. Ojciec leży pod schodami w domu, nie daje znaków życia, może spadł ze schodów, powiedziała, tak go znaleźliśmy, gdy wróciliśmy, dodała.

Reportaż Pawła Piotra Reszki



Wykres tygodnia Oczywista prawda



– W Polsce jest jedno z bardziej liberalnych praw dotyczących aborcji – ogłosił w środę wiceszef klubu PiS Marek Suski. W ten sposób komentował sprawę interwencji policji w szpitalu wobec pani Joanny z Krakowa. To oczywista nieprawda i wystarczy zerknąć na mapę. Prawo do legalnej aborcji obowiązuje w ponad 70 krajach, w ponad 20 jest ona całkowicie zakazana. Prawo w Polsce należy do najostrzejszych w Europie. Choć przed rokiem w USA Sąd Najwyższy zniósł konstytucyjną ochronę prawa do aborcji, w części stanów przerywanie ciąży pozostanie legalne. Podobnie jest w Meksyku – aborcja jest legalna w stolicy i kilku regionach.

Wakacje ósmoklasisty: dwa miesiące stresu

Przeklęty rocznik

Im lepszy uczeń, im ciężiej pracował, tym większe nerwy i tym trudniej się dostać do wymarzonej szkoły

Drelich

ROZMOWA ZE
SŁAWOMIREM DRELICHEM
dyrektorem liceum i etykiem

AGNIESZKA URAZIŃSKA: Jak przebiega rekrutacja do szkół średnich? SŁAWOMIR DRELICH: W tym roku nauczyciele mają dużo więcej pracy, a uczniowie dużo więcej stresu. Wszystko przez podwójny rocznik – jest o 40 proc. więcej uczniów.

Dzieci i rodzice mają świadomość, że do wymarzonych szkół trudniej się dostać, więc atmosfera jest nerwowa.

A system jest bezwzględny.

– Każdego ucznia przelicza na punkty. Jest określona liczba punktów za konkretną ocenę na świadectwie, wedle algorytmu przeliczane są wyniki egzaminu. Są punkty za osiągnięcia w konkursach przedmiotowych, za wolontariat i świadectwo z wyróżnieniem. Kryteria dla wszystkich te same.

Ale dość skomplikowane.

– Na pewno są przejrzyste, ale trzeba się z nimi zapoznać na długo przed rekrutacją. A wielu uczniów i rodziców nie wie na przykład, że nie liczą się wszystkie oceny ze świadectwa, tylko te brane pod uwagę w konkretnej klasie.

Trzeba sobie opracować strategię.

– Przyda się. Bo po co walczyć o ocenę celującą z polskiego, skoro wybieramy się do biol-chemu, gdzie polskiego pod uwagę nie biorą? Lepiej się skupić na biologii i chemii albo na przygotowaniach do egzaminu ósmoklasisty.

Chyba że nam brakuje do paska.

– Tak, za świadectwo z wyróżnieniem, czasem obśmiewane, otrzymuje się znaczącą liczbę punktów.

I wolontariat – słynne trzy punkty!

– Mam wysyp nastoletnich wolontariuszy, bo do obleganych szkół liczy się każdy punkt. Mam nadzieję, że nasza rozmowa będzie wskazówką dla tych, którzy we wrześniu zaczną ósmą klasę, oraz dla ich rodziców. To jest odpowiedni moment, żeby zając się gromadzeniem wiedzy na temat rekrutacji. Teraz, a nie wiosną.

Trzeba to przypominać?

– I tu mam zastrzeżenia do podstawówek. Jest taki przedmiot jak doradztwo zawodowe. Tam uczeń powinien się dowiedzieć, jak przebiega rekrutacja, jak obliczać punkty. To ważne życiowe decyzje i należy podejmować je z jak najlepszym przygotowaniem. A ja spotykam uczniów, którzy nie wiedzą, jak się zarejestrować. Mój siostrzeniec na doradztwie zawodowym dowiedział się trochę o szkołach średnich, ale gdy przyszło do rejestracji, dzwonił, co ma robić.

Nawet jeśli uczeń doskonale się w systemie orientuje, to i tak wpada w niego na dwa miesiące z wieloma niewiadomymi. Gdy składa papiery, zna tylko oceny ze świadectwa, nie wie, jak wypadł na egzaminie. A gdy na początku lipca poznaje wyniki i wie, ile ma punktów – nie ma pojęcia, jakie wyniki mają inni. Wie, ile punktów trzeba było zdobyć w wymarzonej szkole rok

Mam nadzieję, że nasza rozmowa będzie wskazówką dla tych, którzy we wrześniu zaczną ósmą klasę. Teraz jest moment, żeby zając się gromadzeniem wiedzy na temat przyszłorocznej rekrutacji

wcześniej, ale nie wie, czy to wystarczy w tym roku.

– To dwa miesiące życia w stresie, bo niewiadomych jest wiele. Punkty z poprzedniego roku mogą być tylko wskazówką. Uczniowie stają się zakładnikami bieżącej koniunktury. Są pewne kwestie oczywiste, jak to, że dana szkoła jest renomowana. Ale liczba kandydatów może się zmieniać, egzaminy mogą pójść lepiej lub gorzej, a do tego zdarzyła się jeszcze kumulacja roczników. Jest różnica, czy o miejsca w 30-osobowej klasie ubiega się 70, czy 90 osób.

A bywa 150. Jak tu się nie stresować?!

– Trzeba też wziąć pod uwagę, że do klasy, która jest dla nas pierwszym wyborem, może się dostać uczeń, dla którego była drugim lub trzecim wyborem, ale miał więcej punktów. Weźmy przykładowego Jasia, któremu wychodzi w rekrutacji 170 punktów. To bardzo dobry wynik. Ale jakiś inny Adaś zaznał klasę o analogicznym profilu i tam się nie dostał, a klasa wybrana przez Jasia to jego kolejny wybór. Jaś, ze swoim świetnym wynikiem, ustępuje miejsca Adasiowi. Nie ma zmiłuj.

Tegoroczni ósmoklasiści mówią o sobie „przeklęty rocznik”.

– Rzeczywiście mają trudno. Jeśli wiemy, że w tym roku jest 140 proc. typowego rocznika, to aby uczniowie mieli porównywalne szanse, powinno przybyć 40 proc. miejsc w szkołach – i to nie po prostu w szkołach średnich, ale równomiernie w tych renomowanych liceach. A to niemożliwe. W mojej szkole zazwyczaj otwieramy pięć oddziałów. Tym razem, statystycznie rzecz ujmując, powinniśmy stworzyć dodatkowe dwie klasy, ale ograniczenia lokalowe i kadrowe pozwoliły utworzyć jedną.

Wychodzi na to, że system jest stresujący głównie dla najlepszych uczniów

– którzy nie chcą gdziekolwiek, tylko do dobrej szkoły marzeń.

– Chciałbym się nie zgodzić, ale nie mogę. Szczególnie w tym roku poprzeczka poszybowała. Wprawdzie rekrutacja jeszcze się nie skończyła, ale już wiadać różnicę. W mojej szkole jest klasa cyber-mil, gdzie skupiamy się na nauce informatyki pod kątem cyberbezpieczeństwa, do której przyjmujemy po 15 osób, a warunkiem jest uzyskanie 150 punktów. Dwa lata temu, w pojedynczym roczniku, przyjęcie gwarantowało uzyskanie 160 punktów. Patrząc na bardzo dobre wyniki tegorocznych kandydatów, mogę przewidywać, że ten próg w tym roku będzie znacznie wyższy. Zobaczmy, jak będzie, gdy system elektroniczny wszystko przeliczy i przemieli. Ale jeśli ten próg wzrośnie, to okaże się, że do klasy nie dostanie się wielu świetnych uczniów.

Mówią, że trudne czasy tworzą silnych ludzi.

– Złość mnie ogarnia, bo tę kumulację dało się przecież przewidzieć przy wprowadzaniu reform oświatowych kilka lat temu. Dopuszczono do sytuacji, że system edukacji nie jest w stanie „przemieścić” uczniów. I mamy nie tylko bałagan, mamy narastający stres. Bo gdy pod koniec lipca większość uczniów pozna ostateczne wyniki, dopiero zaczynają się nerwy – gdyż ci, którzy nie dostali się tam, gdzie chcieli, będą szukali miejsca. Radzę, by nie czekać, aż kuratorium ogłosi na stronie listy wolnych miejsc, tylko żeby szukali na własną rękę i dzwoniли do szkół. Zdarza się, że uczeń rezygnuje ze szkoły i zwalnia się miejsce. Warto pytać, warto pisać odwołania, warto się starać. ●

Sławomir Drelich – politolog, etyk, adiunkt na Wydziale Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie UMK w Toruniu, dyrektor ILO im. Jana Kasprówicza w Inowrocławiu

Z PRAWNIKAMI SYLWIĄ GREGORCZYK-ABRAM*, MARIĄ EJCHART**, PAULINĄ KIESZKOWSKĄ-KNAPIK*** | MICHAŁEM WAWRYKIEWICZEM**** ROZMAWIA DOROTA WYSOCKA-SCHNEPF

Jest wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie sędziego Igora Tuleya i nękania go przez wiele lat przez obecne władze. Sędzia Tuleya może dzisiaj triumfować, państwo – jego pełnomocnicy – też?

SYLWIA GREGORCZYK-ABRAM: Sprawa dotyczy uchylecia mu immunitetu i zawieszenia go w wykonywaniu zawodu sędziego przez nielegalnie działającą Izbę Dyscyplinarną, ale też wielu środków represyjnych stosowanych wobec niego, które zmierzały do pozbawienia go prawa do wypowiedzania się w obronie praworządności.

Państwo zaangażowało potężne siły i środki, aby go po prostu zniszczyć.

MICHAŁ WAWRYKIEWICZ: Sędzia Tuleya stał się ikoną obrony praworządności. Aparat represyjny skupił się na nim. Był przedstawiany jako wróg publiczny numer jeden.

Podziało.

M.W.: Oczywiście. Zdarzało się, że ktoś napluł na niego na ulicy, że był zwyzywany.

MARIA EJCHART: Mam wrażenie, że jego sprawa była dla władzy testowa. Na nim pierwszym sprawdzano nowe, nieczyste środki i zagrania. Zaczęło się od postępowań wyjaśniających za wypowiedzi medialne, spotkania z młodzieżą, a nawet za zadanie pytań prejudycjalnych w Trybunale Sprawiedliwości UE.

Postępowania wyjaśniające to częsta forma represji. Jeszcze nie masz zarzutów, jeszcze nie wiemy, czy ci je postawimy, nie wiadomo, czy będziesz miał proces, ale jesteś zwyzywany na przesłuchania. Takich postępowań Igor Tuleya miał osiem, a ich celem jest utrzymywanie sędziego w zawieszaniu i niepewności, co będzie dalej.

To one nadal trwają?

M.E.: Tak. Część z nich nadal się toczy, choć od dawna nic się w nich nie dzieje.

To jest ten efekt mrozący?

M.E.: Który w przypadku sędziego Tuleya nie zadziałał, ale wielu sędziom mógł zamknąć usta. Sędziowie, wiedząc, że mogą ich spotkać represje, mogą nawet podświadomie chcieć uniknąć rozstrzygnięć, które są dla władzy niewygodne. Dotyczy to np. zatwierdzenia tymczasowego aresztowania, zgody na inwigilację czy oddalania powództw obywateli przeciwko skarbowi państwa. Widzieli, że sędziego Tuleya spotykały też bezpośrednie szykany w miejscu pracy, czyli w sądzie. Nie tylko był zawieszony i miał obniżone wynagrodzenie, ale też nie mógł prowadzić dodatkowych zajęć w szkołach wyższych. Innym odważnym sędziom trałowano akta, szukano powodów do dyscyplinarek.

Pierwszą kostką domina był rok 2016 i tzw. sprawa uchwalenia budżetu w Sali Kolumnowej. Aby ominąć protest posłów PO i Nowoczesnej, marszałek Kuchciński przeniósł posiedzenie do Sali Kolumnowej, gdzie przegłosowano przyszłoroczny budżet państwa bez kworum i nie dopuszczając opozycji do głosu. A sędzia Tuleya podpadł, bo po zażaleniu posłów PO uchylił decyzję prokuratury o umorzeniu tej sprawy.

PAULINA KIESZKOWSKA-KNAPIK: Myślę, że sędzia Tuleya był na celowniku od samego początku, dlatego że wydał wiele odważnych wyroków. Na przykład w sprawie doktora Garlickiego – w uzasadnieniu ostro skrytykował działania CBA, kierowanego przez Mariusza Kamińskiego, stwierdzając m.in., że działania Biura budzą skojarzenia z czasami stalinizmu.

Źródłem sprawy, która zakończyła się wyrokiem ETPC, było postanowienie wydane przez sędziego Tuleya w sprawie posiedzenia Sejmu przeniesionego do Sali Ko-



6. urodziny Wolnych Sądów

WYSZŁA IM TA REFORMA PRZEGRALI WSZYSTKO

Skutki zamachu na niezależne sądy, represji i szykan: sędziowie z Polski i Unii się zjednoczyli i kształtują standard europejskiej praworządności na następne kilkadziesiąt lat

lumnowej, aby głosować nad budżetem. Prokuratura zarzuciła sędziemu ujawnienie i rozpowszechnianie informacji z postępowania przygotowawczego – a chodziło o to, że przeczytał postanowienie publicznie. Do czego miał prawo, a czemu nie sprzeciwił się prokurator będący na sali.

Igor Tuleya jest po prostu symbolem i chciano innych sędziów przestraszyć.

Swoją drogą ciekawe, co się działo dalej z tą sprawą?

M.E.: Wróciła do prokuratury i została ponownie umorzona.

S.G.A.: To nie było postępowanie dyscyplinarne. Prokuratura chciała postawić sędziemu zarzut popełnienia przestępstwa nadużycia uprawnień przez funkcjonariusza publicznego. Chciała zrobić z pana sędziego przestępcę, stąd wniosek o uchylecie immunitetu. W całym arsenale środ-

ków represyjnych, który jest teraz bardzo szeroki, ten jest najdalej idący.

Taka broń atomowa?

M.E.: A przecież sędzia Tuleya orzeka w sprawach karnych – i nagle on się staje kryminalistą!

M.W.: I ten immunitet uchyliła mu Izba Dyscyplinarna, oczywiście nielegalnie, a prokuratura prowadziła postępowanie dalej – próbowała go wezwać na przesłuchanie. Była obawa, że zostanie doprowadzony siłą.

Ale chyba władze przestraszyły się – być może tego ikonicznego wizerunku i wymiaru sprawy sędziego Tuleya – bo ostatecznie nie tylko nie odważyły się użyć siły, lecz także przywróciły go do pracy.
S.G.A.: Co nie zmienia faktu, że prokuratura formułowała wniosek o doprowadzenie

sędziego – w przysłowiowych kajdankach – do samego końca.

M.W.: A wrócił do orzekania w sądzie nie dlatego, że prokuratura odpuściła. Po likwidacji Izby Dyscyplinarnej sprawą zajęli się prawidłowo powołani sędziowie, którzy nie mieli wątpliwości, że sędzia Tuleya nie popełnił przestępstwa, a działanie Izby Dyscyplinarnej było bezprawne. Równocześnie rząd, chcąc uzyskać środki z Krajowego Planu Odbudowy, zgodził się na warunki Komisji Europejskiej, by przywrócić do orzekania zawieszonych sędziów. Co zresztą było wielkim sukcesem, bo dowiodło skuteczności instytucji europejskich oraz skuteczności nacisku środowiska prawniczego i obywatelskiego. A same zawieszania były bezprawiem w biały dzień.

Tuleya jest ikoną represji wobec sędziów, ale Wolne Sądy zajmują się wielo-



• Sędziowie Igor Tuleya, Waldemar Żurek i Paweł Juszczyński protestują pod siedzibą Sądu Najwyższego przeciwko próbie uchylecia immunitetu sędziemu Tulei przez Izbę Dyscyplinarną SN, plac Krasieńskich w Warszawie, czerwiec 2020 r.

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

ści sądownictwa w Polsce. Koniec końców powstały bardzo silne alianse pomiędzy europejskimi organizacjami sędziowskimi. To dorobek dla całej Europy.

S.G.A.: A linia jest taka, że rząd, proszę państwa, przegrał do tej pory wszystko, co mógł przegrać przed europejskimi trybunałami. Po prostu.

M.W.: I to też jest bardzo ważne dla przyszłości Europy, bo tu się wykuwa standard. Prezes TSUE był niedawno w Gdańsku na Kongresie Prawników Polskich i potwierdził, że wyroki w sprawach polskich tworzą unijny standard niezależności sądownictwa na następne kilkadziesiąt lat.

Ale też nie wszyscy sędziowie stanęli na wysokości zadania. Sędzia Tuleya powiedział kiedyś: „Kto miał się ześwinić, to się już ześwinił”. Czy można oszacować, jaka część środowiska prawników stanęła w obronie praworządności, a jaka umyła ręce?

M.E.: Zawsze nieliczni walczą i nieliczni forsują zmiany. Ale co innego się liczy. Nieliczni są na przędzie, nieliczni są na tyle, a najliczniejszy zawsze jest środek. I teraz pytanie, w którą stronę ten środek się przechyla. W przypadku sędziów nie mamy wątpliwości, że poparcie dla rządów prawa jest ogromne.

S.G.A.: Czy można zmierzyć, kto postąpił niewłaściwie? W pewnym sensie tak, bo w neo-KRS są wszystkie wnioski o awanse do sądu drugiej instancji czy do Sądu Najwyższego – to jest mierzalne. Tych sędziów oceni kiedyś historia, a wcześniej środowisko.

P.K.K.: Ale to kilkaset osób, a nie tysiące.

Czyli niewiele?

M.W.: Były badania, kilka anonimowych ankiet wśród sędziów i zawsze powyżej 90 proc. z nich twierdziło, że neo-KRS nie jest organem konstytucyjnym i wszystkie powołania dokonane z udziałem neo-KRS są wadliwe. Czyli większość sędziów stoi po stronie praworządności, natomiast większość tej większości jest po prostu bierna. Ton nadaje grupa nieliczna, ale ogromnie skuteczna. I cała batalia o praworządność jest efektywna. Zwróćmy uwagę, co się dzieje na Węgrzech, gdzie społeczeństwo obywatelskie i społeczność

ma takimi sprawami. Ile osób państwo reprezentują, jaka to skala?

S.G.A.: Przed samym ETPC w Strasburgu to ponad 60 spraw, a łącznie mamy ich prawie 100. W polskich sądach, w ETPC, w Trybunale w Luksemburgu.

M.E.: To są tylko nasze sprawy, a przecież jeszcze wspólnie z 13 organizacjami powołaliśmy Komitet Obrony Sprawiedliwości, który zajmuje się zapewnianiem bezpłatnej pomocy prawnej represjonowanym prawnikom, sędziom i prokuratorom. I skala działań prawników, którzy w ramach KOS pomagają innym prawnikom, jest już dla nas nie do policzenia, bo wiele tych postępowań dzieje się lokalnie, bez naszego pośrednictwa. Udało się zapoczątkować falę szerokiej, bezinteresownej pomocy prawników prawnikom.

Ogłaszając wyrok w sprawie sędziego Tulei, ETPC wskazał, że polskich spraw dotyczących niezależności wymiaru sprawiedliwości jest około 400, w które zaangażowani są prawnicy z całej Polski.

Zatem prześladowanych jest dużo więcej niż sędziów i prokuratorów, o których mówimy w mediach, tylko wiele spraw, nazwisk nie ma szansy się przebić do szerszej opinii publicznej?

M.E.: Absolutnie! Igor Tuleya czy Waldemar Żurek posłużyli do tego, by dać przyzwolenie na ściganie i represjonowanie sędziów. I pokazać, jak można to robić. Jest cały szereg lokalnych postępowań – wszczynanych przez prokuratorów i rzeczników dyscyplinarnych. Sędziowie wcale nie muszą być zaangażowani publicznie, to nie zawsze są ci najgłośniejsi wypowiadający się o destrukcji praworządności. Zło, które uczyniono, jest tym gorsze, że mechanizm nękania okazał się skutecznym i prostym.

Ale z polityką w tle? Czy to mogą być sprawy o umowną miarę?

M.E.: Trafily do nas sprawy zupełnie niepolityczne. Dotyczą zwykłych obywateli czy lokalnych aktywistów. Kierowca seicento, który miał kolizję z rządową limuzyną, też był przecież zwykłym obywatelem.

Dzięki sprawie Tulei i innych jest sprawdzony i przeciwczony schemat postępowań: jeśli orzekasz niezgodnie z oczekiwaniami ministra sprawiedliwości, mogą cię spotkać represje. Na tym polega upolitycznienie wymiaru sprawiedliwości. Najlepszym przykładem jest sprawa Mariki.

M.W.: Wyobraźmy sobie, że prokuratura składa wniosek o zastosowanie tymczasowego aresztowania, a sędzia odmawia jego zastosowania – i już jest na celowniku prokuratury.

P.K.K.: Skoro prokurator mówi, że ma być areszt, to ma być!

Czyli represjonuje się po prostu niepokornych, którzy nie podzielają opinii prokuratorów?

M.E.: Nie niepokornych – niezależnych. Czyli takich, którzy są po prostu istotą wymiaru sprawiedliwości.

P.K.K.: I wykonują swoją pracę. Niezależnie od poglądów i tego, na kogo głosują.
S.G.A.: Postawa sędziów to coś, czego nikt się nie spodziewał. Ten opór i niezawisłość, którą zachowali, i koszty, które są w stanie ponieść w obronie praworządności i niezależności, są naprawdę czymś pięknym. To wielkie zwycięstwo, nie tylko naszego środowiska, ale całego społeczeństwa obywatelskiego.

Więc można powiedzieć, że destrukcja, którą nam zafundowano, dała efekt uboczny, nieprzewidywany i niepożądany przez architektów tych działań.

M.W.: Ta ogromna liczba spraw, które toczą się przed europejskimi trybunałami, wynika właśnie z zaangażowania polskich sędziów. Na przykład z pytań prejudycjalnych, które zadają, albo ze skarg składanych do Strasburga wskutek represji sto-

sowanych wobec nich. To wynik ich determinacji, zaangażowania, odwagi, rezygnacji z karier, a niejednokrotnie osobistego cierpienia, gdy piętnowane są także ich rodziny. Najlepszym przykładem jest sędzia Waldemar Żurek, który za swoją postawę ponosi ogromne konsekwencje osobiste. On i jego rodzina. To samo dotyczy zresztą niezależnych prokuratorów stowarzyszonych w Lex Super Omnia.

Większość tych spraw wciąż się toczy, ale trochę już zakończono. Czy jest jakaś linia pokazująca, co myślą europejskie trybunały?

P.K.K.: Jest. W zasadzie na bazie tych wyroków możemy budować plan odwrócenia destrukcji w wymiarze sprawiedliwości.

Mechanizm nękania przetestowany na sędziach Tulei i Żurku okazał się przydatny w sprawach zwykłych obywateli czy lokalnych aktywistów

Można wręcz powiedzieć, że polscy sędziowie w jakimś sensie zmobilizowali sędziów europejskich do większego zaangażowania w obronę praworządności, choćby składając bezprecedensową skargę na Radę Unii Europejskiej, która akceptując kształt KPO, ograniczyła się jedynie do wąskich oczekiwań dotyczących niezależno-

prawnicza są bierne. Autorytaryzm zagościł tam już na dobre. A my – przeciwnie, w niedługim czasie możemy się wyswobodzić z autokratycznych kleszczy.

Wolne Sądy od niemal początku są wśród tych nielicznych pilnujących praworządności. Jak to się zaczęło?

P.K.K.: Od wielkich demonstracji w 2017 r., kiedy instynkt powiedział ludziom, że muszą wyjść na ulice w sprawach tzw. reform sądowych. Co było dużą demokratyczną wartością, bo wyszli w sprawie tak naprawdę abstrakcyjnej – nie chleba, nie igrzysk, tylko dlatego że poczuli, że coś się osuwa. Wtedy zaczęliśmy nagrywać na ulicy filmy i zapraszać znane osoby, które mówiły, dlaczego protestują.

S.G.A.: Uwielbiam to opowiadać, bo to wyjątkowa historia przyjaźni, ale też wspólnego myślenia o tym, jak inaczej komunikować się z obywatelami. Z Marysią już wcześniej prowadziliśmy sporo edukacyjnych akcji. Na przykład Tydzień Konstytucyjny, czyli lekcje o konstytucji i prawach człowieka, który zresztą robimy do tej pory. Z Michałem znaleźliśmy się najkrócej, za to wkroczył do naszej grupy z ogromnym impetem, pomysłem. To Michał zaproponował ten brawurowy pomysł. Mówił: spróbujmy namówić osoby superznane, popularne, żeby one tłumaczyły ludziom, o co tak naprawdę chodzi w tej niezależności sądownictwa.

Dzisiaj, jak spojrzymy na Instagram, to się wydaje, że każdy nagrywa jakąś rolę albo dwie, trzy codziennie. Ale wtedy, w 2017, to nie było popularne. Więc choć pomysł Michała wydawał się nierealny, zaczęliśmy znane osoby spotkać w tłumie, często wielkie nazwiska aktorskie, dziennikarskie: „Dzień dobry, ja się nazywam Sylwia Gregorczyk-Abram, jestem adwokatką, mam pytanie: czy pan by nie nagral krótkiego filmiku, po co nam niezależne sądownictwo?”. A oni odpowiadali: „Jasne!”.

I mówili o praworządności tak od siebie?

M.W.: Przygotowaliśmy hipotetyczne scenariusze, co się dzieje, kiedy obywatel staje przed sądem. Kiedy ścieramy się z władzą albo z kimś związanym z władzą, z urzędem skarbowym, ze spółką skarbu państwa, z radnym, posłem, jego kolegą, a sąd jest powołany przez tę właśnie władzę. Czy mamy szansę przed takim sądem? Scenariusze pokazywały na różnych przykładach, że to dotyczy każdego z nas, bo każdy może się znaleźć w takiej sytuacji. I że jeżeli mówimy, że polityka, niezależne sądownictwo nas nie dotyczą, to nie mamy racji.

Wtedy chodziło o uruchomienie wyobraźni, a dzisiaj wiemy, że te wszystkie scenariusze się zrealizowały.

P.K.K.: Tak, łącznie z takimi, jak wspomniane zderzenie pana Sebastiana Kościelnika z limuzyną premier Szydło.

M.W.: Że nie wspomnę o Sądzie Najwyższym, który akceptuje wyniki wyborów, a konkretnie – o specjalnej izbie zaprojektowanej właśnie wtedy, w 2017 r. Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych zatwierdza wyniki wyborów, a zasiada ją w niej wyłącznie ludzie powołani przez władzę za pośrednictwem neo-KRS.

No i mnie pan mecenas zmroził.

M.W.: Bardzo obawiam się tego momentu po wyborach. Jeśli okaże się, że opozycja demokratyczna wygrywa, to obecna władza nie będzie chciała tak łatwo oddać steru rządów. I Izba Kontroli może po prostu nie uznać wyborów za ważne. Ale scenariuszy jest wiele. Ja się bardzo obawiam scenariusza ze starciami na ulicach, takiego polskiego 6 stycznia, czyli niesławnego szturm na Kapitol.

S.G.A.: Kiedyś w Sądzie Najwyższym zawiązaniem wyników wyborów zajmowała się Izba Pracy, w której zasiadali sędziowie legalnie wybrani. Po coś władza te kompetencje przesunęła do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych.

Po co – łatwo się domyślić?

M.E.: No właśnie. To tak jak z Izbą Dyscyplinarną, obecną Izbą Odpowiedzialności Zawodowej. Przecież sprawami, które są w jej kompetencji, zajmowała się Izba Kar, odpowiedzialna do tego, bo to postępowała quasi-karne. Wkrótce dowiedzieliśmy

się, po co ta Izba Dyscyplinarna została powołana.

M.W.: A pamiętacie, co się działo w 2020 r., w czasie wyborów prezydenckich, które same w sobie były bardzo kontrowersyjne z punktu widzenia konstytucji? Była rekordowa liczba 6400 protestów wyborczych, które wpłynęły do tej Izby, i wszystkie zostały uznane za niezasadne.

A były zasadne?

M.W.: Były silne argumenty za tym, że wybory nie były uczciwe i nie powinny zostać uznane za ważne. Chociażby to, że wielu Polaków mieszkających za granicą w ogóle nie otrzymało kart wyborczych.

P.K.K.: Do wyborczych przewag po stronie władzy dochodzi system finansowania wyborów, który też nie jest już demokratyczny i nie zapewnia równych szans. Rządzący wykorzystują na różne sposoby środki publiczne – bo tym w istocie jest przekazywanie ich na media publiczne czy dotowanie albo zapewnianie uprzywilejowanej pozycji spółkom skarbu państwa, które potem swoje zyski przeznaczają na różne kampanie niby-społeczne, a tak naprawdę wspierające obóz władzy.

Jako obywatele i obrońcy praw człowieka będziemy patrzeć na ręce każdej władzy, również tej, która teraz stoi po stronie opozycji.

Bo ta obecna destrukcja może być opłacalna i wygodna dla kolejnych ekip, niezależnie od ich barw

Ale nie możemy popadać w defetyzm, że wszystko przepadło, bo cały proces wyborczy został upolityczniony.

Zachęcamy wszystkich obywateli, żeby włączyli się w obserwowanie procesu wyborczego jako członkowie komisji albo obserwatorzy, mężowie czy żony zaufania.

S.G.A.: Skoro jesteśmy przy aktywności i optymizmie, to jeszcze wróć do Izby Kontroli. To też historia sukcesu. Mamy co najmniej dwa orzeczenia ETPC i TSUE, które mówią wprost, że to izba nielegalna, powołana w sposób wadliwy. Mówię o tym, bo to ważne, żebyśmy mieli poczucie, ile spraw udało się wygrać przed europejskimi trybunałami. To nie tylko Izba Kontroli, ale wspomniana już Izba Dyscyplinarna, tzw. dublerzy w Trybunale Konstytucyjnym, neo-KRS czy tzw. ustawa kagańcowa.

Ale te wyroki nie są wykonywane.

S.G.A.: To prawda. Ale dają wiele rozwiązań na przyszłość. Wszystko jest już w tych wyrokach. Wynika z nich, że neo-KRS jest nielegalnym organem, wszyscy neosędziowie są powołani wadliwie, represje wobec niezawisłych sędziów to bezprawie, Trybunał Julii Przyłębskiej to nie jest niezależny sąd itd.

M.W.: Nawet jeśli rząd impertynencko i ostantacyjnie nie wykonuje europejskich wyroków, to dają one instrumenty prawne polskim sędziom. Na ich podstawie już teraz Sąd Najwyższy mówi, że TK Julii Przy-

łębskiej i jego orzeczenia są nieistniejące, a więc pomijalne, że składy z neosędziami w SN to nie są bezstronne sądy.

To przyjmijmy optymistyczny scenariusz, że wygrywa opozycja i stara się przywrócić prawo i sprawiedliwość po postawionym na głowie państwie Prawa i Sprawiedliwości. To da się zrobić w miarę szybko?

M.W.: Środowisko prawnicze nie przespało ostatnich ośmiu lat. Mamy gotowe projekty legislacyjne. Na Kongresie Prawników Polskich zaprezentowano projekty Iustitii, Fundacji Batorego oraz Lex Super Omnia dotyczące KRS, Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego, prawa o ustroju sądów powszechnych czy prokuratury. Jeśli opozycja zechce po nie sięgnąć, to można je wdrożyć szybko i skutecznie. I wtedy naprawi wymiar sprawiedliwości systemowo.

Jak szybko?

P.K.K.: Pytanie, jak zachowa się prezydent, bo część tych rzeczy wymaga zmiany prawa. Ale zakładamy, że kiedy w Sejmie będzie taka, a nie inna większość, prezydent

P.K.K.: Jeszcze ważna uwaga – obywatel nie może ponosić konsekwencji destrukcji wymiaru sprawiedliwości. Wszystkie projekty są skonstruowane tak, aby obywatele mieli tzw. pewność prawną. Wyroki wydane przez neosędziów pozostaną w mocy. Natomiast neosędziowie muszą przejść ponownie procedurę konkursową przed prawidłowo powołaną KRS. Oczywiście ocena neosędziów będzie konieczna – ale środowiskowa i dyscyplinarna. Bez związku z legalnością ich wyroków.

Więc te wszystkie publicystyki i komentarze, że będzie unieważnianie milionów wyroków, mówią nieprawdę. Te projekty tego nie zakładają. I nie zakładają przerywania procesów, żeby robić formalną zmianę. Neosędziowie mają skończyć swoje sprawy.

A w tym samym czasie będą powtórzone konkursy przed legalną już KRS – tak jak powtarzamy przetargi, jeśli są wadliwe przeprowadzone. Bez polowania na czarownice, bez rewanżyzmu. To jest bardzo przemyślane, żeby obywatel jak najmniej odczuł skutki zmian.

S.G.A.: Równoległe środowisko prawnicze myśli o tym, jak zreformować działanie sądów – przyspieszyć, usprawnić, uczynić przyjaźniejszymi, przystępniejszymi. Czyli zrobić to, co PiS obiecywało, a czego nie dotrzymało, skupiając się na podporządkowaniu sądownictwa, które w efekcie jest jeszcze mniej sprawne i bardzo nieprzystępne.

M.W.: Tak, prawo o ustroju sądów powszechnych też leży na stole. Ma wprowadzić sądy wreszcie w dwudziesty pierwszy wiek, żeby nie kojarzyły się z urzędem jak za króla Cwiczka.

P.K.K.: Gdzie akta wozi się wózkami z supermarketów.

M.W.: To ma być nowoczesny wymiar sprawiedliwości, zdigitalizowane akta, dostęp przez sieć. Sąd ma być przyjazny dla swojego klienta. ●

***Sylwia Gregorczyk-Abram** – adwokatką, społeczniczka (angażuje się m.in. w obronę praw kobiet i osób LGBT+), współtwórczyni Inicjatywy Wolne Sądy i Komitetu Obrony Sprawiedliwości, pełnomocniczka sędziów i prokuratorów przed ETPC i TSUE. Laureatka Złotego Paragrafu w kategorii najlepszy adwokat w Polsce, stypendystka The Maurice Greenberg World Fellows Program na Uniwersytecie Yale.

****Maria Ejchart** – prawniczka, koordynatorka Komitetu Obrony Sprawiedliwości, współzałożycielka Wolnych Sądów, związana z Helsińską Fundacją Praw Człowieka. Prezesa zajmującego się praworządnością, krzewieniem wiedzy prawnej i pomocą prawną pro bono Stowarzyszenia im. Profesora Zbigniewa Hołdy.

*****Paulina Kieszowska-Knapik** – adwokatką, specjalizuje się w ochronie zdrowia, prawie medycznym i farmaceutycznym, doradza pro bono organizacjom pacjentów. Współzałożycielka Wolnych Sądów, nagrodzona przez Naczelną Radę Adwokacką za walkę o praworządność.

******Michał Wawrykiewicz** – adwokat, współtwórca Wolnych Sądów i Komitetu Obrony Sprawiedliwości, reprezentuje przed europejskimi trybunałami polskich sędziów pokrzywdzonych przez tzw. reformy Ziobry, stypendysta National Endowment for Democracy w Waszyngtonie.

Inicjatywa Wolne Sądy została uhonorowana za działalność publiczną m.in. Nagrodą „Newsweeka” im. Teresy Torafińskiej, Nagrodą TOK FM im. Anny Laszuk, Europejską Nagrodą Obywatelską przyznaną przez Parlament Europejski oraz Rule of Law Award 2022 przyznaną przez Union Internationale des Avocats.

Konfederacja Wolność i Niepodległość składa się z trzech środowisk. Najliczniejszym jest Nowa Nadzieja. To wolnościowcy/libertarianie pod wodzą toruńskiego doradcy podatkowego, politycznego debiutanta, dr. Sławomira Mentzena, którego na przywódcę namaścił prezes senior NN i były szef Konfederacji (a wcześniej Unii Polityki Realnej, Kongresu Nowej Prawicy i partii KORWiN) Janusz Korwin-Mikke.

Druga grupa to nacjonaści zrzeszeni w Ruchu Narodowym, któremu przewodzą Krzysztof Bosak (prezes) i trójka młodych działaczy: Anna Brylka, Krzysztof Tuduj oraz Michał Wawer (wiceprezesi).

Trzecie, najbardziej tajemnicze środowisko to monarchiści/reakcyjniści skupieni wokół reżysera antyszczepionkowca Grzegorza „Szczęść Boże” Brauna. Ich grupa zwie się Konfederacją Korony Polskiej, lecz wszyscy mówią: Korona – o co zresztą rozgorzał sądowy spór (o nim – dalej).



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kandydaci Konfederacji

IDA PO POLSKĘ. KTO ZA NIMI STOI?

„Koalicji z PiS-em nie chcą wyborcy, działacze ani władze Konfederacji” – napisał Sławomir Mentzen, ale na listach wyborczych wykrywam krytyków władzy i radnych z PiS

PIOTR GŁUCHOWSKI

LISTA 1. NOWA NADZIEJA

Jeszcze pod koniec ubiegłego roku 10-osobowa Rada Liderów Konfederacji pod przewodnictwem Mentzena (NN) i Bosaka (RN) zatwierdziła podział jedynek w 41 sejmowych okręgach.

– Dwadzieścia przypadło Nadziei, piętnaście Ruchowi, sześć Koronie – mówi mi

Krzysztof Rzońca, sekretarz NN i dyrektor biura prasowego konfederatów.

Mentzen – w swoich 20 obwodach – ogłosił prawyborczy. W elekcji mógł wziąć udział każdy, kto się zarejestrował na stronie Konfederacji i wpłacił 20 złotych za głosowanie lub 2500 złotych za kandydowanie.

W Krakowie kandydował Stanisław Żółtek zwany z racji powierzchowności Hagridem. Ten matematyk, brydzyista, długo-

letni amator mocnych trunków i serdeczny przyjaciel J.K.M. był nawet krótko prezesem UPR. Ogólnopolską sławę zyskał występem w pierwszej turze covidowych wyborów prezydenckich 2020, gdy z przekąsem zaproponował rządowi wprowadzenie dopłaty do spożycia – „menelowego plus”. Choć stał się po tym bohaterem memów, głosów nie zyskał – siódme miejsce na II. Wcześniej dziesięciokrotnie bezskutecznie

startował do Sejmu, na prezydenta i radnego Krakowa oraz do Parlamentu Europejskiego. W krakowskich prawyborach Nowej Nadziei, które odbyły się (to ważne) 13 stycznia br., też mu się nie powiodło. Jak twierdzi – z powodu oszustwa.

– Mój pełnomocnik w chwili przybycia na miejsce, a było to pół godziny przed rozpoczęciem prawyborów, zastał zamkniętą urnę z kartami do głosowania w środ-

ku – opowiada. – Nie wiadomo, kto je wrzucił i kiedy. Na sali wyborczej wisiały banery mego kontrkandydata, Konrada Berkowicza, a jego przyjaciele namawiali wchodzących do wsparcia. Mnie takiej możliwości nie dano. Zostałem dopuszczony do mikrofonu dopiero podczas zamknięcia głosowania.

Berkowicz – od 2019 poseł, od 2022 zastępca Mentzena w NN – oczywiście wygrał. Żółtkowi pozostało skarżenie się mediom – m.in. na to, że bankiet ku czci zwycięskiego Konrada partia przygotowała jeszcze przed głosowaniem. To prawda: na sieciowych profilach konfederatów baner „Afterparty z Mentzenem i Berkowiczem tylko dla biorących udział w prawyborach w Krakowie” pojawił się już w Boże Narodzenie poprzedniego roku.

A kim jest zdobywca krakowskiej jedynki?

KRAKÓW.

Berkowicz: Nawet jak jestem pierwszy, to drugi

Wysoki i szczupły, 39-letni, pochodzi ze wsi Trzcinią (2 tysiące mieszkańców) w powiecie Jasło, gdzie chodził do ogólniaka. Wraz z rodzicami, dwoma braćmi i dwiema siostrami mieszkali w trzypokojowym mieszkaniu i wszyscy półprofesjonalnie tańczyli. Berkowicz zdobył srebro na turnieju World Cup, a w tanecznych mistrzostwach Europy był siódmy.

Pracował i studiował – informatykę, której nie ukończył, a z filozofii zrobił licencjat. Pierwszą posadę znalazł w założonej przez profesora AGH Janusza Filipiaka spółce informatycznej Comarch. Filipiak przyjmował tylko najzdolniejszych studentów. Jeszcze na studiach zetknął się z korwinizmem i zaczął czytać wydawany przez J.K.M. periodyk „Najwyższy Czas!”. Jak pisze Marcin Kącki – autor poświęconej konfederatom książki „Chłopcy. Idą po Polskę” – do UPR przyciągnął go początkowo postulat legalizacji zioła, ponieważ „lubił popalić”. A także stanąć w poprzek – pochodził z katolickiej rodziny, został ateistą, chociaż w ostatnich wywiadach mówi o sobie: agnostyk. Entuzjasm Berkowicza nieco wyhamował, gdy okazało się, że UPR w Krakowie do Żółtek i mała, zupełnie nieaktywna grupka – młodzieży niemal wcale. Skrzyknął nielicznych i zaczęli działać. „Idą na warsztaty unijne i tak kombinują w grupach roboczych, by wyszło, że Unia to złodziejstwo” – pisze Kącki. Poszli też na krakowskie spotkanie z naczelnym „Wyborczej”, usiedli w różnych miejscach sali, zadawali napastliwe pytania i „wyszło na to, że cała sala jest przeciw Michnikowi”.

To były działania w skali mikro. Prawdziwą popularność Berkowicz zdobył dzięki telewizyjnemu talk-show w TVP Kraków – „Młodzież kontra... czyli pod ostrzałem”, gdzie młodzi odpytywali czołowych polityków. Konrada – jako przedstawiciela młodzieży – zaprosił do studia rówieśnik, Miłosz Koziół, sam ukaszony korwinizmem, a po studiach skierowany przez urząd pracy do telewizji. Młodzieńcy szybko się dogadali – Miłosz ogarniał produkcję, w tym polityków pod ostrzał, Konrad robił show – zgrabnie „orał lewaków”, czyli wszystkich na lewo od UPR. Kącki pisze, że „bez tej audycji Berkowicz by dzisiaj nie istniał”.

W 2007 roku, po upadku rządu PiS–Samoobrona–Liga Polskich Rodzin 23-letni Konrad po raz pierwszy wystartował do Sejmu: z 19. miejsca listy Ligi jako wrzut z UPR. Przegrał sromotnie: dostał 24 głosy. Żółtek – jedynka na tej samej liście – zdobył ich przeszło 3,5 tysiąca, i również przepadł.

Dwa lata później Berkowicz wystartował do izby w Brukseli. Kampanię robił głównie w programie „Młodzież kontra...”. Gdy w studiu miał zadać pytanie Donaldowi Tuszkowi, złożył deklarację: „Postanowiłem, mimo młodego wieku i małego doświadczenia, wystartować w eurowyborach. Proszę zauważyć: muszę swoją kampanię pro-

wadzić za własne pieniądze, a kandydaci Platformy – za pieniądze z dotacji, czyli z naszych kieszeni, z podatków. W związku z czym, żeby nie było niespełnionych obietnic, podpisałem zobowiązanie, że jeśli zostaną wybrani, to całą swoją dietę – 35 tysięcy złotych miesięcznie – będę przekazywał fundacji Anny Dymnej. Co zostanie jutro stwierdzone notarialnie”.

Wydatek na notariusza nie starczył, by zasiąść w Brukseli. W swoim okręgu – rzeszowskim – Berkowicz zdobył raptem 700 głosów.

Mimo jego porażki prezes Mikke – odszedłszy z UPR, by założyć Kongres Nowej Prawicy – zabrał Berkowicza ze sobą, a nawet zrobił rzecznikiem. Gdy szef odszedł i z Kongresu, by powołać partię KORWiN – Konrad został jej członkiem zarządu. Pówd wyjaśnia Kącki: Berkowicz jest „bezdyskusyjnie, bezproblemowo i beznamiętnie lojalny wobec prezesa i wszyscy w partii to wiedzą”. Był nawet typowany na jego następcę, lecz na scenie pojawił się Mentzen.

W latach 2014-19 Konrad startował w wyborach niemal w każdym roku – ale mandatów i foteli jeszcze nie zdobywał, dopiero w 2019 roku w wyborach sejmowych osiągnął sukces: 36,5 tysiąca głosów starczyło, by zasiąść na Wiejskiej.

Przywódcą Konfederacji jednak nie został, a jeszcze pojawił się Mentzen – i to on wkrótce przejął, na spółkę z Bosakiem, stery Konfederacji. Berkowicz musiał się zadowolić miejscem w Radzie Liderów i funk-

szych komisjach: rewizyjnej, budżetu oraz gospodarki – jest w mieście niemal nieznamy. Magdalena Koziół, dziennikarka wrocławskiej „Wyborczej”, która „chodzi na radę”, mówi o nim: „cichy”.

– Zajmuje się głównie drogami, postuluje budowę dwupoziomowych skrzyżowań i wciąż wypomina prezydentowi Jackowi Sutrykowi zadłużenie miasta.

Z profilu Grzechnika na Facebooku wynika, że popiera powszechną motoryzację, prawo do swobodnego sprzedawania produktów rolnych z ogródków działkowych i uwolnienie lokali usługowych puszczających muzykę od obowiązku płacenia na ZAiKS. Kibicuje Śląskowi Wrocław, kocha formacje zbrojne I Rzeczypospolitej, szczególnie skrzydlatych jeźdźców, o których pisze na Fejsie: „Co to jest gen wielkości? To coś, co wewnątrz nas krzyczy, że liczy się tylko zwycięstwo (...). Ten gen miała husaria. Nam dzisiaj go brakuje, lecz może wrócić z czasem...”.

Czego Grzechnik nie lubi? Publicznego finansowania in vitro, nielegalnej migracji, klimatyzmu ze szczególnym uwzględnieniem zakazu sprzedaży aut spalinowych i całego pakietu „Fit for 55” („rasa urzędników-panów będzie jeździła autami, a nam pozostaną autobusy, tramwaje, rowery”). Nie lubi też nocnej prohibicji w niektórych polskich miastach (na szczęście nie we Wrocławiu) oraz – cytując z FB – „mnożeniu urzędniczych posad na Śląsku” i ogólnie – wydatków na biurokrację.

Gdy w prawyborach w Nowej Nadziei kandydat wygrał jednym głosem, urna z kartami zaraz zaginęła

Mentzenowcy takiego oryginała nie chcieli, tym bardziej że wcześniej miał być kandydatem z listy Korony Brauna

cją pierwszego wiceprezesa Nowej Nadziei. Konfederacki internet skomentował to memem, na którym Berkowicz parafrazuje Adasia Miauczynskiego: „Zawsze jestem drugi, a nawet jak jestem pierwszy, to jestem, kurwa, drugi”.

LEGNICA. Dwóch się bije, a korzysta Grzechnik

W prawyborach w Legnicy kandydatów do jedynki NN było trzech: były eurodeputowany od Korwina – Robert Iwaszkiewicz; dalej Robert Grzechnik – radny PiS z Wrocławia; wreszcie faworyt – prezes regionu dolnośląskiego Nadziei, przedsiębiorca Dariusz Szumiło. Gdy po przeliczeniu kart okazało się, że Iwaszkiewicz pokonał tego ostatniego jednym tylko głosem, zwolennicy Szumyła żądali ponownego liczenia, na co nie wyraziła zgody komisja skrutacyjna. Karton z głosami został zaplombowany – to znaczy zaklejony skoczem – i miał być komisyjnie otwarty w centrali partii w Warszawie lub kancelarii w Toruniu – ale tam nie dojechał.

„Finalnie interweniował przez telefon prezes Sławomir Mentzen, który wezwał do powtórnego przeliczenia głosów w lokalu wyborczym w Legnicy – napisał na Twitterze Szumiło. – Niestety karty już nie wróciły na salę, a komisja nie potrafiła udzielić mi informacji, gdzie się obecnie znajdują”.

Zarząd Nadziei podjął więc decyzję o unieważnieniu legnickiej elekcji, a potem Rzońca poinformował mnie, że jedynkę weźmie ten trzeci, czyli Robert Grzechnik.

Można powiedzieć, że ów 45-letni był pracownik wrocławskiego oddziału IBM, a ostatnio przedsiębiorca i od paru kadencji radny klubu PiS zwyciężył, tak jak pracuje: bez rozgłosu. Choć zasiada w najważniej-

Jego bliski znajomy mówi mi, że Grzechnik to „wychowany na Korwinie pozytywiści”, który współpracuje z PiS „po całosci”, ponieważ drugą stroną uważa za złoździej.

– Czy gdyby został posłem, mógłby przejść do PiS?

– On sam na pewno zaprzeczy, ale ja – nie wykluczam, bo wiem, że jest pragmatykiem. W końcu to on w zeszłym roku wrzucił na radę pomysł szerokiej koalicji, od Nowoczesnej po PiS, żeby tylko odwołać Sutryka.

Na moją prośbę o kontakt Grzechnik nie odpowiedział.

NOWY SĄCZ. Ryszard Wilk: Mieszkanie towarem, nie prawem!

Kolejna prawyborcza inba wybuchła w Nowym Sączu. Tutaj do preselekcji stanął ktoś oczywisty – szef podhalańskich struktur NN, inżynier Ryszard Wilk. Już miał jedynkę w kieszeni, gdy zgłosił się inny góral – architekt antyszczepionkowiec Sebastian Piton, inicjator propuputinowskiego Polskiego Ruchu Antywojennego.

Mentzenowcy takiego oryginała nie chcieli, tym bardziej że wcześniej miał być kandydatem z listy Korony Brauna. Architekt na próżno tłumaczył, że Braun już nieaktualny, bo się nie dogadali.

– Poglądy pana Pitonia bliższe są monarchizmowi niż temu, co reprezentuje Nadzieja – wyjaśnił Krzysztof Rzońca na antenie internetowej telewizji Media Narodowe. – Poza tym on zwyczajnie oszukiwał, mówiąc swoim zwolennikom, że będzie kandydatem Nadziei i można na niego głosować. Tymczasem już wcześniej wiedział, że my go w prawyborach nie chcemy.

Odrącony Piton wydał oświadczenie: „W okręgach, które były ważne dla Nowej Nadziei i pana Mentzena, chodziło o to, by

był tylko jeden kandydat. Mój pech polegał na tym, że chciałem kandydować w jednym z takich okręgów przeciwko człowiekowi, który jest dobrym znajomym sekretarza partii [Rzońca pochodzi z Nowego Sącza], czyli przeciw panu Ryszardowi Wilkowi. On sobie po prostu załatwił, by nie mieć kontrkandydata. To słabe”.

W tej sytuacji tryskający energią i świetnie zbudowany Wilk, który pracuje także jako ratownik wodny, musiał wygrać. Urodzony w 1987 roku, pochodzi ze wsi Biała Niżna (2,2 tysiąca mieszkańców), w gminie Grybów, w powiecie nowosądeckim. Poproszony przeze mnie o krótkie przedstawienie siebie samego odpisał: „Jestem ojcem dwójki dzieci, syn oraz córka, od ponad dekady prowadzę własną działalność gospodarczą. W WOPR już nie jestem zatrudniony etatowo, ale pełnię społeczne obowiązki nad jeziorem Klimkówka [między Gorlicami a Krynicą Zdrój]. Jestem też wielki fanem motoryzacji oraz sportów wodnych i podróżnikiem górskim. Zaliczyłem m.in. zimowe wejścia w Tatrach”.

W roku 2019 Wilk startował do Sejmu z partii KORWiN i choć jego fanpage na Facebooku zgromadził już wtedy ponad 40 tysięcy obserwujących (dziś ma 111 tysięcy), głosów dostał ledwo 2,5 tysiąca. Nie załamał się jednak porażką, zorganizował na Podhalu kilka imprez z grilem i strzelaniem „z broni krótkiej, długiej oraz czarnoprochowej”, po czym znów stanął w szranki, zaś motywy wyłożył właśnie na FB:

„Wszystko w kraju źle. Największa inflacja od 30 lat, najdroższe paliwo, największa liczba zgonów, najmniejsza urodzeń (...), węgiel płynący z Kolumbii, można tak bez końca... Nie będę się przyglądał, jak nam tu instalują komuny 2.0. Dlatego postanowiłem jeszcze raz wystartować (...) do Sejmu w 2023 r. (...) Dlaczego? Każdy, kto obserwuje mój profil, wie, że mam dość polityki rządu, co zabiera tym, którym się chce, i daje tym, którym się nie chce. Po drodze powstaje jeszcze armia urzędników, którzy muszą pilnować: czy odpowiednio dużo rozdali odpowiednim ludziom. (...) Nawet jakby mi dali pierdyliard kuponów na węgiel z Kolumbii, to zdania nie zmienię – startuję!”.

Znać, że w odróżnieniu od Roberta Grzechnika Wilk raczej PiS nie lubi. Na Twitterze ćwierka: „Po siedmiu latach rząd wycofuje się z programu mieszkanie plus. Z miliona zapowiadanych zbudowano 15 tysięcy. Kto by się spodziewał... Mieszkanie towarem – nie prawem!”. Albo: „Deszcz pada, ale nikt się w górach nie obawia powodzi. Mamy przecież specjalistów od wałów: Szumowski, Morawiecki, Obajtek...”. Albo jeszcze: „86 proc. Polaków uważa, że kraj jest na tej drodze. Czy 14 proc. pracuje w spółkach Skarbu Państwa?”.

Wilk nie lubi także Platformy, Unii Europejskiej i tych wszystkich, „co rzekomo walczą o klimat”. Lubi zaś kryptowaluty. 29 czerwca zorganizował na swoim sieciowym kanale webinar na temat korzyści z bitcoinów. Rozmówcą nie był jednak najsłynniejszy dziś polski kryptowaluciarz – czyli brat Mentzena – lecz inny konfederat, luźno związany z Nowym Sączem informatyk-rasista-seksista (sam się tak przedstawia), słupszczanin Kamil Dudkowski. On jednak nie kandyduje, więc teraz Tomasz Mentzen, czyli jedynka w Toruniu.

TORUŃ. Tomasz Mentzen zwyciężył, bo musiał

Prawyborcy zorganizowane 20 stycznia br. w toruńskim hotelu Copernicus brat szefa Nadziei wygrał bez problemu – jego kontrkandydatami była trójka szerzej nieznanych osób bez żadnego politycznego zaplecza. Konkurenci w sumie zebrali dwa razy mniej głosów od faworyta – sami konfederaci mówili: sparingpartnerzy.

Tomasz – syn profesora matematyki, który podsuwał obu swoim potomkom „Najwyższy Czas!” – musiał wygrać, bo poselski

mandat i wynikający zeń immunitet to dla niego sprawa gardłowa. Podkarpacki wydział Prokuratury Krajowej postawił mu zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej i prania brudnych pieniędzy, za co grozi do 10 lat więzienia. Proces jeszcze się nie rozpoczął.

W sprawie idzie o pomoc, jakiej młodszy Mentzen udzielał – nie za darmo – wspólnikowi w biznesie, wielokrotnie już karanemu bydgoszczaninowi Adamowi G. Panowie organizowali hazard na wielką skalę – postawili w Polsce kilka tysięcy automatów („kiosków internetowych”), gdzie pod przykrywką gry na giełdzie walutowej Forex można było wirtualnie kręcić bębna- mi owocówkami (takimi, jak w jednorękich bandytach) i wygrywać – a dużo częściej tracić – pieniądze. Jak bowiem dowodzi prokuratura, „kioski” nie łączyły się z giełdą – miały z góry zaprogramowane 19 przegranych na jedną wygraną.

Organizatorzy procederu zarabiali na nim około 150 milionów rocznie. Gdyby zarejestrowali swoje automaty jako hazardowe, musieliby od tego zapłacić 100 milionów podatku. A nie zapłacili.

– Moja współpraca sprowadzała się do stworzenia oprogramowania – tłumaczył młodszy Mentzen w rozmowie, którą odbyliśmy wiosną w toruńskim pubie jego brata. Prokuratorzy mają inne zdanie. Sam też odkryłem, że Tomasz związał się z Adamem G. czymś więcej niż tylko zleceniem na program dla „kiosków”. Po upadku biznesu z rzekomym Forexem obaj (już z zarzutami) zaangażowali się w kolejne hazardowe przedsięwzięcie – Shitcoins.club oraz Ambasady Bitcoina. Tym razem klienci hazardziści mieli rzekomo grać na giełdzie kryptowalutowej – reszta działała podobnie i również zakończyła się policyjną obławą, stawianiem zarzutów, aresztowaniami...

Zdaniem mego informatora – niegdyś prominentnego publicyście z korwi-nacjonalistycznej banki – to właśnie milionowe zyski osiągnięte na hazardowych przekrętach Adama G. legły u podstaw obecnego imperium Mentzenów, na które składają się kancelarie w Toruniu i Warszawie, Browar Mentzen oraz pub o tej samej nazwie plus liczne nieruchomości.

Obaj bracia stanowczo temu zaprzeczają.

LUBLIN.

Bartłomiej Pejo – pan od bhp i ppoż.

Para zastępców Sławomira Mentzena i Konrada Berkowicza w Nadziei – wiceprezesa Marcin Sypniewski i Bartłomiej Pejo – nie troszczyli się o sparingpartnerów. Pierwszy wystartował jako jedyny kandydat z okręgu bydgoskiego, drugi nie miał żadnej konkurencji w Lublinie i też został jedynką bez walki.

– Nikt nie chciał panu podskoczyć? – pytam.

– Nie mnie oceniać, dlaczego w tak dobrym okręgu wyborczym nie było kontrkandydata. Ja byłem przygotowany na rywalizację...

Jego własna strona (Pejo.pl) przedstawia 38-letniego polityka jako „prezesa lubelskiego Klubu Motocyklowego Usarz i Fundacji Kisiela”. Tę ostatnią założył dwie dekady temu J.K.M. – nie pytając o zgodę rodziny Stefana Kisielskiego.

Jako naczelny lubelski motocyklista Pejo ma m.in. współczesne suzuki bandit, a ze starszych modeli m.in. legendarną wueskę – model z „ptasiej” serii: kos.

Witryna Pejo.pl informuje też, że zdobywca lubelskiej jedynki studiował aż na czterech uczelniach: w Szkole Głównej Służby Pożarniczej, Szkole Głównej Handlowej, prywatnej stołecznej Wyższej Szkole Menedżerskiej i na Politechnice Warszawskiej. Wszystkie uczelnie ukończył.

– Przy czym Szkołę Główną Służby Pożarniczej nawet z dwoma dyplomami, otrzymując tytuły inżyniera i magistra – pisze mi w odpowiedzi na wysłane pytania. – Obecnie rozważam również podjęcie przewodu doktorskiego.

O czym witryna Pejo.pl nie informuje? Po pierwsze – że Bartłomiej w 2018 roku skutecznie wystartował do rady powiatu świdnickiego z listy PiS – został nawet wicestarostą, zastępcą Łukasza Reszki, również z partii obecnie rządzącej.

– Czemu pan to ukrywa?

Pejo: – Nie jestem i nie byłem członkiem PiS, nie jestem również w klubie, a do pełnienia funkcji wicestarosty wybrali mnie radni, którym – tak jak mieszkańcom – moja działalność zawodowa i społeczna jest znana od lat. Jestem niezależnym samorządowcem.

– Wybrany z listy PiS, zastępującym starostę z PiS... ładna mi niezależność. Stworzycie po wyborach koalicję?

– Nie zamierzamy siadać do stolika z partiami okrągłostołowymi. Ten stolik należy przewrócić!

O czym jeszcze nie informuje Pejo.pl? O tym, że jej twórca prywatnie jest zięciem Janusza Korwin-Mikkego, któremu przez kilka lat społecznie asystował.

40-letnia obecnie żona Peja – poślubiona po 11 latach narzeczeństwa Korynna – to jedna z dziesięciorga dzieci J.K.M. Choć opromienia męża blaskiem urody, sprawia również kłopoty. W 2014 roku została zatrzymana przy kradzieży w supermarkecie, trzy lata później policja złapała ją za kółkiem bez prawa jazdy – za to z porcją heroiny w torebce. W lipcu br. poszukiwana dwoma listami gończymi w związku z niestawieniem się do odbycia kary Korynna zo-

Do UPR wstąpił najwcześniej, jak się dało: skończywszy osiemnastkę.

– Przyglądałem się kandydatom w wyborach prezydenckich 1995 roku i zafascynował mnie prezes Korwin-Mikke – mówi mi. – Zacząłem kupować w kiosku „Najwyższy Czas!” i tak poszło...

Gdy J.K.M. przeszedł do Kongresu Nowej Prawicy, Sypniewski poszedł za nim. Lojalność została doceniona – kiedy powstała partia KORWiN, Marcin zajął fotel przewodniczącego jej rady krajowej.

W 2014 i 2018 roku bez sukcesu kandydował na prezydenta Bydgoszczy – za pierwszym razem dostał 4 procent, za drugim – 6. Rok później przepadł w wyborach poselskich, choć już wówczas otwierał kujawską listę partii KORWiN. Do głosowania na siebie namawiał oryginalnie: – To dziwne wybory. Wiadomo, kto będzie pierwszy, kto drugi, a kto trzeci. Dlatego głos oddany na PiS, Platformę czy Lewicę jest głosem nieważnym. Oni i tak wejdą. Jedyną niewiadomą jest to, czy wejdzie Konfederacja. Dlatego głos oddany na mnie jest głosem ważnym podwójnie.

Konfederacja weszła, i to z 11 posłami, jednak sam Sypniewski nie załapał się ani na Wiejską, ani do Brukseli, gdzie także w tamtym sezonie startował.

Gdy pytam o zainteresowania, wymienia najpierw ogród, potem rower, na trzecim miejscu – historię, dalej – piłkę nożną.

– Dlaczego nie miał pan kontrkandydatów w prawyborach NN?

Kandydatka Nowej Nadziei:

Dzisiaj polskie prawo faktycznie dyskryminuje mężczyzn

Anna Bryłka z Ruchu Narodowego uważa, że kobiety powinny rodzić dzieci i z gwałtu, i z wadami

stała schwyta – jak podała stołeczna policja – „w budynku znajdującym się w pobliżu siedziby Sejmu”.

Jej mąż – fizyczny misiwaty brodac, czyli typowy jeździec harleya davidsona – posmutniał, gdy się dowiedział, że chce pisać o żonie. I przysłał mi coś w rodzaju oświadczenia:

„Jako czynny polityk odpowiem na każde pytanie związane z moją działalnością polityczną, planami własnymi lub mojego ugrupowania. (...) Jednak uważam, że profesjonalny (...) dziennikarz nie powinien dotykać kwestii osób najbliższych”.

Na odpowiedź od Peja czekałem najdłużej ze wszystkich użytych w tym tekście. Bartłomiej tłumaczył mi w SMS-ach, że jest zaharowany. Poza robotą partyjną dla Konfederacji i posadą w Świdniku pracuje równolegle w sąsiednim urzędzie powiatowym – w Łęcznej – gdzie na jedną trzecią etatu pełni funkcję specjalisty od bhp i ppoż. Dobra również w świdnickiej podstawówce nr 5. Tam – jak zdradza dyrektor szkoły Tomasz Szydło – „zajmuje się wypadkami na terenie placówki i sporządza protokoły po wypadkowe”.

BYDGOSZCZ.

Sypniewski: Głos oddany na mnie jest ważny podwójnie

Przy wypadkach pracuje również – tyle że w garniturze i za wyższe stawki – Marcin Sypniewski, 44-letni rodowity bydgoszczanin, który wyniósł się do własnego domu w Morzewcu w podmiejskiej gminie turystycznej Koronowo. Żonaty i potrójnie dzielnym prawnik po Uniwersytecie Gdańskim jest – jak sam się przedstawia – „wspólnikiem ogólnopolskich firm specjalizujących się w pomocy osobom pokrzywdzonym w wypadkach”. Czyli pomaga wyciskać z ubezpieczycieli kasę na odszkodowania.

– W sumie to żałuję, że nikt się nie stawiał przeciwko. Może dlatego, że Nadzieja w Bydgoszczy to zgrana ekipa. Koledzy uznali, że i tak ja wygram – działałem przecież 22 lata.

Sypniewski jest tiktokerem. Wrzuca filmy, które równie dobrze mógłby kręcić ktoś z lewej strony: „Z polityką gospodarczą PiS jest jak ze świnką morską. Ani to świnka, ani morsa”. Albo: „PiS łupi Polaków wysokimi mandatami. A rządowe limuzyny gnają z ogromną prędkością, powodując stłuczki. Przecież nie mają powodu się spieszyć, bo nie mają żadnych ważnych rzeczy do załatwienia. Ten rząd niczego ważnego nie załatwił...”.

– Rozumiem, że powyborcza koalicja z PiS to nie jest pańskie marzenie?

– Na pewno nie będziemy ich koalicjantem. Nie mamy żadnych punktów programowo wspólnych. PiS to lewica, ma program socjalny, do tego notorycznie łamała konstytucję, choćby w trakcie lockdownu. My chcemy zmiany, nie kontynuacji tego, co się wyrabia w Polsce już od ośmiu lat.

Oczywiście Platforma nie jest dla Sypniewskiego lepsza. W ostatnim wideo poświęconym Tuskowi i Kaczyńskiemu postuluje wysłanie obu do Ciechocinka: „...niech klóć się w sanatorium, nie zwracają nam głowy bzdurami, abyśmy mogli się wreszcie zająć ważnymi problemami Polaków”.

A jakie są te problemy? O tym mówi jeden z najnowszych tiktoków – z 9 lipca. Sypniewski na swoim ganku w Morzewcu (klinkierowe kolumny, idealnie utrzymany mimo suszy trawnik):

– Dlaczego wszędzie, jak się jedzie na wakacje, można zamieszkać w hotelu, który jest zupełnie przy plaży? Wychodzisz i idziesz się kąpać. A w Polsce – nie. Nie ma prawie takich hoteli, bo przepisy budowlane hamują. Jest to bardzo głupie.

ZGIERZ I PABIANICE.

Klaudia Domagała: Prawo dyskryminuje mężczyzn

Nowa Nadzieja wystawia też kandydatów w okręgach senackich. Wybrałem jedną osobę – 33-letnią Klaudię Domagałę, brunetkę w okularach, działaczkę fundacji Kobiet Wolności i Niepodległości, mamę trójki dzieci startującą z okręgu 26 – podlódzkiego.

Klaudia od kiedy pamięta, serce ma po prawej, na co wpłynął jej dziadek, rocznik ’37.

– Opowiadał mi o historii, zabierał na Jasną Górę i mecze żużlowe, gdzie poznałam męża. Studiowałam rachunkowość, pracuję jako księgowa. Mąż jest grafikiem komputerowym, prowadzi własną firmę i też się identyfikuje z prawicą.

– Jak pani przyłączyła się do Konfederacji?

– Na początku się przyglądałam, chodziłam na manifestacje, ale nie miałam odwagi podejść i się angażować. Gdy urodziłam dzieci, postanowiłam zadziałać politycznie dla nich. Dodały mi odwagi. Wystartowałam do rady miejskiej Łodzi, nie weszłam. Potem były wybory sejmowe, nie byłam szerszej znana, miałam jedenastkę, mimo to zdobyłam ponad tysiąc głosów – dla mnie wielki sukces. Po wyborach założyłam grupę facebookową Konfederacja dla Kobiet. W ciągu kilku dni było nas ponad 500, teraz – 1,5 tysiąca. Z tego ruchu wyrosła fundacja.

– Która czym się zajmuje?

– Organizujemy opiekę wytchnieniową dla matek niepełnosprawnych dzieci. Wydałyśmy też z pomocą prawnika broszurę „Vademecum rodzącej w pandemii”. Organizujemy bezpłatne zajęcia z samoobrony dla pań. Fundusze zbieramy przy okazji pikników rodzinnych, wydając kalendarze...

– Na piknikach rozmawiacie o czym?

– Na pewno nie o pieluchach. Raczej: co trzeba zmienić w kraju? Należy powstrzymać rozrost biurokracji, ograniczyć omnipotencję państwa. Wolimy, by obywatele sami o sobie dbali. Oczywiście są grupy społeczne, które wymagają pomocy, ale najlepiej, gdy zajmuje się tym trzeci sektor.

– 500 plus należy zachować?

– Wolalabym nie. Lepiej zlikwidować podatek dochodowy, tę daninę od pracy, która wprost zachęca, aby nie pracować.

– Sławomir Mentzen mówi, że rodzicom należy pozwolić na dawanie klapsów. Pani dzieciom daje?

– My z mężem takich metod ani nie popieramy, ani nie stosujemy.

– Jest pani wierząca?

– Tak.

– Jakie jest pani zdanie na temat feminizmu?

– Ten obecny nie ma nic wspólnego z pierwotnym i szlachetnym ruchem sufrażystek. Dzisiaj polskie prawo faktycznie dyskryminuje mężczyzn. Przez wyższy wiek emerytalny albo w sądach rodzinnych, w trakcie przyznawania opieki nad dziećmi. Nie widzę po lewej stronie sceny politycznej chęci zmiany tego, a przecież wolą ją: „równość!”.

– No właśnie... Dlaczego w Nowej Nadziei jest tak mało dziewczyn? Na jedynkach do Sejmu widzę wyłącznie facetów, musiałem sięgnąć do listy senackiej, by znaleźć kobietę.

– W każdej partii w Polsce prym wiodą mężczyźni. Konfederacja jest młoda na politycznym rynku, a mimo to już zaczyna przyciągać kobiety. Przed nami maraton wyborczy, zobaczy pan, że jeszcze się pojawi u nas mnóstwo aktywnych dziewcząt.

LISTA 2.

RUCH NARODOWY

KONIN.

Anna Bryłka: Trzeba czekać, aż weźmiemy większość

Nacjonaliści prawyborów nie organizowali. O jedynkach decydował 13-osobowy zarząd pod przewodnictwem Krzysztofa Bosaka. Pierw-

sze miejsce w Koninie dostała jego członkini – i jedyna kobieta we władzach RN – Anna Brylka.

33-letnia szatynka, panna, uważa, że kobiety powinny rodzić dzieci i z gwałtu, i z wadami. Wierzy, że Konfederacja będzie kiedyś rządzić. A wtedy: koniec z pisowskim rozrządnictwem oraz dyktatem Brukseli.

– Pochodzę ze wsi w Wielkopolsce – mówi mi. – Liceum kończyłam w Zespole Szkół Katolickich we Włocławku. Zrobiłam też szkołę muzyczną – gram na organach kościelnych, więc można powiedzieć: jestem organistką.

– Wierzącą i praktykującą czy tylko grającą?

– Religijni jesteśmy wszyscy: ojciec, matka, dwie siostry i ja.

Anna studiowała w Poznaniu historię i prawo. Skończyła także handel zagraniczny w warszawskiej SGH. Pod koniec rządów PO-PSL rozliczała fundusze unijne w Ministerstwie Infrastruktury. Teraz wróciła na wies.

– Pracuję w gospodarstwie rodziców – mamy sto krów i sprzedajemy rocznie milion litrów mleka.

– Skąd związek z Konfederacją?

– Jeszcze w Poznaniu chodziłam na Marsze Niepodległości. W latach rządów Platformy to było jedyne miejsce, gdzie można było okazać patriotyzm. W 2014 zostałam poproszona o pomoc w zbieraniu podpisów dla kandydatów RN w eurowyborach. Niestety – wynik Ruchu był słaby, bo eurosceptycy wybrali wówczas w większości Kongres Nowej Prawicy. A teraz jesteśmy razem: korwiniści, monarchiści i my.

– My, czyli nacjonalisci?

– Wolę: narodowcy. Ale owszem – nacjonalizm jest dla mnie wartością, a naród to wspólnota, która powinna przetrwać. Jestem konserwatystką.

– Co to znaczy?

– Szacunek dla tradycyjnej roli kobiety i mężczyzny. Dziecko najlepiej się wychowuje z jedną mamą i tatą. A pleć wynika z biologii. To, co się dzisiaj dzieje wśród nastolatków, to przecież kompletna tragedia. Mają coraz więcej problemów z własną tożsamością, a social media jako rozwiązanie podają zmianę płci. Lewica to promuje, szukając elektoratu. Platforma też idzie w tę stronę. Będzie popierać aborcję... Ja jestem za pełną ochroną życia nienarodzonych.

– Kto bardziej szkodzi Polsce: PiS czy tamci z lewej?

– Realizują ten sam model społeczno-gospodarczy. Robią wszystko pod dyktando Brukseli, do tego się licytują, kto rozda więcej pieniędzy. A przecież rząd swoich nie ma.

– Leczyć politykę godnościową PiS ma chyba dobra?

– Tusk, kiedy był przy władzy, też się modlił w kościele. Nie wierzę jednym i drugim.

– Z kim więc koalicja?

– Z nikim. Lepiej cierpliwie czekać, aż weźmiemy większość.

CHEŁM.

Tumanowicz zdradza, ile się zarabia w Konfederacji

Witold Tumanowicz, lat 36, ma jedynekę w okręgu chełmskim, który obejmuje też Białą Podlaską i Zamość. Obecnie jest warszawiakiem – jeszcze gdy był w podstawówce, rodzice przeprowadzili się z Lublina na stołeczną Wolę. Już jako 16-latek wstąpił w szeregi Młodzieży Wszechpolskiej, gdzie doszedł do stanowiska wiceprezesa zarządu głównego.

– Co pana tam popchnęło? – pytam.

– Kampania referendalna w sprawie wejścia do Unii.

Referendum przeprowadzono w 2003 roku. Ponad 77 procent Polek i Polaków głosowało „za”.

– A ja byłem przeciw, ponieważ jestem eurorealistą. Unia, owszem, pożyczka pieniędzy, ale jednocześnie zabiera suwerenność. Narzucają nam niepolskie prawa, poszerzają swe kompetencje kosztem narodowych,

to już nie jest nawet ta Unia, do której wchodziliśmy – jest gorsza.

Studiował na politechnice, wytrzymał rok, potem ekonomię – nie ukończył.

– Jakiś czas pracowałem jako grafik komputerowy freelancer – opowiada. – Z czasem zająłem się polityką pełnoetatowo. Do pierwszych wyborów stanąłem w 2006, do rady dzielnicy Praga-Południe z listy LPR. Miałem 19 lat, nie wszedłem. Rok później chciałem kandydować do parlamentu, ale nie skończyłem lat 21, więc mnie nie zapisali.

Startował do Brukseli, ale RN nie przekroczył progu, potem przepadł w wyborach sejmowych z pierwszego miejsca w okręgu chełmskim. Nie zraził się i teraz znów jest jedyneką z tego samego terenu.

Choć formalnie ma jedynie wykształcenie średnie, udzielał nieodpłatnych korepetycji z matmy dla dzieci ze stołecznego domu samotnej matki. Nadal działa społecznie, bo już nie pracuje – żyje z polityki. Jako członek Rady Liderów Konfederacji dostaje 8 tysięcy na rękę.

PŁOCK I CIECHANÓW.

Paweł Usiądek: Make Poland great again!

41-letni Paweł Usiądek, jedyneką z okręgu plocko-ciechanowskiego, jest etatowym sekretarzem sztabu wyborczego Konfederacji i członkiem zarządu głównego RN. Pra-

cja chce przywrócić narodowi sprawczość. Suwerenność na poziomie państwowym, lokalnym, jednostkowym. Chcemy zbudować system przyjazny dla osób pracowitych, dla ambitnych, którzy chcą się uczyć. Nie dla leni, co wyludniają zasiłki.

LISTA 3. KONFEDERACJA KORONY POLSKIEJ

Wspomniana we wstępie batalia o nazwę „Korona” rozgorzała przy okazji sądowej rejestracji partii Grzegorza Brauna. Stołeczna sędzia Marzena Wyrembak-Gastol chciała wpisać do księgi skrótów od pełnej nazwy, czyli KKP. Reżyser się nie zgodził, bo mogłoby się mylić z niesławną przedwojenną Komunistyczną Partią Polski. Wynajął kancelarię Jerzego Kwaśniewskiego, prezesa Ordo Iuris, który powołał się na casus Partii Razem i jej skrót brzmiący: „Razem”. Sąd w odpowiedzi powołał biegłą językoznawczynię. Ta stwierdziła, iż „formalnym przeciwwskazaniem [dla skrótu »Korona«] jest fakt, że wyrazem nadrzędnym [w pełnej nazwie formacji] jest rzeczownik »konfederacja« kogo? czego? Korony”. A zatem skrót powinien pochodzić od tego rzeczownika – nie zaś od przydawki”.

Braun się przegrał i nie przejął, bo i tak wszyscy w Konfederacji zwą jego skrzydło Koroną. W połowie lipca, gdy kończy-

– Było już tak, że skupowali jabłka po 7 groszy za kilogram. Rozumie pan, co to znaczy nazrywać 10 ton dla głupich 700 złotych? Pracowaliśmy w pocie czoła z rodzicami, z braćmi, z moją siostrą – i nie dawaliśmy rady. Dlatego rodzice zdecydowali – chociaż to ja miałem przejąć gospodarkę – że muszą zdobyć zawód. Bo z rolnictwa nie utrzymam rodziny.

Wpierw poszedł do ogólniaka w Przysusze – a przy okazji nauczył się grać na pianinie. Ukończył też kurs strzelecki. Specjalność: strzelanie dynamiczne i bojowe. Inne jego hobby to (cytuje za stroną „Rafał Foryś”): „siatkówka, koszykówka, wolne sztuki walki, siłownia i drewnitnia”.

– Jak pan się znalazł w Koronie?

– Poznałem Grzegorza Brauna przez stowarzyszenie Pobudka.

Organizacja powołana dla „emancypacji duchowej, intelektualnej i materialnej Polaków” – poprzedniczka Korony – pamiętana jest głównie przez slogan: „Kościół-szkola-strzelnica”.

– Był zjazd Pobudki w Otwocku – mówi mi dalej Foryś. – Pojechałem i bardzo mi się spodobało. Dobre towarzystwo, kultura słowa, z takimi ludźmi chciałbym dalej pracować – pomyślałem.

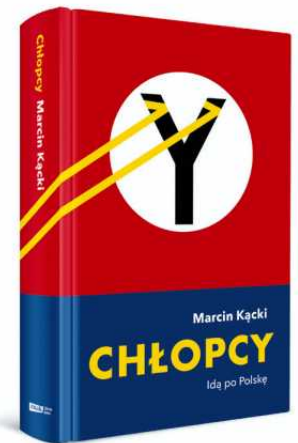
Jak pomyślał, tak zrobił. W 2019 roku wystartował do Sejmu z listy Konfederacji – zebrał 985 głosów i przepadł. Teraz jest pewny, że wejdzie. W wywiadzie dla mazowieckiego Radia Rekord ujawnił, że obecne poparcie dla Konfederacji wynosi już około 20 procent, „tylko sondażownie nas zaniżają”.

INNE JEDYNKI KONFEDERACJI

Nie zmieściłem powyżej wszystkich kandydatów z pierwszych miejsc, część nazwisk została ujawniona już po skończeniu tekstu. Pozostali jedykowicze (i jedna dwójka) to między innymi:

● **Sławomir Mentzen** – Nowa Nadzieja, Warszawa; ● **Krzysztof Bosak** – Ruch Narodowy, prawdopodobnie Białystok; ● **Janusz Korwin-Mikke** – NN, okręg podwarszawski; ● **Karina Bosak** – RN, okręg podwarszawski, miejsce drugie za J.K.M.; ● **Robert Winnicki** z powodów zdrowotnych nie startuje; ● **Michał Wawer** – RN, Kielce; ● **Marek Szewczyk** – RN, Sieradz; ● **Krystian Kamiński** – NN, Zielona Góra; ● **Michał Piotr Urbaniak** – NN, Gdańsk; ● **Krzysztof Tuduj** – NN, Wrocław; ● **Marcin Bedka** – NN, Szczecin; ● **Jan Adamczyk** – NN, Koszalin; ● **Konrad Sajkowski** – NN, Elbląg; ● **Stanisław Tyszk** – NN, Gdynia; ● **Grzegorz Płaczek** – NN, Katowice; ● **Tomasz Grabarczyk** – NN, Łódź.

Kim są konfederaci, „kuce Korwina” i sieroty po wszechpolskach? Książka Marcina Kąckiego „**CHŁOPCY. Idą po Polskę**”, wyd. Znak. Litera Nova



lem ten tekst, Krzysztof Rzońca był w stanie zdradzić mi tylko trzy z sześciu monarchistycznych jedynek. W Rzeszowie startuje sam Grzegorz Braun, w Radomiu – Rafał Foryś, w Opolu – Włodzimierz Skalik. Jedyna kobieta, którą wywęszyłem na listach KKP, to eksploratorka jaskiń z Wrocławia – elektryzująca urody brunetka – Marta Czech (ósme miejsce w okręgu dolnośląskim).

Koroniarze z „Wyborczą” z zasady nie gadają. Do Marty dzwoniłem sześć razy – i nic. Pozostaje uciec się do podstępu.

RADOM.

Rafał Foryś – strzelnica, siłownia, drewnitnia i zemsta

Rafał Foryś – wysoki, atletyczny, z nosem Jeana-Paula Belmonda, w sieci sam siebie określa jako „patriotę, wolnościowca, konserwatystę-tradycjonalistę”, a także „propagatora sprzedaży bezpośredniej w sektorze rolniczym, założyciela serwisu społecznościowego rolnikhandluje.pl”.

Dzwonię tam jako klient i dopiero w trakcie rozmowy przyznają się do profesji. Rafał chętnie podejmuje rozmowę. Jest protetykiem (technikiem dentystycznym) ze wsi Skrzynno (300 mieszkańców) w mazowieckim powiecie Przysucha. Ma „piękną i kochaną żonę Kasię” oraz pięcioletniego syna – Adasia.

– Rolnik Handluje to wolnościowa platforma e-commerce – zachwała mi swoje dzieło. – Zrzeszamy już 186 gospodarstw, od początku roku mieliśmy 46 tysięcy wejść klientów. Ja na tym nie zarabiam ani złotych, wymiana odbywa się bez mego udziału. Starczy, że mam satysfakcję z zemsty na supermarketach, które wykończyły sad moich rodziców.

– Co pan ma na myśli?

Jedyna kobieta, którą wywęszyłem na listach Brauna, to eksploratorka jaskiń z Wrocławia, elektryzująca urody brunetka

Kandydat Korony Polskiej mści się na supermarketach, które wykończyły sad jego rodziców

cował przy wyborach europejskich i parlamentarnych w 2019 roku, potem szefował kampanii prezydenckiej Krzysztofa Bosaka.

Żonaty, czwórka dzieci, mieszkają na wsi, 30 km od Warszawy w kierunku na Radom, Kielce.

– Ale startuje pan z innego miejsca...

– Bo jestem z urodzenia ciechanowianinem.

Skończył socjologię w stołecznej Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, jeszcze jako student zaczął pracować dla różnych sondażowni.

– Poznałem techniki badań, co mi się teraz przydaje.

Po magisterce prowadził kilka firm handlowych.

– Obracałem różnym asortymentem, sprzedawałem w sieci...

Hobby Usiądka: rynki finansowe.

– Latami grałem na giełdzie i doradzałem, jak grać. Teraz mam tyle pracy związanej z kampanią wyborczą, że już nie śledzę kursów. Inwestuję bezpiecznie – w polskie obligacje skarbowe.

Do RN przystąpił w 2018 roku.

– Z powodów wyłącznie ideowych. Poglądy narodowe mam od czasów studenckich. Dużo czytałem o endecji, o myśli narodowej. To jest obecnie idea najbardziej przyjazna ludziom.

Nie ukrywa, że w ostatnich latach zrobił się zamożny.

– Osiągnąłem pewien status materialny, więc uznałem, że czas popracować dla Polski.

– A bardziej konkretnie?

– Chciałbym przywrócić Polakom kontrolę nad ich własnym życiem. Świat idzie w stronę coraz większego nadzoru nad rodziną, jednostką, pracownikiem... Coraz więcej nakazów, zakazów, politycy nam mówią, jak winniśmy żyć. A Konfedera-

Mogę wykręcić palce Ziobrze

My, prawnicy, przez te wszystkie lata byliśmy po prostu idiotami. Skazywaliśmy pospolitych rozbójników za kradzież z użyciem przemocy, a oni tylko wyrażali poglądy.

Marcin Matczak



Czy jeśli jestem bardzo niezadowolony z tego, że minister Ziobro niszczy polską praworządność, mogę podejść do niego na konferencji prasowej, wykręcić mu palce i wyrwać pistolet, który być może znowu ma za paskiem?

Okazuje się, że tak: bo w ten sposób po prostu wyrażam poglądy. Przynajmniej po konferencji prasowej w sprawie skazania Mariki M. – 22-letniej dziewczyny, działającej w skrajnie prawicowym Froncie Oczyszczenia Narodowego, która wraz z trzema facetami dokonała rozbój w kobiecie w centrum Poznania. Można – ponieważ w opinii Ziobry to, co robiła Marika, to „wyrażanie poglądów”. Tak – dobrze widzicie: przemoc, w rozumieniu człowieka, który ma dbać o sprawiedliwość w Polsce, jest po prostu „wyrażaniem poglądów”.

Marika wyrażała poglądy, wykręcając palce i wyrwijając tęczową torebkę – a więc zwalczała symbol wspólnoty LGBT. Dlatego minister zwolnił ją z odbywania kary i zapewnił prywatny transport do domu. Złoży też skargę nadzwyczajną do SN, by wyrok w sprawie Mariki podważyć, choć ona sama się od niego nie odwoływała. Złoży, bo ona, sprawiając ból, po prostu wyrażała swoje stanowisko.

Pójźmy dalej tym tropem. Okazuje się, że my, prawnicy, przez te wszystkie lata byliśmy po prostu idiotami. Skazywaliśmy pospolitych rozbójników za kradzież z użyciem przemocy, a oni tylko wyrażali swoje poglądy! Ci, którzy wyrwali kobietom torebki skórzane, protestowali zapewne przeciwko cierpieniu zwierząt hodowlanych. Ci, którzy wyrwali karty kredytowe – przeciwko pozbawianiu nas dostępu do gotówki. Ci, którzy wykręcali ręce, by wyrwać komuś telefony komórkowe, protestowali przeciwko maszynom 5G, a ci, co bili Niemców, domagali się reparacji.

Niestety, to nie jest śmieszne. Ziobro przez swoje działania w sprawie Mariki w pośredni sposób zachęca do przemocy – każdemu, kto będzie „wyrażał poglądy”, bijąc, policzkując, kradnąc i dokonując chuligańskich rozbójów, sugeruje, że o ile będą to poglądy, które i ministrowi są bliskie, taki ktoś może liczyć na parasol ochronny.

Już to przerabialiśmy: w Republice Weimarskiej, na moment przed przejściem władzy przez Hitlera. Badacze tego okresu zauważają, że sądy w tym czasie doznały patriotycznego wzmocnienia, co było wiadcem w ogromnym różnicowaniu wyroków wydawanych za te same przestępstwa w zależności od tego, czy dokonał go ktoś o poglądach prawicowych czy lewicowych. Jak podaje Emil Gumbel, średnia kara za zabójstwo polityczne w Republice Weimarskiej wynosiła 4 miesiące więzienia i 2 marki grzywny, jeśli zabójcą był prawicowy patriota. Ale jeśli był to radykalny lewicowiec, spotykało go już 15 lat więzienia albo kara śmierci.

Taki sam czyn, inne traktowanie, w zależności od poziomu patriotyzmu. Wtedy

zabijanie ludzi, dzisiaj wykręcanie palców i wyrwanie torebek. Ale konsekwencja jest jasna: 1 sierpnia albo 11 listopada prawnicy będą chętniej bić, gryźć i kopać, żeby Polska była znowu wielka. Bo już wiedzą, że minister sprawiedliwości uważa, że gdy przemoc stosuje się w zbrojnym celu, to można.

I nie mówcie mi, proszę, że Ziobro tylko sprzeciwia się zbyt surowej karze. Niech się sprzeciwia – ma ku temu narzędzia. Ale niech, do cholery, nie usprawiedliwia przemoc, bo doprowadzi do tragedii. A jak chce krytykować zbyt surowy wyrok, niech krytykuje siebie. To on codziennie trąbi o konieczności zaostrzenia kar, to on popierał zmianę kodeksu, która wprowadziła przepis o zaostrzeniu kary za występki chuligańskie, z którego skazano Marikę. Sąd nie miał innego wyjścia – zastosował najniższą możliwą karę, bo tak jako prawodawca zdecydował Ziobro. To jest szczyt hipokryzji – zaostrzyć kary, nie dać sędziemu szansy na łagodniejszy wyrok, a potem sędziego zaatakować za to, że jest zbyt surowy, bo uchwalone przez Ziobrę przepisy stosuje.

Prawicowi komentatorzy grzmią, że za gwałt na 12-letniej dziewczynce skazuje się u nas na cztery lata, a za wyrwanie torebki na trzy. Na kogo grzmiacie? Czy to sędzia uchwalili przepisy, w których jak byk stoi, że za gwałt można orzec nawet dwa lata, a za chuligański rozbój trzeba trzy? Oskarżacie o brak logiki PiS i ich zmiany w kodeksie karnym. To oni uchwalają prawo, nie sędziowie. To tacy ludzie jak Ziobro i Kaczyński ustalają, jakie są widelki kary, w których ma się poruszać sąd. Odczepcie się więc od sędziów i oskarżajcie Ziobrę i Kaczyńskiego.

Propaganda w sprawie Mariki to populistyczny trik, jaki PiS stosuje od lat – obniżyć zaufanie do sądów, aby to Kaczyński i Ziobro mogli pozować na jedynych sprawiedliwych. Gdyby ich posłuchać, można by dojść do wniosku, że wszyscy sędziowie w Polsce to idioci, którzy nie wiedzą, co robią, a jedynym sprawiedliwym sędzią może być polityk. I o to im chodzi. Dlatego Ziobro na konferencji nie mówi o tym, że zainteresowana wykręcała ofierze palce do zwichnięcia stawu, że w czasie procesu nie okazywała skruchy, że była dumna ze swojej przemocy. Że była zdegenerowaną jednostką – ministrowi to nie przeszkadza, o ile degeneracja służy celom politycznym, które sam uważa za słuszne.

Być może teraz się zmieniła i zasługuje na ulaskawienie. Ale ulaskawienie to nie pochwała tego, co przestępca zrobił, to nie promowanie jego czynu jako słusznego. Bo jeśli wszyscy jesteśmy wobec prawa równi, a to Ziobro uwielbia podkreślać, to powinna nas spotykać za wyrwanie torebki białej, zielonej, czerwonej czy fioletowej kara taka sama. I minister nie powinien używać swoich kompetencji, aby jeden rozbój popierać, a inny krytykować.

W sprawie Mariki to, że dokonała rozbój, było jasne nie tylko dla sądu, ale dla niej samej (nie odwoływała się od wyroku) i dla prokuratury Ziobry, która Marikę w tej sprawie oskarżała. I prokurator, i sędzia stosowali przepisy Ziobry i teraz za to, jak zapowiedział, poniosą karę. To oznacza, że ten człowiek sobie po prostu z Polaków kpi.

A najbardziej przerażające jest to, że swoimi słowami i działaniami puszcza jasny sygnał, że przemoc „patriotyczna” jest okej – bo to przecież tylko „wyrażanie poglądów”.

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Książka Marcina Matczaka już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

PO PRAWDZIE

PiS już zaczął

Lokalny poseł dziękuje wyborcom, lokalna posłanka zaprasza do biura, młody poseł życzy bezpiecznej drogi.

Agnieszka Kublik



PiS to ma pomysły. Teraz, kiedy kampanii jeszcze nie ma, produkują plakaty, które – według nich – nie są wyborcze, mimo że ewidentnie służą ich wygranej w wyborach.

Niedawno redakcyjny kolega wracał z Mazur do Warszawy i po drodze natknął się na kilka. A to jakiś lokalny poseł PiS dziękuje wyborcom. Niby nic wielkiego, ale miasteczko dalej inny lokalny poseł od Kaczyńskiego zaprasza do biura, wielki świeżutki afisz. Miasto dalej – posłanka PiS dziękuje i zaprasza do siebie. Kolejne kilkadziesiąt kilometrów i młody poseł PiS życzy mu bezpiecznej drogi, inny udanych wakacji...

To ogólnopolski trend. Michał Dworczyk – ten od kompromitujących władzę PiS maili ujawnianych przez portal Poufna Rozmowa – w Wałbrzychu i przy drodze z Kłodzka do Wrocławia porozwieszał swoje banery.

Portret Dworczyka i przekaz: „S8 przetarg ogłoszony. Budujemy nową drogę ekspresową. Dworczyk”. Tomasz Siemoniak z PO od razu zauważył, że „nic z fizyczną budową nie ruszyło” (mniejszymi literami jest zresztą napisane, że „ruszył przetarg”).

Grzegorz Macko z PiS, wice-marszałek dolnośląskiego, zalał Wałbrzych – każdą dzielnicę – billboardami z logo Urzędu Marszałkowskiego: „11 miliardów złotych – wynegocjowaliśmy rekordowe środki dla Dolnego Śląska”. „Przywracamy połączenia kolejowe na Dolnym Śląsku”. I jego całkiem spory portret.

A ponieważ w PiS plotkują, że to Macko będzie liderem kampanii w regionie wałbrzyskim, a nie Dworczyk, to już najprawdziwsza wyborcza bitwa.

Agnieszka Soin z PiS porozwieszała we Wrocławiu na płotach i budynkach swoje plakaty: „Agnieszka Soin poseł na Sejm

RP”. Mniejszą czcionką – zaproszenie na dyżur poselski i numer telefonu. Obok zdjęcie posłanki i rzecz jasna logo PiS.

Posłanka broni się przed zarzutami, że to już kampania, argumentem, że to „plakaty informacyjne”. Ale gdy dziennikarze chcieli się dodzwonić pod numer podany na „plakacie informacyjnym”, usłyszeli „wybrany numer jest w tej chwili niedostępny” albo nikt nie odbierał.

A w Polkowicach PiS wydrukował taki billboard: „Rząd Prawa i Sprawiedliwości przekazał w okresie (2018–2023) gminie Polkowice 100 mln zł, gminom powiatu polkowickiego 300 mln zł”.

To kampania wyborcza, ale ta jest prawem zakazana przed ogłoszeniem terminu wyborów, więc PiS utrzymuje, że robi prekampanię.

A przecież w prawie nie istnieje pojęcie „prekampanii”. To oznacza, że kampania wyborcza prowadzona przed ogłoszeniem terminu wyborów jest zwyczajnie łamaniem prawa. I potwierdził to wiosną (już wtedy prekampania ruszyła) Sylwester Marciniak, szef Państwowej Komisji Wyborczej. „Działania o charakterze agitacji wyborczej podjęte przed zarządzeniem wyborów naruszają zasadę równości kandydatów i komitetów wyborczych, są sprzeczne z zasadami dobrze pojmowanej kultury politycznej i są powszechnie odbierane jako obejście prawa m.in. przez osoby fizyczne promujące się w ten sposób” – to jego oświadczenie.

Już wtedy Marciniak przekonywał, że „nieodzwonne jest ustawowe uregulowanie konsekwencji niedozwolonego prowadzenia tzw. prekampanii wyborczej i jej skutków, zarówno dla gospodarki finansowej komitetów wyborczych”.

Bo teraz PKW „nie ma uprawnień do podejmowania działań w sprawach związanych z ewentualnym prowadzeniem tzw. prekampanii wyborczej”.

Krzysztof Sobolewski, sekretarz generalny PiS, bez ogródek przyznaje: „Pierwszy etap prekampanii podsumowaliśmy konferencją »Programowy Ul PiS«, której zwieńczeniem było przedstawienie przez prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego pierwszych trzech propozycji wyborczych. To, co sobie zaplanowaliśmy, konsekwentnie realizujemy”.

PiS w luce prawnej czuje się jak ryba w wodzie. Stare przyzwyczajenia umierają ostatnie. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielhiński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wietczorek, Marcin Kački, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTODYDZIA: Dorota Nowacka
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





• Wiec na rzecz odszkodowań za niewolnictwo w National Mall w Waszyngtonie, sierpień 2002 r.

FOT. SHAWN THEW/AP

10 MLN DOLARÓW, TYLE JEST WARTO LUDZKIE ŻYCIE

Wysuwając wobec Niemiec roszczenia za szkody sprzed 80 lat, przyznajemy prawo Litwie do podobnych pretensji wobec Polski – za 20-letnią okupację Wileńszczyzny

Jarek Gryz

Dziewięć lat temu amerykański publicysta Ta-Nehisi Coates opublikował w „The Atlantic” przełomowy artykuł „The Case for Reparations”, w którym argumentował za wypłatą odszkodowań czarnoskórym Amerykanom za dziesiątki lat niewolnictwa, a potem dyskryminacji. Nie był to oczywiście pierwszy raz, kiedy takie wezwanie sformulowano, ale odzew, jaki wywołał Coates, zmusił tym razem amerykańskich polityków do działania. Jedną z pierwszych decyzji Bidena po objęciu stanowiska prezydenta była deklaracja powołania par-

lamentarnej komisji do zbadania poklosia niewolnictwa i naprawienia krzywd jego ofiarom. Ale kwestia odszkodowań nie jest wcale w USA popularna; tylko jedna trzecia obywateli ją popiera, a wśród czarnoskórych – tylko połowa. Dzieje się tak zapewne ze względu na możliwe koszty tego przedsięwzięcia, ale może nawet bardziej ze względu na jego uzasadnienie. Nikt nie potrafi bowiem jasno odpowiedzieć na pytania: kto, komu, ile, za co?

Dyskusje toczące się w USA są dla nas o tyle ciekawe, że rzucają interesujące światło na roszczenia zgłaszane przez polski rząd wobec Niemiec.

Pierwszy konkretny ruch dla realizacji postulatów Coatesa zrobiła Kalifornia. Trzy lata temu powołano tam specjalną komisję do zbadania dyskryminacji mniejszości rasowych, głównie czarnoskórych Amerykanów, i ustalenia wysokości odszkodowań, które należy im wypłacić. Liczący setki stron raport pokazuje historyczne przypadki takiej dyskryminacji i wynikające z niej różnice stanu zdrowia, wykształcenia czy majątku między rasami. Do oszacowania wartości utraconego zdrowia komisja zaproponowała następującą formułę.

Przyjęto, że życie ludzkie warte jest 10 mln dolarów, i podzielono tę wartość przez lata życia przeciętnego białego. Następnie pomnożono wynik przez różni-

cę w długości życia białych i czarnych Kalifornijczyków, określając w ten sposób stratę, jaką ponieśli czarnoskórzy pod tym względem.

Podobne formuły zastosowano do oszacowania odszkodowań za dyskryminację w innych dziedzinach. W rezultacie komisja wyliczyła, że każdemu czarnoskóremu Kalifornijczykowi przysługuje 1,2 mln dolarów rekompensaty (San Francisco, jako bardziej postępowe, podniosło zaraz tę sumę do 5 mln). Wypłacenie odszkodowań wszystkim uprawnionym kosztowałoby stan 800 mld dolarów.

KAŻDY AGRESOR BYŁ KIEDYŚ OFIARĄ

Zwolennicy wypłaty odszkodowań za dyskryminację rasową powołują się na istniejące precedensy. W 1952 roku Niemcy wypłaciły Izraelowi odszkodowania za straty materialne poniesione przez Żydów w czasie Holocaustu. W samych Stanach Zjednoczonych Amerykanie japońskiego pochodzenia skutecznie dochodzili roszczeń od rządu federalnego za internowania w czasie drugiej wojny. Ale w obu tych przypadkach winowajca był jasno określony, a krzywdy – dość łatwe do oszacowania. I w żadnym z tych przypadków nie próbo-

wano obecnych różnic między grupami tłumaczyć przeszłymi krzywdami doznany przez jedną z nich.

Formuła użyta do kalkulacji odszkodowań przez kalifornijską komisję – choć surrealistyczna – jest klarowna. Jest to próba zignorowania czynnika, który najbardziej gmatwa dyskusję nad odszkodowaniami – czasu. Albowiem wpływ czasu maćci wodę. Brytyjska filozofka Onora O'Neill sformułowała tę trudność w taki sposób: „Roszczenia odszkodowawcze muszą wykazać, że następująca strata lub krzywda jest wynikiem uprzedniego bezprawia. Tam, gdzie wyrządzone krzywdy są odległe w czasie, jest to bardzo często niemożliwe. (...) O ile nie potrafimy wskazać związku przyczynowego, nie możemy stwierdzić, kto zyskał dzięki historycznemu bezprawiu i kto powinien teraz ponieść koszty rekompensaty dla upośledzonych współcześnie przez owo bezprawie”. Upływ czasu ma oczywiste znaczenie dla wiarygodności i wagi roszczeń.

Groteskowe byłoby wysyłanie dziś do Ułan Bator rachunku za najazd i śmierć Henryka Pobożnego osiem wieków temu.

Z drugiej strony bezdyskusyjne było, że niemiecki rząd po drugiej wojnie zobowiązany był zwrócić mienie zagrabione Żydom albo zrekompensować im straty. W tym przypadku państwo, które reprezentowa-

li nazistowski przestępca, i tożsamość ich żydowskich ofiar, a także relacje między ofiarami a ich spadkobiercami były jasne. A szkoda była określona i mierzalna. W takim przypadku rekompensata i odszkodowanie były w pełni uzasadnione.

Czy jest zatem jakaś cezura czasowa, poza którą roszczenia odszkodowawcze tracą walor? Pamiętamy, że odszkodowanie współcześnie żyjącym przysługuje wtedy, gdy potrafimy pokazać, jak krzywda wyrządzona wiele lat temu spowodowała ich obecny niedostatek. Należy więc pokazać, że status ekonomiczny czarnoskórych Amerykanów jest dziś gorszy, niż mógłby być, gdyby nie niewolnictwo i segregacja rasowa (która skończyła się w latach 60. XX wieku). Podobnie należy pokazać, że Polska jest dziś uboższym krajem, niż mogłaby być, gdyby nie wojenne zniszczenia. Co więcej, musimy też pokazać, że ci, od których żądamy odszkodowań, rzeczywiście ponoszą za przeszłe krzywdy moralną odpowiedzialność. Tymczasem ponad 20 proc. mieszkańców Niemiec to imigranci lub ich dzieci, a pozostali też trudno winić za występki ich dziadków.

Jeśli jednak stracimy z oczu bezpośrednich sprawców wyrządzonych krzywd, to paradoksalnie przestaje mieć znaczenie, jak wiele czasu od owych zdarzeń upłynęło. Jeden z byłych dyplomatów brytyjskich wspomina rozmowę, którą odbył wkrótce po odzyskaniu przez Nigerię niepodległości z jednym z nowych przywódców tego kraju. Kiedy Nigeryjczyk zażądał odszkodowań za lata kolonialnego wyzysku, dyplomata odpowiedział mu: „Absolutnie się zgadzam. Dostaniecie odszkodowanie natychmiast, jak my dostaniemy nasze od Rzymian”. Ta anegdota ilustruje też dobitnie historyczną zmienność ról przy żądaniach odszkodowawczych: każdy agresor był kiedyś ofiarą i na odwrót.

Wysuwając wobec Niemiec roszczenia za szkody sprzed 80 lat, przyznajemy tym samym prawo Litwie do podobnych pretensji wobec Polski – za 20-letnią okupację Wileńszczyzny.

Wspomniany we wstępie artykuł Coatesa był tak przełomowy, ponieważ autor zaproponował zupełnie nową metodologię w dyskusji o roszczeniach (skądinąd zastosowaną potem przez kalifornijską komisję). Coates unika całkowicie trudności opisanych powyżej, bo nie dochodzi szczegółowo, w jaki sposób dyskryminacja doprowadziła do upośledzenia ekonomicznego czy edukacyjnego czarnoskórych Amerykanów. Zamiast tego koncentruje się na skutkach tejże dyskryminacji i apeluje o ich eliminację. Oto główna teza autora: „Pew Research Center sz-

Dla wielu Żydów przyjmowanie pieniędzy od Niemców było upokarzające. Uważali, że uwłacza pamięci zabitych

cuje, że rodziny białych Amerykanów mają dwadzieścia razy większy majątek niż rodziny ich czarnoskórych współobywateli. Nie ma chyba lepszej miary ilustrującej haniebną tradycję naszego kraju niż ta majątkowa przepaść. Odszkodowania będą służyć jej zasypaniu”. Nietrudno zauważyć, że jest to teza tyleż radykalna, co całkowicie nieuprawniona. Istnienie różnic majątkowych między rasami nie dowodzi, że ich jedynym – czy wręcz jakimkolwiek – źródłem była dyskryminacja. Wspomniana wcześniej O'Neill tłumaczy to jednoznacznie: „Odszkodowanie należy się za straty wywołane przez poprzedzające je wykroczenia, a nie po prostu za obecne niedostatki jakkolwiek spowodowane”. Co więcej, wracamy znowu do kwestii odpowiedzialności: dlaczego obecnie żyjący Amerykanie – i którzy z nich – mieliby płacić za grzechy swych przodków? I wreszcie, jak zauważył trzeźwo jeden z krytyków, a co jeśli 10-20 lat po wypłacie odszkodowań różnice majątkowe nadal będą istniały? Czy to znaczy, że odszkodowanie było za niskie i należy je wypłacać dopóty, dopóki różnice majątkowe nie znikną?

ŚMIERCI LUDZI ZREKOMPENSOWAĆ SIĘ NIE DA

Ale najciekawszy chyba argument przeciw roszczeniowej gorączce w USA wyszedł od kanadyjskiego psychologa i publicysty Jordana Petersona. Nie jest to argument merytoryczny, bo nie dotyczy uzasadnienia czy wysokości odszkodowań, ale – jak na psychologa przystało – odnosi się do motywacji tych, którzy zgłaszają finansowe pretensje za wyrządzone szkody. Jest to według Petersona klasyczny przykład resentymentu. Resentyment to pojęcie z zakresu psychologii moralnej rozwinięte przez filozofów Fryderyka Nietzschego i Maxa Schelera. Jest to duchowe samozatrucie pociągające za sobą trwałą skłonność do fałszowania wartości i ocen moralnych. Odrucha-

mi uczuciowymi, które wywołują tę skłonność, są mściwość, nienawiść, zazdrość, zawiść. Ta odpychająca dyspozycja emocjonalna jest źródłem dość oczywistych patologii psychologicznych i społecznych.

Oto skąd według Schelera resentyment się bierze: „Podstawowym punktem wyjścia w resentymentcie jest odruch zemsty. Poprzednikiem każdego odruchu zemsty muszą być atak lub krzywda. Tutaj jednak ważne jest, że odruch zemsty nie pokrywa się z odruchem odpowiedzi cios za cios ani z odruchem obrony. Fakt zemsty cechują dwa znamiona szczególne: zahamowanie, przesunięcie reakcji zwrotnej na później, do chwili gdy powstaną okoliczności bardziej sprzyjające i wyraźne poczucie »bezsilności«. Sama więc zemsta jest przede wszystkim sprawą ludzi pod jakimś względem »słabych«.

Drugim punktem wyjścia dla resentymentu są zazdrość i rywalizacja. W przeżyciu zazdrości samo posiadanie przez kogoś innego dobra, do którego dążymy, dane nam jest zatem po prostu jako »zabranie« nam go przez innego człowieka”. A Nietzsche dodaje: „Resentyment dotyczy istot, które nie umiejąc reagować właściwie, tj. czynem, znajdują wyłączną rekompensatę w zemście wymaganej. Cechy człowieka słabego: nieofensywność, nawet tchórzostwo tak częste u niego, gotowość wystawiania u drzwi, wewnętrzny przymus wyczekiwania”. Zwróćmy uwagę, że za każdym żądaniem odszkodowania stoi jakaś krzywda, za którą nie mogliśmy i nie możemy wziąć odwetu, bo byliśmy za słabi.

I dlatego kiedy „żądamy” rekompensaty, to tak naprawdę tylko się napraszamy, bo żądać może wyłącznie ten, kogo stać na egzekucję rozstrzała. Stawiamy się w oczach naszego ciemniejszy w roli ofiary, która zasługuje na litość i być może jałmużnę. W rezultacie upokarzamy się, licząc, że coś skapnie nam z pańskiego stołu.

Oczywiście, nie każde żądanie odszkodowawcze podszyte jest resentymentem. Tam, gdzie chodzi o konkretne dobra,

a sprawcy są znani, apelujemy po prostu o sprawiedliwość. Ale dla niektórych ludzi nawet taki „apel” jest zbyt upokarzający. Ciekawą ilustracją tego przypadku była historia negocjacji izraelsko-niemieckich w 1952 roku.

Decyzja o rozpoczęciu negocjacji wywołała w Izraelu gwałtowne protesty. Przeciwno jakiegokolwiek ugodzie z Niemcami protestowała niemal cała opozycja polityczna. W dzień debaty nad porozumieniem Menachem Begin zorganizował przed Knesetem ogromną demonstrację, w czasie której doszło do starć z policją. Setki ludzi zostały aresztowane, a wielu było rannych. Była to w historii Izraela najbardziej znacząca próba wywarcia społecznej presji na demokratycznie wybrany parlament. Zgoda Knesetu na negocjacje bynajmniej nie zakończyła protestów. Kilka miesięcy później oficer izraelskiej armii Dov Shilansky został aresztowany przed gmachem ministerstwa spraw zagranicznych z bombą, którą zamierzał tam zdetonować. Kilka bomb wysłanych zostało pocztą do kanclerza Adenauera, a eksplozja jednej z nich zabiła policjanta.

Skąd ta wrogość do przyjęcia odszkodowań? Otóż dla wielu Żydów przyjmowanie pieniędzy od Niemców było upokarzające. Nie chcieli oni litości od swych oprawców i uważali, że przyjmowanie od nich pieniędzy uwłacza pamięci zabitych.

Nie pomogło nawet to, że Światowy Kongres Żydowski, który był stroną w negocjacjach, na samym ich wstępie przyjął uchwałę, że mają one dotyczyć wyłącznie strat materialnych, sugerując, że śmierci ludzi zrekompensować się nie da. A sam Ben Gurion, rozpoczynając negocjacje, powiedział, że robi to nie dla rekompensaty, ale po to, by „mordercy Żydów nie stali się też ich [materialnymi] spadkobiercami”. Wielu Żydów chciało prawdziwego odwetu czynem. Przyznał się do tego nawet Ben Gurion, tak tłumacząc swoją decyzję: „Jeśli mógłbym odebrać Niemcom ich dobytek bez konieczności siadania z nimi nawet na minutę, ale w jeepach i z karabinami maszynowymi (...), tobym to zrobił. Ale nie mogę”.

Warto przypomnieć, że Izrael istniał wówczas dopiero od czterech lat i był państwem bardzo ubogim. Tym bardziej więc zasługuje na szacunek postawa tych, którzy uważali, że nie od każdego i nie za wszystko można brać pieniądze. Szkoda, że tak niewielu dziś o tym pamięta. ●

**POSEZONOWA
CISZA
MAŁYCH
MIASTECZEK**

**JEST BARDZIEJ
NIEPOKOJĄCA
NIŻ MOGŁOBY SIĘ
WYDAWAĆ**

MAŁGORZATA
SOBIESZCZAŃSKA

NIE ZASŁUŻYLI NA ŻYCIE.
ALE ŚMIERĆ DA IM ODKUPIENIE

**ZŁOTY
KRAG**

Cała ta teatralność,
śmierć, która
przypominała
misterium, miała
służyć właśnie temu:
oni nie zasłużyli
na życie.
Ale zasłużyli
na śmierć,
która da im
odkupienie win.

Przed ponad dekadą francuski historyk Pierre Nora, ojciec pojęcia „miejsca pamięci”, zaliczył dziedzictwo do najważniejszych pojęć opisujących ducha czasu, tzw. nasz moment kulturowy. Niegdyś dziedzictwo dotyczyło wyłącznie zabytków. Ich wybór i znaczenie określały elity. Trwający od lat 90. proces demokratyzacji pamięci spowodował też przesunięcie granic definiowania dziedzictwa, co Nora ujął lapidarnie: „Zabytek-relikwioty zmienił się w dziedzictwo-pamięć”. Niektórzy mówią nawet, że dzięki nowym technologiom weszliśmy w etap „produkcji dziedzictwa”.

Proces upowszechnienia dziedzictwa i jego znaczeń ciągle narasta. Przede wszystkim zauważone zostało dziedzictwo grup podporządkowanych, co doprowadziło do zmiany w badaniach dziedzictwa do tzw. zwrotu krytycznego w 2010 r. Jego sens wyrażają działania podważające opinie uznanych autorytetów w kwestii dziedzictwa, takich jak np. UNESCO.

Ostatnim punktem kulminacyjnym o zasięgu globalnym był ruch Black Lives Matter. Dokonane przez policjanta zabójstwo afroamerykańskiego obywatela doprowadziło do powstania ruchu sprzeciwu wobec afirmacji dziedzictwa kolonializmu, co w praktyce oznaczało burzenie symboli kolonializmu, np. pomników Krzysztofa Kolumba, w miastach amerykańskich i europejskich.

Ofiarą dekolonizacji niechcianego dziedzictwa padł przez przypadek także Tadeusz Kościuszko, który jako generał walczył o niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki i był przeciwnikiem niewolnictwa.

W globalnym dyskursie niechcianego dziedzictwa słabo odzwierciedla się doświadczenie Europy Środkowej i Wschodniej. I nie zmienimy tego, gdy np. na niechciane dziedzictwo w Polsce patrzeć będziemy z perspektywy niemieckiej albo rosyjskiej/sowieckiej polityki kolonialnej XIX i XX w. oraz postkolonialnego dyskursu – a więc angloamerykańskich doświadczeń i modeli teoretycznych.

Długo nie lubiłem pojęcia „dziedzictwo”. Drażniło mnie, że jakieś międzynarodowe organizacje definiują, co to jest, że UNESCO określa ramy uznania bądź nieuznania czegoś za dziedzictwo. Wynikało to z faktu, że miejsce, w którym się urodziłem i żyłem przez kilkanaście lat, nijak nie pasowało ani do matrycy polskiego dziedzictwa, o którym uczyłem się w szkole, tak jak moi rówieśnicy z Warszawy czy Łodzi, ani do preferowanego komunistyczno-narodowego obrazu polityki historycznej PRL-u.

Tym miejscem jest Węgorzewo, dawniej Angerburg na Mazurach, w południowych Prusach Wschodnich. Nawet stolica regionu – leżący na sąsiedniej Warmii Olsztyn, dawniej Allenstein – nie całkiem pasowała do głównego nurtu polskiej historii. Mogła się pochwalić polskim katolicyzmem, objawieniami Matki Bożej w pobliskim Gietrzwałdzie, obro-



Adam Michnik poleca

FAJNY TEN ZAMEK PO KRZYŻAKACH

Co zrobić z niechcianymi pomnikami,
które stawiali niechciani władcy, dawni wrogowie, okupanci?

Robert Traba*

na miasta przez Mikołaja Kopernika przed Krzyżakami i ponad 300 latami przynależności do polskich Prus Królewskich, ale i tak daleko jest Warmii do głównego nurtu polskiej historii.

Młode pokolenie Niemców z trudem w ogóle potrafi odnaleźć Mazury i Warmię na historycznej mapie Europy. A przecież jest to przykład trudnego, ale wspólnego dziedzictwa. Takie hybrydyczne miejsca w Europie Środkowej są raczej normą niż wyjątkiem.

Globalne koncepcje dziedzictwa powstały w świecie doświadczeń postmigracyjnych, głównie Ameryki Północnej i Wspólnoty Brytyjskiej. Wyrastały one z konfrontacji kolonizujących z kolonizowanymi. W Europie Środkowej dziedzictwo było głównie pochodną wielowiekowego sąsiedztwa kultur, sporów granicznych, raz dominacji, innym razem podporządkowania.

Jeżeli symbolicznie wiek XX zamkniemy w klamrze 1914 (wybuch I wojny światowej) – 2004 (pierwsze rozszerzenie Unii na wschód), to w jednej trzeciej tego okresu południowe Prusy Wschodnie należały do Niemiec, a w dwóch trzecich do Polski, w tym przez prawie 70 proc. tego okresu Polska była krajem autorytarnym. Ponadto południowe Prusy Wschodnie przeżyły dwie okupacje: rosyjską w 1914 i sowiecką w 1945 r., już jako polski okręg mazurski.

Po wojnie stopniowo nastąpiła prawie całkowita wymiana ludności. Dziś rodzi się tu już czwarta generacja polskich obywateli, z czego ok. 1 proc. to potomkowie wysiedlonych po zakończeniu II wojny z południa Polski Ukraińców. Podobny rząd wielkości dotyczy identyfikacji jako Warmiak, Mazur i Niemiec.

W Niemczech żyje ostatnia generacja Niemców, którzy jako dorośli, najpóźniej w latach 80., opuścili Warmię albo Mazury.

Co w takim regionie jest dziedzictwem? Do kogo ono należy? Co jest „naszym” chcianym, a co niechcianym dziedzictwem? I kto tu był kolonizatorem, a kto kolonizowanym? A może te pojęcia nie są adekwatne do znaczenia dziedzictwa w takich hybrydowych regionach środkowoeuropejskich?

Do odpowiedzi dochodziłem na początku drogą oddolnych praktyk kulturowych i intuicji. Dopiero z czasem przyszła wiedza, lektury prac Stanisława Ossowskiego, Nory, Jana i Aleidy Assmannów, wpływ szkoły Klause Zernacka, którego uczniowie i współpracownicy z Polsko-Niemieckiej Komisji

Podręcznikowej dziś są uznani profesoremami.

Poszukiwałem własnej drogi. Z pomocą dość wcześnie przyszedł mi – o czym on sam nie wie – Nora i jego „ego-historie” – próba pisania historii współczesnej w podwójnej roli: badacza i obiektu badanego.

W 1990 r. uruchomiłem z grupą przyjaciół (Wspólnota Kulturowa „Borussia”) oddolny proces deszyfracji krajobrazu kulturowego, w którym przez przypadek przyszło mi się urodzić i żyć. Chodzi o krajobraz Mazur, który dla generacji moich rodziców, polskich reemigrantów z Francji, był obcy, bo niemiecki. Był szczególnie, bo mój ojciec był jeńcem wojennym w mazurskim Angerburgu, a przyszło mu żyć w powojennym Węgorzewie. Z czasem dopiero odkrył, że chodzi o to samo miasto.

Dla pokolenia pierwszych mieszkańców Warmii i Mazur po 1945 r. dziedzictwo znajdowało się daleko – w Wilnie, Lwowie, Grodnie... albo w Burgundii, jak dla moich rodziców. Wszystko wokół było obce. Wspólna była myśl o Polsce jako fantazmacie, tyle że każdy wyobrażał go sobie inaczej.

Kilka miesięcy przed zakończeniem II wojny delegacja polskich Mazurów żądała, by „znieść, zburzyć, zetrzeć z powierzchni ziemi wszystkie dawne zamki krzyżackie, by ślad po nich nie został, a wspomnienie zaginęło”. Zamki nie zginęły, choć długi czas ich obecność interpretowana była jako dziedzictwo „niemieckiej ekspansji i kolonializmu”.

Czy mi się to osobiście podoba, „zamki i pałace Prus Wschodnich” obok „ciemnych mazurskich lasów i kryształowych jezior” stały się najbardziej rozpoznawalną marką miejscowej turystyki. Nie tylko dla Niemców. Co w takim razie jest w regionie kłopotliwym dziedzictwem?

Jeżeli przyjmiemy, że dziedzictwo to nie tylko „rzeczy”, lecz przede wszystkim ich

znaczenie, to w zasadzie każde dziedzictwo może być kłopotliwe. Bo podlega różnym interpretacjom i naciskom różnych grup interesów.

Materialną spuściznę możemy zniszczyć, chronić albo zastępować ją innymi obiektami. Tak np. po II wojnie „zniknęło” z powierzchni ziemi dzieło braci Johanna i Waltera Krügerów – największy niemiecki pomnik międzywojnia, Reichsheldenmal (1935), poświęcony niemieckiemu zwycięstwu w bitwie pod Tannenbergiem (1914). W 1945 r. wycofujące się wojska niemieckie wysadziły pomnik; znalazł się w granicach Polski, 28 km od Olsztyna. Dziś w miejscu pomnika znajduje się porośnięte trawą wzgórze.

W czasie II wojny w odległości wzroku od Tannenbergskiego Pomnika Narodowego powstał niemiecki obóz jeniecki Stalag IB Hohenstein, w którym straciło życie ok. 50 tys. jeńców, głównie sowieckich. Jeszcze do końca XX w. znajdowało się tam skromne upamiętnienie. W drugiej dekadzie XXI wszystko „zniknęło”, bez ideologii, po prostu musiała powstać nowa droga szybkiego ruchu i fragment osiedla.

Podobny los spotkał inny pomnik braci Krügerów. Powstał w Olsztynie i był poświęcony zwycięstwu Niemców w plebiscycie w 1920 r. Został zniszczony, a od 1972 r. na jego miejscu stoi polski pomnik „wyzwolenia narodowego i społecznego Warmii i Mazur”.

Świat się z tego powodu nie zawalił. Kto zyskał? Na pewno narodowa edukacja, która zgodnie z polityką historyczną stara się przede wszystkim uczyć o własnej zwycięskiej albo martyrologicznej historii. Dziś w Polsce ta tendencja jest mocno spotęgowana, ale dostrzegam jej różne warianty także we Francji czy Włoszech.

Może warto zachować niechciane dziedzictwo? Koncepcja sukcesji kulturowej stwarza pozytywną sferę interpretacji. Traktuje dziedzictwo jako aktywny proces negocjacji znaczeń i sensów, jakie nadajemy rzeczom/zabytkom. W sytuacji gdy rzeczy zmieniały swoich właścicieli w wyniku przesunięć granic bądź/i przymusowych migracji, sukcesja wyklucza wyłączność narodowego prawa do dziedziczenia.

Proces dziedziczenia nie zamyka się jedynie w obiektach, które powstały przed 1918 czy przed 1945 r., gdy nastąpiły największe zmiany granic w Europie Środkowej. On trwa nadal, gdy nowi sukcesorzy miejsca tworzą swoje pomniki, a starym nadają nowe znaczenia. Oryginalna, autentyczna jakość dziedzictwa powstaje wówczas, kiedy nowi mieszkańcy potrafią pozytywnie skonfrontować zastane dziedzictwo miejsca z własną pamięcią rodzinną, która kształtowana była w zupełnie innej rzeczywistości.

A co zrobić z niechcianymi pomnikami, które stawiali ku swęj chwale niechciani władcy, dawni wrogowie, okupanci czy rodzime systemy totalitarne? W Polsce prawo od 2016 r. zakazuje upamiętniać „osoby, organizacje, wydarzenia lub daty symbolizujące komunizm lub inny ustrój totalitarny”. W ten sposób np. często przywoływana w Niemczech jako

„polska filozofka, aktywistka na rzecz wolności i działaczka ruchu komunistycznego” Róża Luksemburg w Polsce nie ma prawa być publicznie upamiętniana, bo zalicza się do „niebezpiecznych propagatorek komunizmu”.

W ostatnim roku najpopularniejszym w Polsce przykładem sporu o niechciane dziedzictwo stał się pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej w Olsztynie. Dziś jest najwybitniejszym (obok pomnika Czynu Powstańczego na Górze św. Anny) dziełem Xawerego Dunikowskiego.

W wieku 69 lat wyszedł z Auschwitz, gdzie przeżył prawie pięć lat. Niecałe dziesięć lat później ukończył, wspólnie z zespołem, pomnik w Olsztynie jako dar „wdzięczności Armii Czerwonej”.

Ani rewolucja „Solidarności”, ani zmiana systemu politycznego w 1989 r. nie doprowadziły do spontanicznego zniszczenia pomnika. Służył różnym celom, również sprzecznym z ideą jego twórców. Nawet dziś niewielka większość olsztyńskich chce jego zachowania. Jednak decyzją ministra kultury pośrednio został skazany na rozbiórkę i relokację, co w praktyce równa się jego likwidacji.

W demokratycznym społeczeństwie pomnik Dunikowskiego powinien należeć do mieszkańców miasta Olsztyna. Niedysiejszemu pomnikowi ku chwale Armii Czerwonej można by dziś nadać inne znaczenie

Głównym argumentem przeciw pomnikowi są sowieckie zbrodnie popełnione w 1945 r. i sowiecka dominacja w Polsce do 1989. Ten argument wzmacnia rosyjska agresja na Ukrainę. Głównymi argumentami za zostawieniem pomnika są jego wartość artystyczna oraz walka Armii Czerwonej przeciw zbrodniczej Trzeciej Rzeszy, bez której nie zostałyby tak szybko zakończone wojna i wyzwoleni więźniowie, np. KL Auschwitz.

Teoretycznie, na gruncie współczesnej debaty o niechcianym dziedzictwie, jest to spór między perspektywą ofiar a perspektywą elit. W praktyce polskiej topografii politycznej znaczy to tyle, że likwidacji pomnika chcą bardziej środowiska związane z rządzącą prawicą, a pozostawienia większość środowisk liberalno-lewicowych.

W północnych Włoszech odnalazłem jeszcze inny przykład funkcjonowania sukcesji kulturowej. W Bolzano/Bozen, stolicy Tyrolu Południowego, przez dekady stał i budził negatywne emocje włosko-faszystowski pomnik zwycięstwa. W 2014 r. stworzono tam wystawę o historii monumetu w czasach włoskiego fa-

szyzmu i niemieckiego nazizmu, dzięki czemu niechciane dziedzictwo stało się wspólną dla Włochów i większościowej w regionie grupy włoskich Niemców akceptowalną pamięcią miejsca.

Oba przypadki zupełnie nie pasują do modelu rozliczeń z niechcianym dziedzictwem w USA i Europie Zachodniej, gdzie rządzący bronią niechcianych pomników.

Z perspektywy badań nad kulturą pamięci przypomina to spór między władzą a historią z lat 90. i na początku XXI w. Rozpoczęło go prawne zwalczanie negacjonizmu (negowania zbrodni Holocaustu) we Francji, a następnie w większości krajów Unii. Raz prawne interpretacje historii narzucała lewica, raz prawica. Pamięcią zarządzał nie dialog, tylko większość, która akurat sprawowała władzę. Niezależnie od tego, czy będzie to moralnie słuszną perspektywą ofiar, czy jednostronny dyktat interesów dominującej grupy społecznej, zawsze prowadzić to będzie do zagrożenia wolności badań i dominacji pamięci nad historią.

Pod koniec pierwszej dekady XXI w. wydawało się, że świadomość tych zagrożeń przestała budzić kontrowersje. Symbolicznym przekazem w obronie historii przed władzą był apel francuskich historyków z Blois (2008). Tymczasem prawie równoległe podobny spór przeniósł się na płaszczyznę dziedzictwa, co w Niemczech nabrało szczególnego znaczenia w kontekście rozliczenia z kolonializmem i budowy berlińskiego zamku. Powróciły pytania: co jest dziedzictwem? I do kogo ono należy?

W demokratycznym społeczeństwie pomnik Dunikowskiego powinien należeć do mieszkańców miasta Olsztyna. Niedysiejszemu pomnikowi ku chwale Armii Czerwonej można by dziś nadać inne znaczenie. Całe założenie pomnikowe mogłoby się np. stać „Projektem dla Pokoju”, który połączyłby artystyczną dekonstrukcję militarnych akcentów z otwartym muzeum. Zyskalibyśmy nowy obraz dzieła sztuki i wizualną opowieść o dramatycznej historii regionu.

Sukcesja kulturowa otwiera drogę do nadawania nowego sensu dawnym, niepolskim (albo „nie naszym”) obiektom po to, by stały się autentycznym wyrazem naszego działania i myślenia. I tak Bet Tahara, żydowski dom przedpogrzebowy w Olsztynie, stał się Centrum Dialogu Międzykulturowego, a barokowy pałac, rodowa siedziba rodu Lehdorffów na północnych Mazurach, podnosi się z ruin jako „SteinORT/SztynORT. Miejsce historyczne i Forum Dialogu Europejskiego”.

W odpowiedzi na moją internetową akcję w obronie pomnika Dunikowskiego olsztyński pisarz Mariusz Sieniewicz napisał celną frazę:

„Nie wiem, czy od burzenia pomników staniemy się lepsi i bardziej szlachetni, czy będziemy bardziej otwarci na złożoność, niejednorodność życia, ludzi, przeszłości. Niewykluczone bowiem, że pewnego dnia coś innego nie spodoba się nam w naszej historii i – zamiast ją przepra-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Krzysztof Czyżewski**

zatrute ziarno

walczącym Ukraińcom

*wpada w oko dla chustek lez nieuchwytnie
zgrzyta w zębach mulem mowy naniesione
płynie starą krwią z nieoczyszczonej rany
wschodzi drogą zaniechania przenoszone*

*ktoś kiedyś zamiast zabić puścił je wolno
w litościwym sercu zapuszcza korzenie
winne śmierci cierpienia wydaje owoc
i gubi za pokoleniem pokolenie*

*wierzą że nie wszędzie w ogrodzie niewinnych
że w ziemi ofiarą usianej obumrze
owocu nie wyda jeśli człowiek broń złoży
pamięć zatrze na krzywdzie posadzi róże*

*nie nie obumrze ani w próchni upadku
ani w trwogach końcem świata porzewiałych
ani w czarnoziemie grzechów odpuszczonych
nie obumrze w wodach piołunem zgorzkniałych*

*dopokąd żyje nie dostąpi przemiany
goryczką przyprawi pokarm tak polechce
podniebienia do smaku jadu nawykle
że zgniliznę za słodycz brać będzie serce*

*zatrute ziarno obumiera z przemiany
nie wtedy gdy oddajesz za innych życie
lecz gdy zabijasz by niewinnych ocalić
by winę udźwignąć i miłość wykrzyknąć*



****Krzysztof Czyżewski** – ur. w 1958 r., animator kultury, poeta i esejista, współtwórca Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach.

FOT. GRZEGORZ DĄBROWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

FOT. ARKADIUSZ STANKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

cować – zburzymy tę niewygodną dla nas jej część. Łatwo wzbudzić ślepe populizmy”.

Podpisuję się pod tą tezę. Dziś żyjemy w czasie, gdy populizmy w Europie i Ameryce „wyprodukowały” społeczne zapotrzebowanie na narodowe dyskursy. W sensie kulturowym wspierają się one na twardych narodowych narracjach, w których nie ma miejsca dla dialogicznego pamiętania (Aleida Assmann) i dziedzictwa niechcianego.

Sukcesja kulturowa wytwarza dialog w dwóch wymiarach: pokoleniowym i transnarodowym. Nie chcę ulegać pokusie uproszczonych diagnoz i naiwnego prognozowania na temat jej znaczenia w przyszłości. Ma szansę stać się niedopowiedzianą częścią globalnego dyskursu kłopotliwego dziedzictwa. W relacjach bilateralnych naładowanej konfliktami historii daje szansę na partnerski, międzypokoleniowy dialog. ●



***Robert Traba**

• ur. w 1958 r., profesor nauk społecznych, historyk. Od 2002 r. w ISP PAN, w latach 2006–18 dyrektor założyciel Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie. Ostatnio otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Marcina Lutra w Halle i Wittenberdze. Artykuł to nieco zmieniony tekst wykładu, który wygłosił, odbierając to wyróżnienie. Tytuł – „Wyborcza”.

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

Miecz i drabina

Może Kaczyński, pomny wydarzeń z 1015 roku, obawia się kamieni rzuconych na jego ludzi przez kobiety? Oraz przewiduje, że jego wściekłość i zuchwałość zostaną przez nie poskromione?

Michał Rusinek



Ostatnie tygodnie obfitują w wydarzenia i deklaracje o wymiarze głęboko metaforycznym, odnoszące się do czasów pradawnych, czasów chwały oręża polskiego. Wymieniłem tylko dwa, bo istnieje między nimi pewna łączność, którą należałoby dostrzec, by zrozumieć, jak władza postrzega samą siebie oraz swoją kampanię wyborczą.

Oto na Jasnej Górze wicepremier Jacek Sasin przekazał ojcu Tadeuszowi Rydzkowi miecz, zakupiony przez Grupę Enea, pochodzący rzekomo z czasów Mieszka I. Miecz ma trafić do Muzeum „Pamięć i Tożsamość”, którego pomysłodawcą jest właśnie ojciec Rydzki. Pomijając fakt, że miecz jest prawdopodobnie falsyfikatem, o czym świadczą nie tyle zdumienie ekspertów – nic nie wiedzieli o jego istnieniu, nie opatrywano wówczas mieczy złotymi inskrypcjami, miecz został podobno kupiony w antykwariacie, a handel zabytkami archeologicznymi jest w Polsce zabroniony; co więcej, miecz jest w podejrzeniu dobrym stanie, a ekspertom nie udostępniono zdjęć konserwatorskich – ile sposób trzymania go na scenie pod ołtarzem: gołymi rękami, choć wiadomo, że tak cenny i stary artefakt dotykać można tylko w rękawiczkach. Być może wicepremier Sasin oraz ojciec Jan Król, dyrektor wspomnianego muzeum, nie wierzą, by ich pot mógł zaszkodzić tysiącletniemu metalowi, a nawet sądzą, że doda mu on stosownej, symbolicznej patyny.

Ważniejszy jest bowiem symboliczny wymiar tego artefaktu, co – z mieczem w dłoniach – wyjaśnił wicepremier: „Ten miecz pochodzi z czasów, kiedy trzeba było właśnie przy pomocy miecza bronić naszej wiary, bronić religii, bronić naszej tożsamości. Dzisiaj ta obrona jest w dalszym ciągu niezwykle aktualna [...], dzisiaj musimy znowu bronić wiary, musimy bronić polskości, musimy bronić naszej tradycji, naszego światopoglądu, naszego stylu życia, bronić rodziny również. Dzisiaj oczywiście nie będziemy tej obrony toczyć przy pomocy takich historycznych artefaktów, ale będziemy toczyć tę obronę przy pomocy takich instytucji pamięci”. Tu miał na myśli muzeum. Zwróćmy jednak uwagę na nowatorskie sformułowanie: „toczyć obronę”. Toczy się raczej wojnę, walkę, ewentualnie spór i prawdopodobnie pierwszy raz w historii polskiej frazeologii ktoś postanowił toczyć obronę. Obronę zwykle się prowadzi, staje się w obronie lub się pod nią ucieka, a jej symbolem byłaby raczej tarcza – za którą lub pod którą można się skryć. Jeśli ktoś jednak się uprze i będzie chciał obronę toczyć, zwłaszcza za pomocą miecza, to będzie oznaczało, że wyobraża ją sobie właściwie jako atak. A także chce, żebyśmy i my tak ją sobie wyobrażali. Nie ma się co dziwić: tarcza jawi się o wiele mniej godnie i dumnie niż miecz, którego dzierżenie w dłoniach bardziej przystoi dumnemu mężczyźnie (por. Freud). Nawet jeśli ów miecz jest prawdopodobnie kosztowną atrapą (por. znów Freud) lub został nabyty nielegalnie. I nie ma się co zżymać, że ćwierć miliona złotych zapłaciła za niego państwowa spółka

energetyczna, a więc wszyscy złożyliśmy się na ten zakup: duma jest bezcenna.

Dzień wcześniej inny polityk partii rządzącej, od niedawna także wicepremier, Jarosław Kaczyński wziął udział w pikniku rodzinnym organizowanym przez PiS w Pułtusku. Piknikową atmosferę tworzyli tam inni politycy tej partii, ministrowie Sasin, Telus i Kowalczyk, którzy nie mieli na sobie ani krawatów, ani nawet marynarek. Kaczyński wystąpił w czarnym garniturze i czarnym krawacie, przez co z jednej strony sprawiał wrażenie, jakby przyszedł na pogrzeb, a z drugiej wyglądał nieco jak sędzia na meczu piłkarskim. Mówił o dotychczasowych sukcesach ekipy rządzącej, o wielkich planach (np. zbudowania takiego lotniska, z którego będzie się dało dolecieć bezpośrednio do Australii), powiedział niechętny dwuznaczne zdanie: „my chcemy mieć bogate polskie rodziny”, aż wreszcie zadeklarował, że jeśli zagłosujemy na jego partię, to w Polsce będzie po prostu coraz lepiej. Posłużył się nawet słowem „postęp”, które w języku prawej strony miewa konotacje negatywne: arcybiskup Sławoj Leszek Głódź mówił cztery lata temu o demonie postępu i nowoczesności, który czyni wielkie spustoszenia w Europie Zachodniej, bo postęp stanowi zagrożenie dla tradycyjnych wartości. Ale, jak widać, postęp nie musi mieć twarzy demona. Postęp, który proponuje PiS, jest postępem dobrym dla Polski.

Ów postęp, ową „drogę do góry”, Kaczyński nam zobrazował nieco ryzykownie – jak sam stwierdził – bo metaforycznie: za pomocą drabiny, po której się będziemy wspinać: „I chociaż pewnie będą leciały nam na głowę kamienie, to – jeśli uzyskamy poparcie od państwa – i te kamienie nas nie zatrzymają”. Wyobraźmy to sobie: widzimy polityków Prawa i Sprawiedliwości wspinających się po drabinie i usiłujących uniknąć uderzenia kamieniami ciskanymi na nich z góry. Drabina nie może stać w próżni, nawet taka metaforyczna. Musi być o coś oparta. W tym przypadku – o mury jakiejś twierdzy, którą PiS zamierza zdobyć, a której bronią jego przeciwnicy lub przeciwniczki. Jest to wizja zdumiewająca w kontekście dotychczasowej pi-sowskiej metaforyki, w której to Polska jest twierdzą bronią przez PiS przed wrogami z zewnątrz. To wrogowie przystawiają do niej drabiny i próbują się po nich wspiąć, a PiS ciska w nich kamienie i buduje płoty czy zasieki. Podesyca też w nas poczucie zagrożenia i na nim próbuje budować nasz patriotyzm. Dzień później wicepremier Sasin, a także arcybiskup Jędraszewski i ojciec Rydzki będą te zagrożenia nazywali po imieniu. Miecz, który wręczy Sasin Rydzkowi, ma przecież służyć do „toczenia obrony”.

Jak sobie poradzić z tą metaforyczną sprzecznością? Atakują czy się bronią? Zdobywają twierdzę czy dają odpór tym, którzy chcą ją zdobyć? Jeśli odwołują się do historii zbliżonej do czasów rzymskiego powstania wspomnianego miecza, to czy raczej do oblężenia Budziszyna z 1029 roku, kiedy to polskie rycerstwo obroniło gród przed atakiem niemieckiego cesarza Konrada II, czy może do oblężenia przez wojska Mieszka I Miśni, broniącej przez margrabiego Hermana w 1015 roku? Kronikarz niemiecki Thietmar tak owo oblężenie opisywał: „Margrabia Herman widząc jak jego nader szczupła garstka obrońców słabnie, zwątpił w ocalenie [...]. Następnie zaś przywołał na pomoc niewiasty. Te stanęły na szańcach i rzucając stąd kamienie wsparły mężczyzn. Ogień, który podłożono, ugasiły z braku wody miodem i, Bogu dzięki, poskromili wściekłość i zuchwałość wroga”. Może więc Kaczyński, pomny wydarzeń z 1015 roku, obawia się kamieni rzuconych na jego ludzi przez kobiety? Oraz przewiduje, że jego wściekłość i zuchwałość zostaną przez nie poskromione?

Tak czy owak, metaforyka partii rządzącej pokazuje, że PiS nie bardzo wie, co robi: czy broni, czy atakuje. I ujawnia też, czego, a właściwie kogo, się obawia. Wnioski – pozostawiam politykom, a zwłaszcza polityczkom opozycji.

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Żółd pestek

Janusz Rudnicki

Paru gości wypada zaprosić, postawić coś wypada mi. Kurier był, z ciężką paczką, w niej książka moja nowa. Więc do sklepu, trudno, znowu po wyjściu z bramy patrzył będę wszędzie, ale nie prosto. Bo zaraz naprzeciwko niebotycznie wysoki słup ogłoszeniowy, a na nim plakat. Z nim. Remigiusz Mróz, król nakładów, z berłem w postaci nowej książki. On ma ją na plakacie, ja w kartonie, sztuk osiemnaście, może rozjedzie się więcej. Jego wielkość obnaża moją małość. Raz, żeby choć raz wyjść poza zaliczkę przy każdej wydanej książce, takie było marzenie, ściętej mojej głowy. Jako żołnierz „Wyborczej”, a nie jej oficer, dostaję żółd, a nie wypłatę. Jakie to deprymujące, człowiek robi jedyną w życiu rzecz, którą umie, i koniec z końcem ledwo wiąże. Czasami chciałbym mieć wypadek i zginąć, ale to nie takie proste, pełno jest ludzi, którzy chcą mieć wypadek, za mało tych wypadków na tyłu chętnych.

Idę do sklepu i jak zwykle omijam słup wzrokiem, tym bardziej że z dłońmi do połowy w kieszeniach patrzy na mnie tak, jakby wyzywał mnie na pojedynek. Kupuję wino z dolnej półki, artykuły spożywcze z ceną widoczną z daleka i wychodzę. Przy ciemieży moim patrzę w dół, w chodnik, nie chcę widzieć tego pomnika sukcesu, tym razem coś jednak widzę pod tym młotem pneumatycznym, którego widok za każdym razem wbija mnie w ziemię. Jakiś chyba banknot na chodniku widzę. Podchodzę, schylam się, sto złotych. Pierwszy raz w życiu coś znalazłem, a nie zgubiłem. I to gdzie, w miejscu mojej kaźni. Schować do słoika na czarną godzinę czy wydać? Nie no, wydam, dzień dzisiaj przecież ten, w którym przyszła książka. Unoszę głowę i wydaje mi się, na pewno mi się wydaje, że mi ten Mróz mruga, że oko do mnie puszcza.

W sklepie wino ze średniej półki biorę i artykuły spożywcze, których cena nie rzuca się w oczy. Wychodzę z ostatnią dychą, za słupem stoisko z owocami, dobra, niech będzie, wydam ją na truskawki. Sprzedającej pytam o utarg, znamy się, ach, niech pan nawet nie pyta, sto złotych mi zniknęło, na stołiku miałam, nie wiem, albo ktoś mi wziął, albo to wiatr zawiał.

Do domu wracałem skulony w sobie tak, że ledwo mnie było widać, w lustrze w windzie wyglądałem jak cofnięta wiadomość.

Oddałem jej na drugi dzień, dobrze, że na konto wpłynęła akurat wierszówka. Za resztę kupiłem czereśnie, usiadłem obok na stojaku rowerowym i jadłem, wypluwając pestki przed siebie. To taki zabieg, człowiekowi nonszalancji dodaje. A co tam, i tak mi to życie płazem uszło, bo przecież bywało, żem lotrem był nad lotrami. Jakoś dojechałem do wczesnej starości, co prawda częściej chybocząc się w przejściu między wagonami, w korytarzach niż w miejscówką, ale dojechałem. Jeszcze trochę i będę w ostatnim przedziale wiekowym, wtedy sprzedam się na części, coś po mnie zostanie.

„Człowiek na rondzie”, Janusz Rudnicki
Biuro Literackie, 2023



ŚMIERĆ ZE ZNIECZULENIEM



Dziesiątki tysięcy lekarzy skorzystało z oferty wspaniałego weekendu na koszt tej firmy farmaceutycznej. Pacjenci zapłacili to życiem

Z **PATRICKIEM RADDENEM KEEFE'EM**, DZIENNIKARZEM, AUTOREM KSIĄŻKI „IMPERIUM BÓLU” O FARMAKOLOGICZNYM UZALEŻNIENIU OD ŚRODKÓW PRZECIWBÓLOWYCH, ROZMAWIA **KATARZYNA WĘZYK**

Jaka jest skala problemu?

– Kryzys opioidowy w Stanach Zjednoczonych trwa od trzech dekad i szacuje się, że pochłonął ponad 600 tysięcy ofiar. Dziś ma status kryzysu zdrowia publicznego. A wywołał go OxyContin, lek przeciwbólowy na receptę, wprowadzony do obrotu w połowie lat 90. przez firmę Purdue Pharma.

Purdue należy do Sacklerów, jednej z najbogatszych amerykańskich rodzin, która przez lata słynęła z hojności i filantropii. Jej przedstawiciele byli bardzo dobrze znani w elitarnych kręgach i zasadniczo uważani za dobrych ludzi. Tyle że większość ich fortuny, jak się okazało, pochodziła ze sprzedaży leku, który rozpoczął ów kryzys i zabił tak wielu ludzi.

No właśnie, okazało się, bo przez lata mało kto łączył Sacklerów z Purdue Pharmą. Czym ich firma różni się od innych koncernów farmaceutycznych?

– Przede wszystkim to prywatna firma. Wiele amerykańskich korporacji to spółki publiczne, co oznacza, że należą do akcjonariuszy. Wejście na giełdę wiąże się z większym nadzorem, bo jeśli chcesz posiadać kawałek takiej firmy, jeśli kupujesz jej akcje, powinieneś móc mieć wgląd w to, jak prowadzi działalność. W przypadku firm prywatnych nie ma takich wymogów. Purdue Pharma zaczynała jako niewielka prywatna firma. Głównie dzięki OxyContinowi zaczęła przynosić gigantyczne zyski, ale wciąż jest rodzinnym interesem. Sacklerowie zdornowali zarząd i długo podejmowali kluczowe decyzje.

Kiedy zaczynałem pisać książkę, wiedziałem, że nazwisko Sackler widnieje na wielu elitarnych instytucjach na całym świecie: w Metropolitan Museum of Art i Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku, w paryskim Luwrze, w British Museum i Tate Gallery w Londynie. Ale kiedy wszedłem na stronę ich własnej firmy, nie mogłem go znaleźć. I to mnie zainteresowało. Bo jedynym powodem, dla którego go tam nie było, musiało być to, że Sacklerowie celowo nie chcieli go tam umieścić. Dlaczego?

I jak na to odpowiedziałeś?

– Moja książka to saga trzech pokoleń rodziny Sacklerów, a także opowieść o idealizmie i kapitalizmie. Zaczyna się długo przed wprowadzeniem OxyContinu na rynek: w latach 50.,

• **Kartonowe nagrobki z nazwiskami ofiar opioidowych leków przeciwbólowych przed budynkiem sądu, w którym trwa proces upadłościowy firmy farmaceutycznej Purdue Pharma, White Plains, stan Nowy Jork, 2021 r.**

FOT. SETH WENIG/AP

kiedy najstarszy z trzech braci, Arthur, zaczął sponsorować muzea i umieszczać na nich swoje nazwisko. Chwaleniu się hojnością towarzyszyła daleko posunięta niechęć do zdradzania, jak zarobił pieniądze. I tę politykę – mitologizowanie rodzinnego nazwiska przez prestiżową filantropię plus ciższa wokół rodzinnego biznesu – odziedziczyły po nim następne dwa pokolenia Sacklerów.

Pierwsze pokolenie było bardzo zamożne, ale jeszcze nie superbogate. Dopiero OxyContin dał im wielomiliardową fortunę. Jak to się stało?

– Arthur, który zmarł w latach 80., był geniuszem marketingu. To on wpadł na to, że marketing leków należy kierować nie do pacjentów, tylko do lekarzy, ponieważ to oni wypisują recepty.

Tę taktykę wykorzystano drugie pokolenie Sacklerów. Kiedy w 1996 roku wypuścili na rynek OxyContin, przeprowadzili największą kampanię sprzedażową leku w historii. Zatrudnili setki przedstawicieli handlowych, którzy jeździli po kraju i przekonali lekarzy do przepisywania OxyContinu.

Wcześniej medycy niechętnie dawali pacjentom silne opioidy, bo od lat wiadomo, że są one silnie uzależniające. Wdrażano je zazwyczaj przy bólu nie do zniesienia, jak w terminalnej fazie raka. A przedstawiciele Purdue mówili lekarzom, że wcale nie uzależnia, można przepisać na każdy ból, na dowolny okres i w bardzo wysokich dawkach. Purdue Pharma tego nie wiedziała. Miała nadzieję, że tak jest, ale nie było takich badań, po prostu wielkie kłamstwo.

Co miało odróżniać OxyContin od tych niebezpiecznych opioidów?

– Specjalna, opatentowana powłoka. Substancją aktywną jest oksykodon, bardzo silny opioid, zsyntetyzowany w Niemczech sto lat temu. Jest lekiem generycznym, co oznacza, że nikt nie ma na niego wyłączności i nie da się na nim dużo zarobić. Ale Purdue Pharma dorzuciła otoczkę, dzięki której lek stopniowo uwalniał się do krwioobiegu i jedna tabletkę miała wystarczać na 12 godzin. Kontrolowane uwalnianie opioidu miało też sprawiać, że zażywający nie przeżywa ani haju, ani doła, a więc się nie uzależni niezależnie od wielkości dawki. A przynajmniej takie było założenie. Szybko się też okazało, że ulga w bólu wcale nie trwa 12 godzin, tylko dziewięć. Co oczywiście sprawiło, że ludzie zaczęli brać go częściej i szybciej się uzależniali.

OxyContin jest dwa razy silniejszy niż morfina, a morfina silnie uzależnia.

Z punktu widzenia wystarczająco bezwzględny sprzedawca to produkt idealny: uzależniony klient będzie wracał. Czy kiedy Sacklerowie rejestrowali swój lek jako bezpieczny środek przeciwbólowy, mieli świadomość, że w zasadzie będą sprzedawać legalną heroinę, i cynicznie to wykorzystali?

– Moja opinia o Sacklerach nie jest szczególnie dobra, ale nie sądzę, żeby byli aż tak cyniczni. Jasne, ich pierwszym wielkim sukcesem było Valium, które też uzależnia, i jasne, jeśli jesteś zupełnie pozbawiony moralności, sprzedaż wysoce uzależniającego produktu to wspaniały biznes. Mimo to uważam, że Sacklerowie sami, przynajmniej na początku, kupili własne kłamstwa. A kiedy do firmy zaczęły spływać pierwsze doniesienia o pacjentach umierających z przedawkowania, nie chcieli w nie uwierzyć. Powtarzali: „Nie, to musi być jakaś pomyłka, przecież nasz lek nie uzależnia”.

Powiedziałeś, że opowieść o Sacklerach jest też opowieścią o idealizmie. Ale jeśli mówimy o takich sumach pieniędzy, jakie zarobili na OxyContinie, to gdzie tu jest miejsce na idealizm?

– To bardzo amerykańska cecha, ta pycha, która mówi: „Niebezpieczeństwo? Jakie niebezpieczeństwo? Jestem inteligentny,

jestem sprytny, wiem, co robię, mam to”. Dziś widać to w debacie wokół sztucznej inteligencji: wciąż są ludzie, którzy uważają, że są tak lebscy, że nie muszą martwić się ryzykiem. „Po prostu mi zaufajcie, uwierzcie, że dam radę”, mówią.

Sacklerowie uwierzyli, że poradzą sobie z bólem. Że zostaną bohaterami, bo pomogą pacjentom, a przy okazji zarobią mnóstwo pieniędzy. To oczywiście fantazja, ale jaka piękna! Nie sądzę, że zebrali się w rodzinnym gronie i powiedzieli: „A teraz zróbmy coś naprawdę złego”. Naprawdę myśleli, że zostaną bardzo bogatymi zbawcami. A kiedy okazało się, że to nie takie proste, byli autentycznie zdziwieni.

OK, producent mógł tak pomyśleć. Ale przeciw Food and Drug Administration (Agencja ds. Żywności i Leków) wymyślono właśnie po to, żeby do obrotu trafiły tylko bezpieczne i sprawdzone leki. Dlaczego FDA nie powiedziała: sorry, ale niezależniający opioid to jednak zbyt piękne, żeby było prawdziwe?

– Bo to też opowieść o tym, jak komercja i biznes przejęły amerykańską medycynę i jak obejść wpisane w system zabezpieczenia.

W tym przypadku inspektor FDA – urzędnik, który powinien ustalać, czy lek działa zgodnie z opisem i jest bezpieczny dla konsumentów – podpisał się pod obietnicami z ulotki marketingowej, które, jak

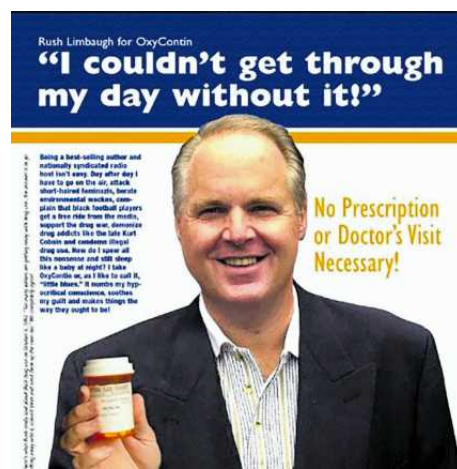
nego składnika wydaje się ograniczać ryzyko nadużywania leku”. „Wydaje się” nie brzmi jak poważna gwarancja.

– W amerykańskim kapitalizmie jest pewien element życzeniowego myślenia, zarówno po stronie producentów, jak i konsumentów. No i kochamy pigułki. Nic do nas tak nie przemawia jak idea, że możesz wziąć pigułkę, która rozwiąże wszystkie twoje problemy. Nie możesz zasnąć? Musisz być przytomna po obudzeniu? Walczysz z utratą włosów, z problemami z erekcją albo nie chcesz zająć w ciąży? Mamy pigułkę na wszystko. Lubimy w Stanach naszą fantazję o wszechmocnej technologii, o tym, że dzięki niej możemy mieć wszystko. I właśnie to przekonanie sprzedawał OxyContin. Dziś, kiedy na to patrzymy, brzmi to absurdalnie: „wydaje się”. Ale wtedy wszyscy uznali: „Mam cudowny lek na ból, wystarczy na całą noc, można brać latami, nie ma skutków ubocznych, wypisujesz receptę”.

Prawdziwą innowacją była nie osłonka tabletki, ale towarzyszący jej marketing. Co było kluczem do tak spektakularnego sukcesu?

– Dostosowanie narracji do potrzeb lekarzy, którzy, pamiętajmy, są bardzo zajęci ludźmi. A przedstawiciel Purdue mówił tak: „Mam cudowny lek na ból, wystarczy na całą noc, można brać latami, nie ma skutków ubocznych, wypisujesz receptę”.

Oto geniusz marketingu, który wpadł na to, że leki należy kierować do lekarzy, nie pacjentów. A to przyczyniło się do śmierci tysięcy ludzi



dziś wiemy, nie były prawdziwe. A niedługo później odszedł z agencji do pracy w Purdue za trzykrotność swojej państwowej pensji. Nie sądzę, żeby ktokolwiek uznał, że to dobra praktyka. Ale też nie ma w tym nic nielegalnego. I w wielu branżach dokładnie tak to wygląda: drzwi obrotowe między sektorami prywatnym i publicznym znajdziesz w Big Techu, AI, produkcji broni, papierosach. Jasne, w biznesie obowiązują nałożone przez państwo regulacje, ale regulatorzy bywają elastyczni. Wielu z nich ma z tyłu głowy, że kiedyś pewnie będą chcieli opuścić sektor publiczny, a poza tym mają kredyt hipoteczny, a studia dzieci kosztują. A jaką pracę dostaną w sektorze prywatnym, jeśli będą zbyt zasadniczy? Nie jest to korupcja wprost, nie są to koperty z pieniędzmi, ale jest to rodzaj korupcji.

FDA klepnęła, że w ulotce znajdzie się zdanie: „Opóźniona absorpcja aktyw-

ty i masz pacjenta z głowy”. Wielu lekarzy chciało w to uwierzyć, poza tym medycy też bywają podatni na szeroko rozumianą korupcję. Przedstawiciele handlowi wybierali tych, którzy przepisywali mnóstwo OxyContinu, i mówili im: „Widzimy, że bardzo pan wspiera nasz lek, chcielibyśmy zapłacić za wygłoszenie paru wykładów – opowie pan o tym, jak wspaniały jest OxyContin”. Innym proponowali opłacony przez Purdue weekend na Florydzie zimą: ładny hotel, wspaniałe jedzenie i dużo słońca, a przy okazji wysłucha się prezentacji o OxyContinie. Dziesiątki tysięcy lekarzy skorzystało z tej oferty. A ponad tysiącowi zapłacono za wykłady.

Kiedy rozmawiasz z lekarzami, zazwyczaj mówią: „Och, firmy farmaceutyczne wydają mnóstwo na marketing, ale mnie to nie dotyczy, żadna kampania nie zmienia leków, które przepisuję”. Ale ja widziałem wewnętrzne dokumenty Purdue i wiem, że były lata, gdy wydawali 9 milionów dolarów rocznie tylko na zakupy dla lekarzy. Wydatki przechodziły przez Richarda Sacklera, który dwa razy oglądał każde wydane dolara i wymagał pełnej informacji, co dzięki niemu zyskuje. Purdue Pharma wyliczyła nawet, że jeśli sponzorujesz lekarzom posiłki w weekend, przekłada się to na wyższy odsetek przepisywanych pigulek niż w przypadku darmowego obiadu w tygodniu. Medycy mogą sobie myśleć, że to na nich nie działa, że po prostu mają miły weekend i dalej przepisują to, co uważają za najlepsze dla danego pacjenta, ale to samooszukiwanie.

Podsumowując, na każdym szczeblu, od przedstawiciela handlowego przez lekarza do członka zarządu, bardzo la-

two jest nie rozumieć rzeczy, za których nierozumienie ci płacą?

– Otóż to.

Na początku do Purdue przychodziło jednak mnóstwo listów od wdzięcznych pacjentów.

– Bo OxyContin rzeczywiście działa: na krótką metę przynosi ulgę w bólu. I ludzie faktycznie pisali do producenta, że dzięki niemu odzyskali życie, że po raz pierwszy od lat nic ich nie boli.

Ale pojawiły się też inne listy. Od matki, której małe dziecko znalazło tabletkę w apteczce, polknęło i nie udało się go uratować. Od ojca, którego nastoletni syn wziął OxyContin na imprezie i przedawkował. Od kobiety, której mąż dostał tabletki na ból po operacji, a potem brał ich coraz więcej i się uzależnił. Dostawali też sygnały od swoich przedstawicieli handlowych, którzy bardzo wcześnie zauważyli problem z uzależnieniem.

Sama firma jednak latami zaprzeczała, że problemem jest sam OxyContin. Kiedy tej fantazji nie dało się już utrzymać?

– Pierwsze zwiastuny pojawiły się już po roku od premiery leku. Około 2001 roku media regularnie pisały o przedawkowaniach, uzależnieniach, o włamaniach do aptek, by zdobyć OxyContin. Niektóre apteki musiały postawić przed drzwiami uzbrojonych strażników. Na izby przyjęć trafiały ofiary przedawkowania albo ci w fazie odstawienia, zachowujący się jak zombi. Śledczy z całego kraju zaczęli badać przyczyny tego kryzysu. Odbyły się specjalne przesłuchania w senacie.

W końcu firma musiała przyznać: coś tu się dzieje niedobrego. I wtedy Sacklerowie robią zwrot. Mówią: „OK, OK, faktycznie, jest problem. Jednak ten problem nie dotyczy naszego leku. Jest świetny i pomaga. Problemem są niemoralni narkomani, którzy go nadużywają. A gdyby nie OxyContin, używaliby heroiny, kokainy lub innego narkotyku”.

Narracja, że winni są nieodpowiedzialni pacjenci, nie lek, nie przekonywała jednak wszystkich. Jakich innych metod używali Sacklerowie, żeby uniknąć odpowiedzialności?

– Zatrudnili bardzo drogiego prawników z koneksjami w Kongresie, zarówno wśród republikanów, jak i demokratów. No i mieli pieniądze, żeby sprawić, że problem zniknie.

W 2004 roku prokuratorzy z Wirginii chcieli wnieść dużą sprawę przeciw Purdue. Postawili zarzuty trzem wysokiej rangi pracownikom firmy i dali im propozycję: albo pomożecie dorwać Sacklerów, albo pójdziecie do więzienia. Na to Sacklerowie wysłali swoich prawników do Waszyngtonu, do Departamentu Sprawiedliwości. I ich prawnicy zakulisowo wynegocjowali z administracją George'a W. Busha ugodę. Kiedy wrócili, powiedzieli prokuratorom z Wirginii, że sorry, ale nie możemy grozić naszym ludziom więzieniem, bo nie ma takiej opcji, że zostaną zamknięci za kratkami. I wtedy wspomniani pracownicy nie mieli już motywacji, żeby zwrócić się przeciwko swoim szefom. Wzięli winę na siebie, ale nie poszli siedzieć, a rodzina wypłaciła im miliony dolarów de facto za milczenie.

Ostatecznie Purdue Pharma zmieniła zarówno narrację, jak i sam lek. Nowej wersji OxyContinu nie dało już się skruszyć i wciągnąć nosem ani rozpuścić, dać w żyłę. Co więcej, ogłosili, że ta poprzednia jednak jest niebezpieczna. Zrobili to, bo wreszcie zrozumieli swój błąd?

– Cóż, niezupełnie. Podczas pracy nad książką parokrotnie zdarzały mi się momenty, że czegoś nie rozumiałem, że jakaś decyzja nie miała sensu. Wszystko się zazwyczaj wyjaśniało, gdy patrzyłem na kalendarz patentowy. Patent to prawo do wyłączności na produkcję i sprzedaż jakiegoś innowacyjnego produktu: obowiązuje tylko

w określonym czasie, ale możesz wówczas dyktować dowolną cenę, bo nie ma konkurencji. Na początku ubiegłej dekady patent na OxyContin miał wygasnąć. A kiedy patent na lek się kończy, każdy może produkować generyki – firma z Indii może je sprzedawać za ułamek ceny. A to znacznie zmniejszyłoby zyski Sacklerów.

Ostatecznie wprowadzili na rynek nową, lepszą wersję OxyContinu. Oczywiście chronioną nowym patentem. I dokładnie w momencie, gdy wygasł patent na tę pierwszą.

Przez 14 lat mówili ludziom, że to bezpieczny lek, a gdy zastąpili go nową wersją, powiedzieli, że jednak nie jest bezpieczny i żaden generyczny producent nie powinien go sprzedawać. W aptekach powinna być tylko ta nowa, lepsza wersja. Więc tak, timing wygląda straszliwie cynicznie. Nie wiem, kiedy dokładnie mieli gotową nową wersję, ale wcale by mnie nie dziwiło, gdyby mieli ją od lat, ale czekali na wygaśnięcie patentu.

A czy nie jest to zachowanie, do którego zachęca prawo patentowe? Czyli problem z gatunku nierozwiązywalnych, bo nikt nie będzie inwestował grubych milionów w szukanie nowych leków, jeśli nie dostanie kilku lat monopolu?

– Tak, to jeden z problemów. Podobnie myślę o drzwiach obrotowych między sektorami publicznym i prywatnym. Nie uważam, że powinno istnieć prawo, które mówi, że jak zaczniesz pracować dla państwa, musisz już tam zostać – ale nadużycia się zdarzają. I trudno je prawnie wyeliminować. W system patentowy też wierzę – choć, ponownie, jeśli jesteś totalnym cynikiem i nie ma dla ciebie znaczenia, że przez ciebie umierają ludzie, łatwo go nadużyć.

Wisienką na tym torcie jest fakt, że inna należąca do Sacklerów firma zaczęła produkcję generycznego OxyContinu...

– A kiedy zacząłem pracę nad tym projektem, słyszałem od nich: prawdziwym problemem są generyki. Nie dodawali, że „a tak przy okazji, my też je produkujemy”.

Nowa wersja leku też, jak się okazuje, miała skutki uboczne.

– Działała dokładnie tak, jak reklamowali: uwalniała oksykodon powoli i nie dało się jej skruszyć. I co się okazało? Niemal natychmiast sprzedaż OxyContinu w największej dawce spadła o 25 procent. To jedna z najbardziej niesamowitych statystyk w mojej książce, bo pokazuje, że przynajmniej jedna czwarta rynku należała do uzależnionych, których taka wersja pigułka nie urządziła.

Gdyby nowa wersja została wprowadzona, powiedzmy, w 1999 roku, efekt mógłby być inny. Przez te 14 lat setki tysięcy ludzi uzależniło się od opioidów i wielu z nich po 2010 roku przerzuciło się na kupowaną na ulicy heroinę. Kryzys opioidowy z fazy lekowej przeszedł w heroinową.

Sacklerowie oczywiście dziś mówią, że to nie oni, to heroina. Przedawkowania fentanyl (opioidu sto razy silniejszego od morfiny) też nie mają z nami nic wspólnego. Wygodnie jednak zapominają o tym, że znaczna część uzależnionych od heroiny, a rozmawiałem z wieloma z nich, zaczęła właśnie od OxyContinu.

Pod koniec ubiegłej dekady odpowiedzialność za kryzys opioidowy zaczęła doganiać Sacklerów. W 2017 roku „New Yorker” opublikował twój artykuł o rodzinie. Przeczytała go Nan Goldin i postanowiła uderzyć Sacklerów tam, gdzie ich naprawdę zaboli.

– Nie wyobrażam sobie lepszego przeciwnika dla Sacklerów. Nan jest fotografką i aktywistką. Sama kilka lat wcześniej uzależniła się od OxyContinu, co dało jej zarówno osobisty motyw, jak i wiarygodność. W świecie sztuki jest celebrytką: jej prace wiszą w tych samych prestiżowych muzeach, w których Sacklerowie lubią umiesz-

czać własne nazwisko. I to jej kampania doprowadziła do tego, że muzea zaczęły dziękować rodzinie za współpracę.

Wreszcie zarzuty postawiono samym Sacklerom.

– Rosła liczba pozwów przeciwko Purdue Pharmii, zarówno stanowych, jak i prywatnych, w imieniu uzależnionych i ich rodzin. W sumie ponad 2,5 tysiąca spraw. I w wielu z nich o wywołanie kryzysu opioidowego zostali oskarżeni sami Sacklerowie.

Wtedy Purdue Pharma ogłosiła bankructwo. A w postępowaniu sądowym w przypadku bankructwa wszystkie inne pozwy są zawieszane – niezależnie od tego, ile ich jest. Pozywający usłyszeli, że mają czekać, bo najpierw trzeba ustalić, ile firmie zostało pieniędzy i jak je teraz podzielić. Szybko się okazało, że od dziesięciu lat Sacklerowie



Rozmawiałem z ludźmi, którzy inwestują pieniądze bardzo bogatych rodzin, i zapytałem ich: jeśli masz taki majątek, to jak wygląda zapłacenie 6 miliardów przez 19 lat? Powiedzieli, że w takim czasie można to spłacić z samych odsetek od kapitału i dalszych inwestycji. Sacklerowie nie tylko nie muszą nawet ruszać tych 11 miliardów, ale i za dwie dekady będą bogatsi, niż są dziś.

Czyli moral jest taki, że chciwość jest dobra, jak długo jesteś wystarczająco bezwzględny, żeby odmawiać przyjęcia odpowiedzialności za jej skutki.

– W globalnym kapitalizmie XXI wieku gra jest ustawiona tak, że jeśli jesteś dostatecznie bogaty, niemal wszystko uchodzi ci na sucho. Ucierpiała ich reputacja, a to rodzina, która zawsze miała obsesję na punkcie swojego nazwiska. Jest w tym jakaś poezja, ale na pewno nie ma sprawiedliwości.

Co jeszcze historia Sacklerów mówi nam o dzisiejszym kapitalizmie?

– Zawsze się mówiło, że bogaci wywiną się nawet z morderstwa. Zmieniło się to, że tak ogromna akumulacja bogactwa w rękach miliarderów w rodzaju Sacklerów oznacza, że normalne zabezpieczenia, te, które powinny chronić obywateli i konsumentów, nie są już skuteczne, bo zostają stępione lub wręcz ominięte przez tę ogromną kasę.

Kryzys opioidowy zabił setki tysięcy osób, ale to bynajmniej nie jest jedyny przypadek, kiedy interes potężnych korporacji jest niebezpieczny dla społeczeństwa. Kryzys klimatyczny, sztuczna inteligencja, rola mediów społecznościowych w polityce – to ten sam mechanizm. Ale zgromadzili tak wielką finansową potęgę, że nie ma nikogo, kto by ich kontrolował.

To pewnie naiwne pytanie, ale czy system się czegoś nauczył na Sacklerach?

Mieli zostać bardzo bogatymi zbawcami, a przyczynili się do śmierci tysięcy pacjentów uzależnionych od leku

po cichu wyprowadzali z Purdue pieniądze – w sumie ponad 10 miliardów dolarów – aż zostało ich tak mało, że firma musiała ogłosić upadłość. Najwyraźniej przewidywali, że pewnego dnia liczba pozwów przekroczy masę krytyczną i nie da się już sprawić, żeby zniknęły, więc woleli zawczasu umieścić pieniądze na swoich kontaktach. Bo gdyby dalej były na koncie Purdue, dostałyby je ofiary. I tak dla ludzi, którym życie zniszczył OxyContin, zostało bardzo mało.

I ile ostatecznie Sacklerowie muszą zapłacić?

– Rodzina zgodziła się wypłacić 6 miliardów dolarów z własnych pieniędzy, ale to wszystko: nikt nigdy nie będzie już ich pociągał za cokolwiek, co ma związek z OxyContinem. I jasne, 6 miliardów to mnóstwo pieniędzy. Tyle że według szacunków koszty kryzysu opioidowego idą w biliony.

Czy ofiary i ich rodziny są zadowolone z tej ugody?

– Nie. Są wściekle i czują się oszukane. Co więcej, ta suma wcale tak bardzo Sacklerów nie uderzy po kieszeni.

Te 6 miliardów?!

– Ich fortunę szacuje się na 11 miliardów dolarów, więc teoretycznie muszą oddać więcej niż połowę. Tyle że jak spojrzysz na drobny druk, to mają na to 19 lat.

Czy wprowadzono zmiany, które nie pozwolą na podobne nadużycia w przyszłości albo przynajmniej je utrudnią?

– Pojawiły się regulacje odnośnie do obietnic, jakie można umieszczać na ulotkach leku. Lekarze również wydają się bardziej sceptyczni wobec tego, co słyszą od branży farmaceutycznej. Rozmawiałem z wieloma medykami, którzy po lekturze mojej książki uznali, że ich grupa zawodowa też jest po części odpowiedzialna za kryzys opioidowy.

Ale jeśli chodzi o systemowe zmiany, nie wydaje mi się, żeby system się czegoś nauczył. Wprowadzono pewne zmiany w zarządzaniu bankructwami, w Nowym Jorku nie można już sobie wybierać sędziego, który będzie prowadził twój proces upadłościowy. Ale nie zmieniło się najważniejsze: wciąż potężna korporacja może sprzedawać potencjalnie niebezpieczny produkt i uniknąć odpowiedzialności. Historia może się powtórzyć. Już się powtarza.

To przecież model biznesowy producentów broni.

– Otóż to. Producenci broni mogą sobie mówić, że ich towar służy do polowania czy strzelania sportowego, ale są to produkty zaprojektowane do zabijania i okaleczania ludzi. I do tego właśnie są codziennie używane. W tym momencie gdzieś w Stanach ktoś zabija drugiego człowieka

ka legalnie kupioną bronią, a jej producenci nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. Dlatego jest to dla mnie opowieść o kapitalizmie, który stracił wszelkie hamulce.

Po spędzeniu kilku lat z Sacklerami coś w ich zachowaniu cię jeszcze jest w stanie oburzyć czy zostałeś skutecznie znieczulony?

– Były momenty, kiedy myślałem, że dokopałem się już do dna, że niżej zejść nie można, ale za każdym razem od spodu odzywało się pukanie. Sacklerowie chcieli mnie na przykład pozwać za to, że napisałem w „New Yorkerze” o tym, jak starali się o pozwolenie na przepisywanie OxyContinu dzieciom od 11. roku życia. Przekonywali, że zrobili to tylko dlatego, że wymagała tego FDA. Ale z ich wewnętrznych dokumentów wynikało coś zupełnie innego. FDA wcale nie wymagała od nich testowania OxyContinu na dzieciach, ale gdyby udało im się uzyskać taką zgodę, przedłużyłoby to ich patent o sześć miesięcy. I tylko dlatego robili te testy.

Podobało mi się też zaproszenie Courteney Cox na pokaz kolekcji Joss Sackler. Odważnie, biorąc pod uwagę jej historię uzależnień.

– Owszem. W pewnym sensie byłem jej za to wdzięczny, bo moja książka jest dość mroczna. Ale są też zabawne momenty, bo ci ludzie są absurdalni. A Joss ma w sobie coś z Marii Antoniny.

Sacklerowie nigdy nie przeprosili za te setki tysięcy ofiar i jeszcze więcej zniszczonych żyć?

– Zająłem się Sacklerami w 2016 roku, książka wyszła w 2021. Spędziłem nad nią pięć lat, szmat czasu, niemal do końca myśląc, że przecież musi być jakiś Sackler, który czuje się paskudnie z powodu kryzysu opioidowego. Nie znalazłem żadnego. Co jest tym dziwniejsze, że rodzina jest dość mocno podzielona. Ale co do jednej rzeczy wszyscy się zgadzają: nie zrobili nic złego. To niesamowite.

Wszyscy Sacklerowie odmówili wypowiedzi do twojej książki. Ale gdybyś mógł porozmawiać z którymś z nich, to kto by to był i o co najbardziej chciałbyś zapytać?

– Madeleine Sackler, przedstawicielka trzeciego pokolenia. Nie sądzę, żeby większość Sacklerów była zdolna do introspekcji, raczej zapaniła się w zaprzeczeniu. A dla reportera rozmowa z ludźmi uprawiającymi wyparcie nie jest interesująca, bo będą tylko powtarzać swoje fantazje. Nie przebijesz się przez to. A Madeleine jest reżyserką, która robi zaangażowane, lewicowe filmy o amerykańskim więzienictwie. A jednocześnie jest osobą bardzo zamożną właśnie dzięki OxyContinowi. Zarobiła te pieniądze nie na swoich filmach, tylko na sprzedawanych przez jej rodzinę opioidach. Naprawdę chciałem z nią porozmawiać o tym, jak to godzi, jak to sobie tłumaczy. Może by mnie przekonała, może nie. Ale nie chciała ze mną rozmawiać. ●

„Imperium bólu. Baronowie przemysłu farmaceutycznego”, Patrick Radden Keefe, przeł. Jan Dzierżgowski. Książka już dostępna w dobrych księgarniach, na stronie wydawnictwa Czarne i w formie e-booka na Publio.pl.



Prawica, ole!

Kończy się w Hiszpanii ochrona praw kobiet,
pomoc socjalna i europejska solidarność – do władzy idą patrioci

Mazzini

Sześciu mężczyzn wysiada z furgonetki, wyciąga długi rulon, rozwija. Spod rąk aktywistów szybko wychodzą czerwone i żółte barwy. Operacja zaplanowana na ekspresową trochę jednak trwa, bo zbrocze jest mocno porośnięte krzakami, skaliste, płótno co chwilę się zaczepia. Po kilku minutach oczom setek gapiów i turystów u podnóża Skały Gibraltarskiej, brytyjskiej enklawy na Półwyspie Iberyjskim, którą tutejsza prawica zawsze uznawała za swoją integralną własność, ukazuje się gigantyczna, dwustumetrowa flaga Hiszpanii. A oczom europejskich politologów, dziennikarzy, liberalnych komentatorów, dopiero co strauatyzowanych przez pierwsze harce Orbána i Kaczyńskiego, ukazuje się Vox – nowy element prawicowo-populistycznej układanki na Starym Kontynencie.

•••

W akcji z flagą gigantem chodzilo oczywiście o to, co prawicowcy robią od lat najlepiej – o kliki i wyświetlenia w internecie. O sieciową kontrowersję.

Historia pochodzi z czerwca 2016 r., kiedy Vox był jeszcze politycznym planktonem, poza światem iberoamerykańskim tworem nieznanym. Media

ciela prawdziwego hiszpańskiego ludu. Abascal, z pochodzenia Bask, wywodzący się z rodziny politycznie zaangażowanej, ale też blisko związanej z PP, lepiej niż ktokolwiek rozumiał skalę degrengolady w partii, która przecież holdowała kiedyś zasadzie „jednego kraju, jednego Kościoła i jednego języka”, jak brzmiało motto frankistowskiej dyktatury. Widział, jak bardzo partia, nosząca przecież w nazwie słowo „ludowa”, odwróciła się od hiszpańskiego narodu. Postanowił więc, że to on przywróci narodowi sprawczość, odda decydujący wpływ na sprawy publiczne – wbrew wszechobecnemu dyktatorowi Unii Europejskiej, któremu zresztą ludowcy, zwłaszcza w osobie ich lidera i premiera Mariano Rajoya, bezgranicznie się według Abascala poddawali. Chciał dać ludziom głos, a narodowo-populistyczna, antyestablishmentowa partia prowadzona przez młodych mężczyzn doskonale się do tego nadawała. Zwłaszcza że Vox znacząco przeciwie właśnie „głos”.

Po rozwinięciu hiszpańskiej flagi na Gibraltarze zatweetował entuzjastycznie, że „zadanie zostało wykonane”. Jakby sam na chwilę uwierzył, że cała akcja nie była tylko propagandowym żartem, ale że naprawdę udało mu się przyłączyć cyfel do Hiszpanii na stałe.

mego Abascala, zaraz potem do tej listy dojdzie trzech eurodeputowanych. Od tego momentu Vox jest trzecią siłą w hiszpańskiej polityce, słupki sondażowe ani razu nie zeszły poniżej 12 proc., a w lutym ubiegłego roku, chwilę przed inwazją Rosji na Ukrainę, wskaźniki poparcia Voxu (20 proc.) i PP (22 proc.) prawie się zetknęły. Teraz, w ostatnich sondażach przed niedzielnym głosowaniem, ultrapravicowcy mają 14-15 proc. i każda symulacja podziału mandatów wskazuje jednoznacznie na ten sam wynik: PP wygra, ale większości nie zdobędzie. Nowy rząd nie powstanie bez udziału, a przynajmniej błogosławieństwa Santiago Abascala.

Jego program polityczny jest tak do bólu przewidywalny, że mógłby zostać przepisany z międzynarodowego podręcznika dla prawicowych populistów, gdyby takowy istniał. Członkowie Voxu mówią o sobie jak o ostatnich obrońcach tradycyjnych hiszpańskich wartości – rodziny, wiary, gospodarki, języka – których chronić trzeba dzisiaj przed zagrożeniem podwójnej natury. Z zewnątrz zniszczyć ją chcą Bruksela, globalne spiski neomarksistowskiej lewicy i oczywiście migranci, stojący u bram Hiszpanii naszymi Huno- wie czekający na barbarzyńskie zniszczenie Rzymu.

minali się o prawa mężczyzn, ich zdaniem regularnie w Hiszpanii przesładowanych, ale niemających platformy, by walczyć o swoje prawa.

•••

Vox chce im taką platformę zapewnić, ale nie tylko ze względów światopoglądowych – to też czysty pragmatyzm. Jak wynika z badań dr. José Ramy z King's College London, elektorat Voxu nie ma nic wspólnego ze zmarginalizowanym, ekonomicznie wykluczonym ludem. Na Abascala najchętniej głosuje bardzo konkretna grupa: młodzi, dobrze wykształceni mężczyźni z klasy średniej i wyższej, z dużych i średnich miast, mający silne poczucie autoidentyfikacji z hiszpańskim państwem. Ze świecą szukać tam emerytów, ludzi w średnim wieku, robotników, przedstawicieli wsi. Vox kieruje swój przekaz do tych, którzy już coś mają i chcą mieć więcej, ale czują się zagrożeni: przez Unię i jej politykę ekologiczną, napływ migrantów, postępujące prawa kobiet i mniejszości. Stąd słowa Abascala o „walce z progresywną dyktaturą” i podziale kraju na dwie rzeczywistości: La España viva (Żywa Hiszpania), którą reprezentuje jego partia, oraz La Anti-España (Anty-Hiszpania), złożona z jego przeciwników. Cały jego program społeczny to jednowymiarowa kontra do reform rządu lewicy z ostatnich lat: rozszerzenia prawa do aborcji, legalizacji eutanazji, przyjmowania migrantów, oraz fiaska w walce z separatyzmami. Jak sam mówi, Vox ma trzy czerwone linie, których nigdy nie przekroczy: życie, wolność i jedność Hiszpanii.

Jego ambicje dawno przestały się koncentrować na samej Hiszpanii, bo Abascalowi marzy się bycie liderem narodowej, natiwystycznej i antyunijnej prawicy w całej Europie. Dlatego buduje sojusze, regularnie zapraszając do siebie podobnych sobie polityków. W styczniu 2022 r. na kongresie Voxu odwiedził go Mateusz Morawiecki, wizytę w Madrycie kwitując stwierdzeniem, że „dobrze jest być wśród przyjaciół”. W ubiegłym tygodniu zjazd partii swoim przesłaniem nagrany na wideo uświetniła z kolei premier Włoch Giorgia Meloni. Pochwaliła Abascala za obronę tradycji, wezwala też do walki z „ultraekologicznym fanatyzmem”. Po czym uśmiechnęła się, kończąc na optymistyczną nutę i mówiąc, że – tak jak we Włoszech, w Finlandii, Szwecji, Czechach i w Polsce – w Hiszpanii nadchodzi wreszcie czas patriotów. ●

Mateusz Mazzini



Nacjonaliści hiszpańscy wygrają nawet tam, gdzie lewica trzymała się mocno?

Od środka jednak tradycję ostrze- liwiają ruchy separatystyczne, napędzane zagranicznymi pieniędzmi bojówki niepodległościowe w Katalonii i Kraju Basków – co zdaniem Abascala zagraża porządkowi publicznemu i powinno być zdławione wszystkimi dostępnymi metodami. Zwłaszcza ten drugi separatyzm jest dla niego solą w oku, bo kiedy za młodu mieszkał z rodziną w Bilbao, zarówno ojciec, jak i dziadek, obaj politycy związani z dyktaturą i PP, wielokrotnie byli celami ataków terrorystycznych ze strony ETA.

Gospodarzo Vox to klasycy liberalizmu – zero państwa, niskie podatki, swoboda działalności gospodarczej, maksymalne ograniczenie wydatków socjalnych. Zdecydowane cięcia zwłaszcza w sektorach, które uważają za zdominowane przez lewicową propagandę – z prawami kobiet, ochroną ofiar przemocy domowej i seksualnej na czele. Działaczki rządzącego dziś lewicowego rządu PSOE-Podemochłopaki Abascala nazywają „feminazistkami”, o niektórych z nich zdarzało im się nawet publicznie powiedzieć, że są „stanowczo zbyt brzydkie, by zostały kiedykolwiek zgwałcone”. Męskość to zresztą jeden z ważniejszych tematów dla Voxu, ostatnio przez lokalny parlament Walencji partia przepchnęła ustawę zmieniającą definicję przemocy w rodzinie – tak by mówiła ona więcej również o mężczyznach. Przy okazji zorganizowała happening przed budynkiem parlamentu, w czasie którego jej członkowie upo-

• **Lider Voxu Santiago Abascal właśnie zagłosował w wyborach parlamentarnych, Madryt, kwiecień 2019 r.**

FOT. ANDREA COMAS/AP

anglojęzyczne dodawały jeszcze wtedy dopiski w stylu „partia mniejszościowa” lub „posiadająca zero mandatów w parlamencie”. Powstała zaledwie trzy lata wcześniej, wtedy jej poparcie wynosiło 0,2 proc. Santiago Abascal, współzałożyciel i obecny przewodniczący partii, doskonale jednak czuł, że nadchodzi zmiana.

Postfrankistowska Partia Ludowa (PP), monopolizująca hiszpańską prawicę od upadku dyktatury gen. Franco w 1975 r., była słaba jak nigdy. Powoli kończyły się jej rządy, trwające siedem lat, naznaczone oceanem skandali korupcyjnych, słabnącą gospodarką, wzrostem tendencji separatystycznych w neuralgicznych regionach jak Katalonia czy Kraj Basków i ogólnym niesmakiem, jaki zostawiali po sobie ludowcy. Sami siebie przekształcili w idealnych kandydatów na moralnie zginię, złodziejskie elity z wielkich miast, którym przeciwstawić się mogli czyści, nieskompromitowani przedstawi-

Nagranie z happeningu szybko stało się wiralem w mediach społecznościowych, eksperci zaczęli się interesować samym Abascalem. Na pierwszy poważny sukces polityczny musiał jednak czekać jeszcze dwa i pół roku. Dopiero w grudniu 2018 r. wprowadził 12 deputowanych do regionalnego parlamentu Andaluzji – co było o tyle szokujące, że akurat w tej części kraju lewica, nawet ta komunistyczna, zawsze trzymała się mocno, podobnie jak nastroje antymonarchistyczne i pamięć o międzywojennej Republice. Vox zyskuje też pierwszego senatora w parlamencie centralnym, a Abascal mówi wprost, że to dopiero początek.

Rok później, w czasie wyborów parlamentarnych, które okazały się porażką ludowców i Rajoya, poparcie wyniosło już 10,26 proc. Łączy – 24 posłów, w tym miejsce dla sa-

FOT. KONRAD KOZŁOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



PEŁNĄ GĘBĄ

BĘDĘ ZA PANEM TĘSKNIŁ, PANIE PORZE

Jesteśmy oto w restauracji talerzykowej, której sens polega na tym, by czerpać radość nie tylko z tego, co w gębie, ale też ze spotkania i wzajemnego sobie podjadania

Maciej Nowak

Kraków to oddzielna gastroplanta, nieporównywalna z żadnym innym miastem w kraju. Chwilami ziemia obiecana, momentami jądro ciemności, miejsce zachwyków i zaulek potępienych skowytów. I może właśnie dlatego tak bardzo fascynuje i przyciąga. Lepiej nie poruszać się tutaj bez asysty, lepiej nie ulegać pozorom. Dlatego przed wyprawą do południowej stolicy odbyłem konsultację z Kati Plachecką, która na Insta jest kontrolerką krakowskich lotów gastronomicznych. Jej profil to niewyczerpane źródło wiedzy, co tu w garach piszczy, i czuły radar nowych miejscówek i trendów. Właśnie w ten sposób dowiedziałem się, że mam co prędzej zmierzać na lewy brzeg Wisły, na Podgórze, by odwiedzić działającą od marca restaurację Mazi.

Był jeden z tych licznych ostatnio dni, kiedy mamy wrażenie, że jesteśmy skwarkami na rozgrzanej do czerwoności patelni. Wszystko wokół wrzało, syczało i dyszało w żarze, a w Mazi – klimat ulgi i wytchnienia, jak w życiodajnym zdroju. I wszyscy na biało. Białe ściany, białe podłogi i białe, luźne stroje pracującej tu młodzieży. Do tego proste mebelki, w tym krzesła koziołki autorstwa Rajmunda Teofila Hałasa z roku 1963. Oraz białe żyrandole wyglądające jak chmara białoskrzydłych bielinków kapustników. Łapiemy życiodajny oddech, temperatura obniża się o dobre kilka stopni (no dobra, to nie poetyzowanie, lecz klimatyzacja). Gdy zasiadamy do stołu, leżące na nim talerzyki odwrócone są dnem do góry, odsłaniają gmerki na odwrocie, świadczące, że to autorska kolekcja lokalu. Jesteśmy oto w restauracji talerzykowej, której sens polega na tym, by dzielić



Czulo się w tej kompozycji wiatr z karpackich połonin, złocistość kukurydzianych pól Moraw i Banatu, w końcu ekstatyczność cytrusowych gajów Dalmacji

się ze współbiedniaczkami i współbiedniakami, czerpać radość nie tylko z tego, co w gębie, ale też ze spotkania, bliskości, gadania i wzajemnego sobie podjadania.

Najpierw nad stolikiem zatrzepotała, by po chwili na nim usiąść salátka z oliwek, winogron, fety i smażonej okry (29 zł). To właściwy moment na wyznaczenie intymne. Albowiem szaleję za okrą, nigdy mi dość pieszczot z nią i czułych figli. A tu już zawinęła do mnie bruschetta z marchewkami (28 zł). Rude, piklowane talarki wraz z marchwiowymi młodzieńcami prosto z patelni przeżyły się na stracciatelli, a pikanterii tej relacji dodawało anchois. Zabawa była niezła, jednak w porannym wydaniu „Wyborczej” nie będę rozwijać tematu ze względów obyczajowych. Pojawił się też Pan Por (24 zł), podsypyany makiem i w kąpielii maślano-waniliowej. Jego część była pokrojona w duże kawałki, które rzucono na krótko na grilla, część w formie piórek strzelała zieloną świeżością, a wszystko spowite w jogurtowych

piernatach. Pan Por był najlepszą wersją samego siebie, będę za panem tęsknił, przystojniaku. Rzadko spotyka się w Polsce klasyczną francuską zapiekankę ziemniaczaną gratin dauphinois (26 zł), albowiem wstydzimy się bardzo naszej kartoflowatości. Tym bardziej doceniam, że Mezi oferuje cztery kostki tego cuda, skąpane w puszystym kremie z gorgonzoli. Kolejne wydarzenie to pomidorowe assiette, którego głównym bohaterem jest pokrojony w plastry maliniak (39 zł). Towarzyszył mu zielony braciszek w formie kiszzonej, do tego smażone truskawki i wędzona ricotta. Krok dalej w nieoczywistych zestawieniach to żółty melon z burratą, plasterkami kalarepy oraz oszalamiającym musem z mandarynek (38 zł). I słodki, i gorzki od albedo. Złocisty, ekscytujący, rozrzewniający. Życ się chce, panie i panowie!

A na finał bezmięsnej części naszej fiesty pojawił się makaron orzo z bobem, kukurydzą, pistacjami i pokruszonym pecorino (42 zł). Jak wszystkie dania Mazi ta również przywodziła na myśl kompozycje z obrazów Miró. Dużo kolorowych kropek, dużo radości i letniej energii.

Oddaliśmy, co cesarskie, cesarszowym, czas więc na coś dla nas, niewyzwolonych z kulturowych uzależnień i słabości. Czas na organizm nieodżywiające się wyłącznie światłem księżycy. Zachwycająco wypadła dorada z grilla o rozkosznie zwięzłym, śnieżnobiałym mięsku w lubieżnych pieszczotach sosu musztardowego (62 zł). Po chwili objawiła się pieczona jagnięca biodrówka (89 zł) o lekkiej, marcepanowej strukturze

w towarzystwie ciecierzycy w klasycznym maślanym sosie café de Paris. Dodatkową atrakcją stanowiły grillowane połówki rzodkiewek z przypieczonym pióropuszem jej własnych liści. Wspaniałym finałem setu mięsnego była skromna grillowana kielbaska jagnięca (39 zł) z polentą i oszalamiającą, pikantną konfiturą z pomarańczy. Czulo się w tej kompozycji wiatr z karpackich połonin, złocistość kukurydzianych pól Moraw i Banatu, w końcu ekstatyczność cytrusowych gajów Dalmacji.

Mazi dyszy gorącym południem, a „mazi” po grecku znaczy „razem” i takie właśnie integrujące przesłanie patronuje tej restauracji. Rządzi tu młoda, 30-letnia szefowa kuchni Ada Wójcikowska. Drobną, roześmianą dziewczyną stanowi zaprzeczenie stereotypowego bezwzględniego macho, rządzącego po kapralsku zapłczem restauracji. Pewnie również uległem jej czarom, ale odniosłem wrażenie, że od lokalu tego pała dobra, harmonijna energia. Kojąca jest również panorama Rynku Podgórskiego rozciągająca się z witryn Mazi. Helmy królujące nad tą przestrzenią wielkiego neogotyckiego kościoła, stado obozujących tu gołębi budzą skojarzenia z Rynkiem Głównym. Jest tu jednak dużo bardziej pastelowo i spokojnie, a w porównaniu z gorącą tamtej strony Wisły – wręcz sielsko anielsko. To wytchnienie od turystycznego wzmożenia w krakowskim śródmieściu. I w takim wręcz kuracyjnym nastroju wciągnąłem jeszcze deser. Był to krem chałwowy z bitej śmietany z pokrojoną w kostkę galaretką z czerwonego wina, sezamkami, winogronami oraz płatkami trufli. Końcówka godna mocarzy. ●

MAZI, Kraków, Rynek Podgórski 9, tel. 603905267, czynne od wtorku do czwartku od 15 do 22, w piątek od 15 do 23, w soboty od 10.30 do 23, w niedziele od 10.30 do 22, w poniedziałki nieczynne, przewijak dla niemowląt, ogródek, brak toalety dla niepełnosprawnych.

NASZA EUROPA

10 TYS. DOLARÓW OD OSOBY

MUR
STOI,
przemyt
ludzi kwitnie

– Kiedy szmuglerzy opisują sytuację wahającym się, brzmi to niemal jak piknik. Mówią: „Po prostu przyjedź, a za dwa-trzy dni będziesz w Niemczech”. A nam przejście ostatecznie zajęło pół roku

Zespół dziennikarzy BIRN

36-letni Daryan, Kurd pochodzący z Syrii, potrzebował sześciu miesięcy i zaangażowania czterech przemytników, żeby z Bliskiego Wschodu trafić do Niemiec. To właśnie już tam pod koniec czerwca rozmawiał z przedstawicielami BIRN (Balkan Investigative Reporting Network) – grupą bałkańskich organizacji pozarządowych i dziennikarzy. Opowiadając swoją historię, zdobywa się na żart, że „Kurdowie słyną z uporu”.

Daryan siedem razy próbował się dostać do Polski, zanim w końcu mu się udało. Raz użył drabiny, żeby wspiąć się na pięciometrowy mur graniczny zbudowany przez Polaków wzdłuż blisko 200-kilometrowej granicy z Białorusią. Raz go pokonał, ale polscy pogranicznicy wypchnęli go z powrotem przez bramkę w metalowym ogrodzeniu zrobioną właśnie po to – choć oficjalnie została zaprojektowana, by przepuszczać zwierzęta.

Dopiero za siódmym podejściem Daryan i jego towarzysze przeprawili się przez niewielką rzeczkę, która zamiast muru wyznacza granicę między dwoma krajami w głębi Puszczy Białowieskiej. Tym razem wreszcie się udało.

– Kiedy szmuglerzy opisują sytuację wahającym się, brzmi to niemal jak piknik – opowiada Daryan. – Mówią: „Nie zastanawiaj się, po prostu przyjedź, a za dwa-trzy dni będziesz w Niemczech”. A nam przejście ostatecznie zajęło pół roku. Kilka razy pobiła nas białoruska Straż Graniczna, niektórzy przemytnicy po prostu porzucali nas w lasach, kiedy tylko coś zaczynało iść nie tak – wspomina.

Sądząc po światowych nagłówkach, kryzys migracyjny na granicy UE z Białorusią skończył się pod koniec 2021 r., kiedy Komisja Europejska przekonała linie lotnicze i rządy – zwłaszcza bliskowschodnie – by wstrzymały loty do Mińska.

Jednak w rzeczywistości tzw. wschodni szlak lądowy do Europy (według termi-

nologii unijnej agencji granicznej Frontex) nadal funkcjonuje w najlepsze, a migranci dostają dziś najczęściej rosyjskie wize i lecą do Moskwy, zanim wyruszą dalej w kierunku Mińska, a następnie do Europy, przez granice Białorusi z Polską i krajami bałtyckimi.

NIEMIECKIE LANDY
ŻĄDAJĄ KONTROLI
GRANICZNYCH

Według polskiej Straży Granicznej późną wiosną i wczesnym latem każdego dnia rejestrowano od stu do dwustu „nielegalnych prób przedostania się do Polski”. A liczba migrantów, którym przez Polskę udaje się dotrzeć dalej na Zachód, jest tak duża, że dwa niemieckie landy przy granicy z Polską i Czechami poprosiły rząd federalny w Berlinie o przywrócenie stałych punktów kontrolnych na wschodnich granicach Niemiec. Choć rząd pomysł odrzucił, obiecał rozszerzyć kontrole na granicach z tymi krajami.

Z rozmów z działającymi na tej trasie przemytnikami, wywiadów z migrantami i przeglądu mediów społecznościowych, w których reklamują się przemytnicy, byliśmy w stanie odtworzyć działanie siatki szmuglerów i ich współpracowników, którzy – za 10 tys. dolarów od osoby – sprowadzają migrantów do Europy przez Rosję i Białoruś.

Przemytnicy spoza Europy, w tym z Bliskiego Wschodu, są w stanie koordynować siatkę miejscowych pomocników, głównie Rosjan i Ukraińców, ale też obywateli innych krajów poradzieckich i wschodnioeuropejskich. Każdy z nich zajmuje się konkretnym odcinkiem trasy, który dobrze zna i na którym ma liczne kontakty.

Kiedy spojrzeć na całość, wygląda to na dobrze ułożony hierarchiczny system: przemytnicy, niczym panowie feudalni, polegają na swoich lokalnych współpracownikach, którzy z kolei zarządzają kolejnymi etapami trasy migrantów.

SYRYJSKI PRZEMYTNIK Z
MOSKWY: PRZERZUCAM
DZIESIĘĆ OSÓB DZIENNIE

Aby ktoś taki jak Daryan mógł się dostać z Bliskiego Wschodu do Niemiec przez Rosję i Białoruś, potrzebnych jest co najmniej dwóch przemytników. Jeden organizuje podróż z Rosji na Białoruś, drugi – z Białorusi do Niemiec.

A., syryjski przemytnik działający z Moskwy, opowiada, że za 3,5 tys. dolarów oferuje pakiety obejmujące wize studenckie albo prywatne zaproszenia do Rosji. Żeby móc wyrabiać wize, musi współpracować z podmiotami w Rosji – uczelniami wystawiającymi lewe zaświadczenia o przyjęciu na kurs językowy albo z osobami prywatnymi, które ślą listy z zaproszeniem potrzebnym do zwykłej wize turystycznej.

Żeby zapłacić za taki pakiet, migrant zwykle deponuje pieniądze w „agencji ubezpieczeniowej” gdzieś na Bliskim Wschodzie, a przemytnik odbiera je, kiedy do biura wpłynie dowód, że jego klient pomysłnie opuścił lotnisko w Moskwie.

A. załatwia też samochód z kierowcą, który odbiera migranta z lotniska i wiezie go do miejscowego hotelu, przy czym szmuglerzy polegają zwykle na wybranych firmach taksówkarskich w stolicy Rosji. A. zapewnia też transport z Moskwy do Mińska – to drugi etap podróży, za który migrant płaci bezpośrednio kierowcy po przybyciu do białoruskiej stolicy. Przejazd kosztuje kolejne 300 dolarów, przy czym – jeśli jednym samochodem jedzie kilku ludzi, mogą podzielić koszty.

– Nasze samochody odjeżdżają z Moskwy do Mińska codziennie o godz. 22 – opowiada A. – Mam do dyspozycji wiele samochodów i mogę przewozić nawet ponad dziesięć osób dziennie. Wszyscy moi kierowcy to Rosjanie – dodaje.

Po podróży z Moskwy do Mińska, która trwa 10-12 godzin – między Rosją a Białorusią nie ma kontroli granicznych – migranci są wysyłani do prywatnych kwater załatwionych przez przemytników za typową stawkę dziesięciu dolarów za noc. Ponieważ dziś migranci zwykle nie mają już białoruskich wiz, nie są umieszczani w hotelach, gdzie wymaga się zameldowania.

Po przybyciu do Mińska migrant kontaktuje się z drugim przemytnikiem, który może współpracować z poprzednim i bywa, że nawzajem się polecają, ale nie zawsze tak jest.

PRZEWODNIK W
„ZAKAZANEJ STREFIE”

B., jemeński szmugler działający między Mińskiem a Niemcami, opowiada, że istnieją dwie opcje podróży. Jeśli migranci nieźle radzą sobie z nawigacją w telefonach, przemytnik wysła im pinę z miejscem po polskiej stronie, gdzie odbiera ich kierowca, który zabiera ich do Niemiec. Jeśli sobie nie radzą, dostają droższą opcję – miejscowego przewodnika.

– Przewodnik nie przyjeżdża po ciebie do Mińska – wyjaśnia B. – Sam musisz się dostać do „zakazanej strefy”, gdzie na ciebie czeka. „Zakazaną strefą” jest oddzielony drutem kolczastym teren przygraniczny po białoruskiej stronie.

Daryan, syryjski migrant, opowiada nam o swoich doświadczeniach z przewodnikami. Pierwszy, którego opisuje jako „Turka”, był bardzo młody i nie znał drogi. Był tak zagubiony, że migranci sami szukali swojej pozycji na telefonach i na dwa dni zgubili się w lesie, ostatecznie nigdzie nie docierając.

Drugim przewodnikiem, zaferowanym przez innego przemytnika, był starszy Białorusin, który przyniósł ze sobą drabinę i wręczył ją migrantom, bo dla niego była już za ciężka. On wołał użyć drabiny, by pokonać ogrodzenie, ale są też tacy, którzy w konkretnych miejscach wyrywają całe metalowe fragmenty „muru”.

Po każdej nieudanej próbie, po każdym pushbacku, migranci na własną rękę wracają do Mińska, gdzie czekają w swoich kwatery, aż przemytnik skontaktuje się ponownie, by zaproponować termin kolejnej próby.

W przypadku Daryana dopiero trzeci przemytnik dotrzymał słowa i przerzucił go do Polski. Zaferował nowego przewodnika, Kurda, który dostarczył łódź i razem z migrantami przekroczył graniczną rzekę.

DAJĘ 90 PROC. SZANS,
ŻE SIĘ UDA

C., kolejny syryjski przemytnik pracujący na trasie z Mińska do Niemiec, przyznaje, że koordynuje swoje działania z białoruskimi władzami, by uniknąć problemów po białoruskiej stronie. – Mamy trzy umówione godziny, kiedy opuszczamy Mińsk, docieramy do „zakazanej strefy” i przekraczamy granicę – wylicza.

Ponieważ korzysta z tras prowadzących przez rzeki, a nie przez mur graniczny, żąda wyższej opłaty – 5 tys. dolarów zamiast 3,5 tys. W każdym przypadku „agencje ubezpieczeniowe”, w których deponowane są pieniądze, przekazują je przemytnikom dopiero wtedy, kiedy dostaną potwierdzenie, że migranci dotarli do Niemiec

– Jeśli uważasz, że jestem za drogi, idź do facetów, którzy żądają 3,5 tys. dolarów, i spróbuj szczęścia z nimi – mówi C. – Słyszałem, jakie są problemy z przekroczeniem żelaznego muru [polskiej granicy], z innymi udaje się to tylko jednej osobie na dziesięć – dodaje. – Za to ze mną, jak Bóg pozwala, udaje się 90 proc., bo tyl-

NASZA EUROPA

ko ja mam przewodników także po polskiej stronie.

„Proponujemy dobre oferty pracy dla nas w Bułgarii, Mińsku, na Litwie i w Polsce. Potrzebujemy kierowców z własnymi samochodami. Zainteresowanych prosimy o wiadomość. Oferujemy dobre pieniądze” – to jedno z setek ogłoszeń o pracę zamieszczanych na rosyjskojęzycznych kanałach na Telegramie, z których rekruterzy korzystają, by znaleźć kierowców, którzy mogą zgarnąć migrantów i przewieźć ich do Niemiec. Większość ogłoszeń zawiera informację o wynagrodzeniu – od 2 do 3 tys. dolarów za przejazd.

ROZMOWY
W SAMOCHODZIE

By zrozumieć, jak działa rekrutacja, śledczy z BIRN rozmawiali na Telegramie z jednym z mężczyzn zamieszczających ogłoszenie, przedstawiającym się jako Konstantyn. Wyjaśnił, że praca polega na „wożeniu uchodźców”, a kierowca dostaje 600-700 dolarów od osoby. Migranci odbierani są w okolicach Hajnówki i wезieni na granicę z Niemcami.

Na kanałach na Telegramie są setki nagrań pokazujących ludzi, którym udało się przedostać przez polską granicę, jadących samochodami albo pieszo pokonujących granicę z Niemcami. Kierowcy nagrywają migrantów, którzy podają swoje nazwiska, bo filmy mogą później służyć jako dowód przy pobieraniu płatności od „agencji ubezpieczeniowych”.

„Potrzebujemy kierowców z własnymi samochodami. Oferujemy dobre pieniądze” – to jedno z setek ogłoszeń zamieszczanych na rosyjskojęzycznych kanałach na Telegramie. Dobre pieniądze to do 3 tys. dol. za przejazd z Hajnówki do granicy Niemiec

Migranci na nagraniach często mówią, jak bardzo są wdzięczni przemytnikom, jednak są i tacy, którzy są tak zmęczeni albo chorzy, że są w stanie tylko podać swoje nazwisko.

Są nagrania, na których słychać głosy kierowców. Rzadko zdarza się, że przypadkowo uchwycone są ich twarze lub tablice rejestracyjne. Kierowcy mówią czasem po angielsku ze słowiańskim akcentem, ale najczęściej po rosyjsku lub ukraińsku, zdarza się też polski i czeski. Czasem słychać też damskie głosy, bo niektórzy kierowcy najwyraźniej pracują razem ze swoimi partnerkami.

Ton kierowców zwykle jest władczy i opryskliwy. Każą migrantom jak najszybciej wysiąść, pokrzykują, kiedy wysyłają ich pieszo na niemiecką granicę.

Anna Michalska, rzeczniczka polskiej Straży Granicznej, przyznaje, że w ubiegłym roku polskie władze aresztowały 401 osób, a od stycznia do początku czerwca tego roku – kolejne 352. Wszystkich zatrzymano za „organizowanie lub pomoc w organizowaniu nielegalnego przekraczania granicy”. Wśród osób aresztowanych w ubiegłym roku było 174 Ukraińców, 47 Polaków i 37 Gruzinów. W tym roku jak dotąd zatrzymano już 171 Ukraińców, 37 Gruzinów i 33 Białorusinów. Większość tych aresztowanych to prawdopodobnie właśnie kierowcy, nie właścicieli przemytnicy. ●

tłum. Marta Urzędowska

CHRISTOPHER NOLAN:

Los Oppenheimera to dobra lekcja dla branży AI

Każdego dnia zadawaliśmy sobie pytanie, gdzie powinna się znajdować kamera, żeby patrzeć oczami Roberta Oppenheimera. Ja nie chciałem po prostu osądzać jego działań.

Etienne Sorin

LE FIGARO

Brytyjski reżyser – o reputacji obecnie „najbardziej dochodowego” w Hollywood – postanowił przenieść na duży ekran historię Roberta Oppenheimera, ojca bomby atomowej. Tym samym twórca „Incepcji” i „Interstellar” zdaje się odchodzić od stałych obsesji swojego kina. Ale to tylko złudzenie.



Po „Dunkierce”, czyli opowieści o operacji „Dynamo”, udanej próbie ewakuacji głównie Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego z Francji na przełomie maja i czerwca 1940, po raz kolejny zajmuje się pan kluczowym epizodem II wojny światowej. Dlaczego tak pana interesuje ten okres?

– Bo interesują mnie niezwykle historie. Druga wojna światowa była czasem nieprawdopodobnego kryzysu, kiedy całe społeczeństwa musiały reagować na ekstremalne zagrożenie i niebezpieczeństwo. To kopalnie tematów dla kina, nawet po 80 latach.

Dorastałem, stale słysząc o operacji „Dynamo”. Ale to był paradoksalny i niezwykle epizod dotyczący m.in. relacji między wojskiem i władzą a cywilami. Natomiast „Oppenheimer” to przede wszystkim historia jednostki i sposobu, w jaki można spełnić jej pragnienia i kaprysy.

Po raz pierwszy usłyszałem o Oppenheimerze za pośrednictwem popkultury, kiedy byłem nastolatkiem w Anglii w latach 80. Zagrożenie nuklearne było wtedy nadal na ustach wszystkich. Sting nagrał bardzo popularną piosenkę zatytułowaną „Russians”, w której odnosił się do „śmiercionośnych zabawek Oppenheimera” – prawdopodobnie wtedy po raz pierwszy usłyszałem to nazwisko. Potem przez lata dowiadywałem się o nim coraz więcej.

Z jego nazwiskiem, jako ojca bomby atomowej, wiąże się pewien, trzeba przyznać, uwodzielecki mrok. Stopniowo odkrywałem bardziej dramatyczne, szekspirowskie aspekty jego wstępu i upadku. Lektura biografii autorstwa Kaia Birda i Martina J. Sherwina, zatytułowanej „Triumph i tragedia geniusza”, ostatecznie utwierdziła mnie w moich przekonaniach co do tego człowieka. Dla filmowca tak wielka amplituda między publicznym wstępnym a osobistym krachem jest kapitalnym materiałem dramatycznym.

Inwazja Rosji na Ukrainę i w konsekwencji powrót zimnej wojny sprawiają, że Oppenheimer i jego motywacje nabierają nowego kontekstu. Myślenie o nim przydaje się np. w kwestii odstraszania nuklearnego.

– Kiedy zacząłem mówić mojemu nastoletniemu synowi, że piszę scenariusz o Oppenheimerze, powiedział mi: „Kogo to zainteresuje? Kogo obchodzi broń nuklearna?”. Był rok 2021.

Powiedziałem mu, że to też może być dobry powód do nakręcenia filmu. Bo wy-

daje mi się, że społeczeństwo powinno być stale zainteresowane tym tematem. I niestety, wskutek strasznych zdarzeń, dwa lata później nikt już nie zadaje takiego pytania. Niebezpieczeństwo związane z bronią jądrową może zostać zawieszony, zastąpiony przez inne obawy i inne zagrożenia, ale nigdy nie znika całkowicie.

„Dunkierka” rozgrywa się na polu bitwy, pasuje do kina, jakie pan uprawia, ale w „Oppenheimerze” głównym miejscem akcji są laboratoria naukowe i biura...

– Chciałem spróbować spojrzeć na historię wojny oczami Oppenheimera i grupy skądinąd wybitnych naukowców, których dołączył do projektu „Manhattan”. Oni wszyscy o wydarzeniach na polach bitew dowiadawali się wyłącznie z komunikatów radiowych. Byli odizolowani, żyli we własnym świecie. Po raz pierwszy w historii wojnę ostatecznie wygrali nie generalowie, ale naukowcy. Jest to bardzo ważna zmiana w relacjach między nauką a etyką, polityką a społeczeństwem jako całością. Nauka zawsze reprezentowała najwyższe aspiracje ludzkości. Owszem, w przeszłości inżynierowie, innowacyjni mechanicy wymyślali nowe typy broni. Ale w tym przypadku do gry weszła czysta, teoretyczna i pozornie abstrakcyjna nauka, zrodzona z idei Alberta Einsteina.

I to naukowcy przez chwilę wychodzili z założenia, że faktycznie są w stanie narzucić światu swoją kontrolę. To była zasadnicza zmiana. Ale oczywiście szybko stało się jasne, że naukowcy nie mają nad niczym kontroli na tym świecie...

To dlatego, by przyjąć ten ich subiektywny punkt widzenia, zdecydował się pan napisać dużą część scenariusza w pierwszej osobie?

– Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Ale naprawdę chciałem odnaleźć w tym wszystkim światopogląd Oppenheimera. W tym celu wprowadziłem też rozróżnienie wizualne: sekwencje kolorowe kontrastują z bardziej obiektywnymi, narracyjnymi sekwencjami czarno-białymi. To rozróżnienie pomogło mi, ale także grającemu główną rolę Cillianowi Murphy’emu i autorowi zdjęć Hoyte’owi Van Hoytemie. Każdego dnia zadawaliśmy sobie pytanie, gdzie powinna znajdować się kamera, żeby patrzeć oczami Oppenheimera. Ja nie chciałem po prostu osądzać jego działań.

Czy przesadą jest rysowanie paraleli między Oppenheimerem a panem jako filmowcem stojącym na czele zespołu, wydającym miliony dolarów, aby zrealizować jakąś misję?

– Przesadą, i to wielką! Zaczynając od tego, że nie dostałem 2 miliardów ówczesnych dolarów, jak Oppenheimer w 1942 r. Chyba nikt dziś w żaden sposób nie może się z nim porównywać i cieszyć się, że nigdy nie byłem w jego sytuacji. Ale jeśli jest jakiś punkt zaczepienia, to leży on w sposobie, w jaki zorganizował projekt „Manhattan”. Jako dyrektor laboratorium musiał zebrać grupę nieprzeciętnych talentów, najlepszych w swojej dziedzinie w tamtym okresie, i w zasadzie zmusić ich do współpracy. Właściwie potraktowałem tę część jak heist movie, film o napadzie, który uważam za jeden z najbardziej ekscytujących gatunków z dramatycznego punktu widzenia. W takich opowieściach chodzi o pokazanie, jak łączy się ludzi o różnych umiejętnościach w celu osiągnięcia pewnego am-

bitnego celu – i to rzeczywiście może nieco przypominać plan filmowy.

Zbudowaliście replikę tajnej bazy w Los Alamos w Nowym Meksyku.

– To prawda, ale z tym poszło szybko i tanio. Pamiętam dyskusję z moją główną scenografką na temat harmonogramu. Zastanawiała się, czy dotrzemy terminu. I ta rozmowa była dokładnie taka sama, jak ta między Oppenheimerem a pułkownikiem Grovesem – w scenariuszu i w rzeczywistości.

Pokazuje pan upokorzenie Oppenheimera w latach 50., stał się jedną z ofiar senatora McCarthy’ego i jego inkwizycyjnej komisji, która próbowała zrobić z niego szpiega oplacanego przez Rosjan...

– Nic w historii Oppenheimera, potomka nowojorskich Żydów pochodzących z Niemiec, zarazem wielkiego fizyka z Berkeley, który swoją naukową karierą rozpędził w Getyndze, nie jest proste. Został zwierzbowany do kierowania najbardziej tajnym projektem, jaki kiedykolwiek opracowywano w czasie wojny, mimo że armia doskonale wiedziała, że sympatyzował z komunistami podczas hiszpańskiej wojny domowej. Ale dopiero gdy opowiedział się zdecydowanie przeciwko rozprzestrzenianiu broni jądrowej i nawoływał, by odstąpić od wyścigu zbrojeń z ZSRR, rząd USA postanowił odciąć go od programu nuklearnego. Dlatego urządzono mu publiczny proces w 1954 r.

Jeśli wpisać „Oppenheimer” w Google, dowiemy się, że z dnia na dzień stracił dostęp do tajnych dokumentów, ot tak, bez żadnych dalszych wyjaśnień. Osobie, która wiedziała w Ameryce najwięcej o energii atomowej, założono kaganiec!

Rząd zrobił wszystko, co w jego mocy, aby zbagatelizować tę degradację. To było fatalne nie tylko dla reputacji Oppenheimera, ale także dla polityki nuklearnej w kolejnych dziesięcioleciach. Dopiero w zeszłym roku Oppenheimer, genialny człowiek, który na własną zgubę oddał dosłownie wszystko swojemu krajowi, wyłącznie ze swoimi osobistymi zasadami etycznymi, został oficjalnie zrehabilitowany.

Czy popiera pan trwający obecnie strajk scenarzystów i aktorów w Hollywood?

– Strajkują z dobrych powodów. Przemysł filmowy przechodzi poważną transformację. Trwa gwałtowny przewrót technologiczny, zmienia się model biznesowy. Stream=ing zmienia zasady gry, ale firmy produkcyjne nowego typu muszą płacić scenarzystom godziwe wynagrodzenie. Priorytetem dla platform streamingowych jest tworzenie treści wyłącznie dla swoich subskrybentów, a nie dla szerszej publiczności na całym świecie, jak to jest przyjęte w kinie. Nie może się to odbywać ze złością dla twórców. Mam nadzieję, że strajk nie potrwa długo, ale jest konieczny.

Czy scenarzyści powinni się obawiać sztucznej inteligencji?

– Wielu badaczy w branży AI, z którymi rozmawiałem, czuje, że przeżywają swój „moment Oppenheimera”. Jego historia rzuca światło także na ich odpowiedzialność. Muszą przewidywać nieoczekiwane konsekwencje nowej technologii. Niestety dla nich, nie jestem pewien, czy przypadek Oppenheimera daje łatwą odpowiedź. Sztuczna inteligencja stanie się – w to nie wątpię – niezwykle potężnym narzędziem.

Pytanie brzmi, czy państwa zrzekną się nad nią kontroli i czy jej wykorzystanie doprowadzi do tego, że jednostki będą się uchylać od wszelkiej odpowiedzialności.

Na razie skłaniam się ku optymistycznemu pogładowi: jest możliwe, że wszystko będzie dobrze. ●



„Kiedy chowałam syna, to wzięłam flagi Grupy Wagnera i ZSRR. Flagi Rosji już nie chcę”. Rozmawiamy z matkami wagnerowców

Portal „Hołod”

Przypomnijmy fakty: pod koniec czerwca „kucharz Putina” i szef najemniczej armii Grupa Wagnera Jewgienij Prigożyn zajął Rostów nad Donem i wysłał swoich ludzi na Moskwę.

Po kilku godzinach zawrócił kolumnę i zgodził się na warunki zaproponowane przez Łukaszenkę. Początkowo wszczęto sprawę karną przeciwko Prigożynowi, a Putin mówił o zdradzie, ale sprawa została umorzona, a Prigożyn wyjechał na Białoruś. Niezależne czasopismo „Hołod” dotarło do matki wagnerowców.

Olga, mieszka w średniej miejscowości w Kraju Nadmorskim, **62 lata**

Mój Wołodia nie był idealny, nie powiem. Urodził się w 1986 roku. 3 grudnia 2022 poszedł na front z kolonii karnej. 12 lutego 2023 zginął, dostał medal „Za odwagę”. Poszedł na front dobrowolnie: od lipca 2022 roku mężczyźni: „Mamo, zadzwoń do krewnych”. Bo mamy w Moskwie krewnych ustosunkowanych w armii, prosił, żeby wysłali go na wojnę. Odmawiałam mu i przeciągałam wszystko. A w listopadzie zadzwonił do mnie i powiedział: „Mamo, jeśli nie ja, to kto?”.

WOŁODIA IDEALNY NIE BYŁ, ALE WALCZYŁ ZA ROSJĘ

Już wcześniej był żołnierzem, ale tak się składa, że karany. To nie ma znaczenia, za co [syn Olgi odbywał karę za pobicie ze skutkiem śmiertelnym: w 2018 roku dostał 9 lat; w innych latach był sądzony za kradzież, rozbój, kradzież samochodu, zagrożenie pozabawieniem życia, pobicia, gwałt i napaści na tle seksualnym]. Powiedział: „Mamo, wrócę, będę cały w medalach. Dziadek nie wybił faszystów, to ja to zrobię”.

Kiedy chowałam syna, to wzięłam ze sobą flagi Grupy Wagnera i ZSRR. Nie kupiłam flagi Rosji: obraziłam się i na komisariat wojskowy, i na administrację. Kiedy przyszedł i powiedziałam, że zginął mój syn, potraktowali

mnie bardzo nieprzyjemnie. Mówię: „Nie przyszedł do was prosić o jałmużnę, mój syn zarobił tyle, że sama go pochowam. Chciałam, żebyście przyszli na pogrzeb”. Odesłali mnie. Nie zachowali się po ludzku, jakby nasi chłopcy, ci, co walczyli w Grupie Wagnera dla ministerstwa, nie robili tego samego. Podzielili ich na lepszy i gorszy sort. W administracji było to samo. Powiedzieli: „Dostała pani pieniądze, więc niech pani go pochowa”. Sami pochowali syna, bez żadnych honorów.

Kiedy mój syn zginął, zadzwoniłam do władz lokalnych i poprosiłam o wydanie drewna na opał [w ramach wsparcia rodzin żołnierzy w niektórych regionach

władze zaczęły dawać dotacje na paliwo stałe, m.in. na drewno opałowe; dane Rosstatu podają, że 12 proc. mieszkań i domów w Rosji nie ma innego źródła ciepła niż piecyki na drewno i grzejniki elektryczne]. Mnie odmówili, bo był wagnerowcem. Potem na czacie inne rodziny wagnerowców obiecały, że pomogą, i dostałam dwie skrzynki drewna. Co prawda z odbiorem osobistym, ale dali. Nie chodzi o to, że nie mamy pieniędzy, to kwestia zasad. To wstyd, że zginął syn, a matka nawet na drewno nie zasługuje. Chodzi o szacunek, pamiętać: chłopcy zginęli, a o nich zapomniano, jakby nigdy nie istnieli.

Po pogrzebie powiesiłam na domu flagę i tabliczkę Grupy Wagnera. Do tej pory ich nie zdjęłam i zdejmować nie zamierzam. A jeśli ktoś spróbuje je zdjąć, wykopię okopy i będę bronić swojego domu i flagi. Na grobie syna również wisi flaga Grupy.

Naprzeciwko mojego domu znajduje się biuro Federalnej Służby Bezpieczeństwa i kiedy miały miejsce te wydarzenia z Prigożynem, pracownicy FSB pisali do mnie: „Ciociu Olu, jesteśmy z tobą, nie zdejmuj flagi, jak coś, to krzycz”. Nikt mi nie groził, wręcz przeciwnie, wspierali mnie. Wszyscy moi krewni są za moim synem za to, że poszedł. Prigożyn dał mu szansę. Jeszcze sporo lat mu zostało w więzieniu.

Uważam, że nie było żadnego buntu. Wagnerowcy po prostu pokazali, że są traktowani niesprawiedliwie, że nie otrzymują amunicji. Uważam też, że gdyby mieli amunicję, to mój syn był żył. Tak wielu chłopców zginęło.

Syn nic mi się nie żalił, oczywiście, mówił: „Mamo, jest wszystko dobrze, kocham cię, buziaki, lecimy”. Ale mamy przecież telewizor i internet. Prigożyn otwarcie mówił, że nie dostają amunicji. Nie został ukarany, bo mówił po prostu prawdę. Gdyby nie miał racji, rozstrzelaliby go gdzieś za rogiem czy aresztowali. On po prostu pokazał swoją siłę, żeby go wysłuchali.

Wagnerowcy zestrzelili z karabinów samoloty [24 czerwca najemnicy stracili wojskowego iła-22, zginęło 10 członków załogi. Później okazało się, że buntownicy zestrzelili jeszcze sześć śmigłowców], ale co za idiota ich posłał na wagnerowców? Przecież wiedzieli, że chłopcy nie będą po prostu patrzeć, jak ich bombardują. Trzeba być samobójcą, żeby polecieć przeciwko wagnerowcom.

Zauważcie, że poszli na Rostów i ani jednego człowieka nie zwyzywiali, nie pobili, nie byli niegrzeczni, a jednak w mediach mówią o nich: „Tam są zekowie i bandyci”. A Rostów powitał ich i ludzie im klaskali.

Przykro mi, że wagnerowcom nie przyznali tego, co dostaje armia. Matki i żony nie dostały żadnych świadczeń, a przecież straciłyśmy synów. Tak, to są więźniowie kolonii karnych, ale oddali swoje życie. To dość dziwne: dzieci zmobilizowanych żołnierzy idą na studia za pieniądze ze świadczeń i jakieś świadczczenia są też dla matek, a dla nas nic nie ma. A przecież chłopcy są ułaskawieni od momentu wstąpienia do wagnerowców. To znaczy, że prezydent dał nam swoje błogosławieństwo!

27 czerwca wystąpił Władimir Władimirowicz i okazało się, że sponsorował Grupę Wagnera [Putin powiedział, że wagnerowcy byli w pełni finansowani przez państwo, wydano na nich 86 miliardów rubli – ok. 3,9 miliarda złotych – w ciągu roku, a ponad 110 miliardów wydano na wypłaty ubezpieczeń, co daje prawie 200 miliardów rubli; później słynny propagandysta Dmitrij Kisielow w mediach powiedział, że kwota była 10 razy wyższa]. Jak to jest? Jesteś dziennikarzem, więc spytaj naszego Putina, czemu tak jest. Albo ministra Szojgu, albo jego zastępczynię [chodzi o rzeczniczkę prasową resortu obrony – 32-letnią absolwentkę dziennikarstwa Rossijaną Markowską, która często nazywana jest generałem, choć najpewniej ma tylko stopień odpowiedzialny majorem], która swoją pizdą, kurwa, możecie tak napisać, zapracowała na ordery i medale. Jak tak można? Ile ona ma lat, że jest już zastępcą Szojgu? To niepojęte. A on jest hodowcą reniferów [w mediach społecznościowych jest zabawne zdjęcie księżniczki wojskowej Szojgu, ze zbliżeniem na rubrykę ze specjalizacją – „specjalista ds. gospodarki wojskowej – hodowca reniferów” i adnotacją „nie odbył obowiązkowej służby wojskowej”]. Niech mnie wsadzą do więzienia! Czy on ma wykształcenie wojskowe? Jeśli mój brat jest generałem w Moskwie, to przeszedł całą swoją edukację. Mam nadzieję, że nie ogłoszą mnie wrogiem narodu.

Dlaczego nie dają poległym chłopcom medali za Bachmut? Nie rozumiem, czemu oddają miasta. Nic nie rozumiem. Przecież prawie dotarli do Kijowa, po cholere go oddali? Tyle ofiar. Ta polityka... Prigożyn powiedział to, o czym wielu z nas myślało. Ubrał, odział i nakarmił nasze dzieci – to fakt. A zmobilizowani przez ministra do tej pory zbierają okrucy.

Nadzieźda, mieszkanka miejscowości w Republice Baszkortostanu, 45 lat

Mój syn jest na wolności, ma 23 lata [syn Nadzieźdy został skazany w 2022 roku na trzy i pół roku w zawieszeniu za posiadanie mefedroonu]. Poszedł walczyć nie dla nagród czy pieniędzy, ale dlatego że jest patriotą, tak jak ja. Walczy już piąty miesiąc. W Bachmucie poszedł na rzeź, bo jego koledzy przyjeżdżali w ładunku 200 [w wojskowym slang – transport metalowych trumien; określenie powstało podczas wojny w Afganistanie w latach 80.], powiedział: „Nie mogę już na to patrzeć”.

Kiedy zobaczyłam wiadomości 24 czerwca, nie mogłam uwierzyć, że to bunt. Jestem subskrybentką kanału Jewgienija Prigożyna i wiem, ja-

kim jest patriotą, jak bardzo wspiera los Rosji i że występuje przeciwko tej całej biurokracji. Zrozumiałam, że to może być po prostu krzyk duszy przeciwko systemowi ministerstwa obrony: przeciwko brakowi wyposażenia, nieprzemysłanym decyzjom, dużej liczbie ofiar, temu, co się stało z zaporą w Kachowce. Trzeba było ustalić priorytety, jeśli istniało zagrożenie ekobójstwem i taką katastrofą, należało przede wszystkim zapewnić bezpieczeństwo. Kiedy to wszystko się wydarzyło z elektrownią wodną, to oczekiwałam jakichś zmian kadrowych.

W takiej sytuacji nikogo nie popieram. Nasz prezydent mnie zszokował: zachował się jak tchórz. Jeśli to naprawdę był bunt, to zamiast użyć siły, zadzwonił do Erdogana i Łukaszenki. No i co z niego za przywódca, skoro sam nie umie rozwiązać problemu? Oni tam wszyscy posikali się w majtki – przepraszam – schowali się.

Przykro mi, że wagnerowcom nie przyznali tego, co dostaje armia. Matki i żony nie dostały żadnych świadczeń, a przecież straciłyśmy synów. Tak, to są więźniowie kolonii karnych, ale oddali swoje życie

Żebyście zrozumieli, jaką jestem patriotką: na każdej platformie, na WhatsAppie i innych komunikatorach mam zdjęcie Putina siedzącego na niedźwiedziu [„Hołod” znalazł Nadzieźdę na liście członków skrajnie prawicowego Ruchu Wyzwolenia Narodowego, która wyciekła do sieci]. Byłam dumna z naszego prezydenta, uważałam go za silnego przywódcę, a ja jestem tak rozczarowana, że brakuje mi słów. Znacnie to uczucie, kiedy wierzycie w kogoś i przeżywacie potem takie ogromne rozczarowanie.

Po Jewgieniju Prigożynie też się tego nie spodziewałam. Nie popieram żadnego buntu, zawsze byłam zwolenniczką prawa i porządku. Ale myślę, że to nie był bunt: musiał po prostu rozwiązać kwestię statusu Grupy Wagnera, dlatego jest ignorowana na wszystkich centralnych kanałach telewizji. Właściwie każde wielkie zwycięstwo było wyłącznie dzięki wagnerowcom. Największymi zwycięstwami, jakie odnieśliśmy na tej wojnie, są Bachmut i Soledar i na żadnym kanale centralnym o tym nie mówili. Ale w końcu Prigożyn nie rozwiązał kwestii nagród ani statusu Grupy. Teraz chłopcy są oczerniani z każdej strony, jakimi to nie są zdrajcami i terrorystami.

10 stycznia Prigożyn ogłosił całkowite przejście kontroli nad ukraińskim miastem Soledar w obwodzie donieckim, a ministerstwo ogłosiło zdobycie miasta trzy dni później. Zdobycie Soledaru dało naszym przewagę w dalszych walkach o Bachmut. W maju Putin pogratulował Grupie Wagnera i obiecał im nagrodę. A teraz propaganda zaczęła twierdzić, że Bachmut „nie był najważniejszym miastem dla fron-

tu”, a skuteczność wagnerowców była mitem.

Nie wiem, komu wierzyć. Oglądałam telewizję i czytam kanały Telegrama: opinie są sprzeczne. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie, żeby Prigożyn był zdrajcą. Jeśli jest zdrajcą, to czemu tak to się skończyło? Nie jest głupi, jest dorosłym i mądrym człowiekiem, całkiem racjonalnym. Musiał to przemyśleć, zanim cokolwiek zrobił, ale w rzeczywistości teraz wrobił wszystkich bojowników. Myślę, że porzucą chłopców i nie wyplacą im pensji, skoro Putin już oznajmia, ile miliardów wydali na Grupę.

Nie wiem, jaki jest los mojego syna, nie wiem, czy podpisze kontrakt z armią. Wstąpił do Grupy Wagnera, ponieważ był przeciwny całej tej biurokracji. Ogólnie nie boję się tego powiedzieć, wagnerowcy to najsilniejsza armia na świecie. To szacunek i status, i wynik, nie zawyżone liczby, które Konaszkenow [Igor

Konaszkenow, szef wydziału informacji i komunikacji w ministerstwie obrony] ogłasza w telewizji. To nawet nie jest zabawne.

Ci, co nam zazdrościli – albo kolaboranci, albo przeciwnicy wojny – zyskali teraz satysfakcję moralną. Wielu ludzi, nawet wśród znajomych, którzy popierali tę wojnę, teraz mówi: „A nie mówiliśmy?”.

Nastąpił krach. Cały ten system zgnije i upadnie, ponieważ jedyna osoba, która mogła to zmienić, uciekła. Jeśli wszystko w kraju wygląda tak, jak teraz... Myślę, że ludzie już nie poprą prezydenta po tej hańbie i tchórzostwie. Nawet nie jako przywódca, ale jako człowiek mógł inaczej się zachować.

Prigożyn też mnie rozczarował: nie rozumiem, dlaczego to zrobił.

Rezultat jest taki, że naszych chłopców zmieszali z gównem, są teraz terrorystami, ekstremistami. Bachmut, wszystkie ich zasługi, o które modliliśmy się każdego dnia, wszystko poszło na marne. Wszystkie osiągnięcia zmarłych zostały zrównane z ziemią.

Mam ogromną nadzieję, że chociaż mają jakiś plan. Nie mogę uwierzyć, że mamy takich głupich przywódców: tchórzliwych, tępych i krótkowzrocznych. Jeśli to prawda, to jestem bardzo rozczarowana przyszłością tego kraju. Jest skazany na zagładę. ●

Przet. Weronika Leszczyńska

W Rosji zamknięto wszystkie wolne media, mimo to redakcja „Hołodu” nadal pracuje. Dziennikarze i redaktorzy portalu zwracają się z prośbą do polskich czytelników o wsparcie. Przelewy można zrobić na **Hołod. media/donate**

CASA NOSTRA

Zapraszam premiera na wycieczkę do Sieny

Najważniejsze aktualności we Włoszech: brak zwycięstw w Tour de France, upał, imigranci i fresk z przełomu czwartej i piątej dekady XIV wieku.

Jarosław Mikołajewski

– Umarł Kundera.

– Nie znam się na futbolu...

Pytanie – odpowiedź, pewnie nieprawdziwe, wymyślone po to, by ośmieszyć drugą stronę politycznej areny.

Tematem numer jeden we Włoszech są jednak nie Milan Kundera, lecz masowe migracje, Lampedusa pękająca w szwach. A także brak włoskich zwycięstw na Tour de France, reforma prawa, europejskie sojusze. I upał, jak w „Hydrozagadce” Andrzeja Kondratiuka. W mijającym tygodniu temperatura dochodziła prawie do 50 stopni, w prawie 30 miastach został ogłoszony alarm.

Dla mnie, który bywam co drugi dzień w Sienie, najważniejszą aktualnością jest jednak fresk Ambrogia Lorenzettiego: arcydzieło sztuki obywatelskiej z przełomu czwartej i piątej dekady XIV wieku, któremu Adam Zagajewski poświęcił kiedyś w „Wyborczej” ważny wiersz. Namalowany w Palazzo Pubblico – ratuszu – mający przypominać o odpowiedzialności, jaką ponoszą rządzący.

XIV wiek zaczął się od apelu o odpowiedzialność władzy, który w „Komedii” zawarł Dante, i długo trwa pod nakazem tej troski.

Kiedy wchodzimy do przestrzeni dekorowanych przez Lorenzettiego, mamy ochotę wysłać do Sieny cały Sejm Rzeczypospolitej, Radę Ministrów, prezydenta, premiera. Żeby zobaczyli obrazek Dobrych Rządów i Złych Rządów. Świat normalny, słoneczny, błogosławiony cnotą i dobrobytem, i rządów złych, pod którymi nawet żyzna sienieńska ziemia przestaje rodzić.

Te Rządy mają twarze, i są one zadziwiająco podobne do kilku osób, które znamy z telewizji. Zwłaszcza ta główna, która obróciła aspirację do publicznego dobra na obrzydliwą ambicję, żeby splugawić siebie, lizusów dworu, dać życiową szansę chciwcom w zamian za ślepe posłuszeństwo i zgodę na krótką perspektywę Fortuny: dostać szybko, nie myśląc o tych, którzy przyjdą.

W tym czasie dzieło Lorenzettiego robi straszne wrażenie i – kiedy to wszystko minie w naszej rodzimej Sienie – każe obmyślić jakieś znakomite malarstwo na ściany parlamentu, Pałacu Namiestnikowskiego, pałaców w Alejach Ujazdowskich. Moralnie i intelektualnie wstrząsające, niezapomniane, stworzone przez mistrzów.

Czy jednak są jeszcze mistrzowie? Czy ministerstwa – Edukacji, Kultury, Bóg Wie Czego – nie po to sięją miazgę, żeby nikt nie potrafił namalować Powinności i Prawdy, która jest miłością, szczerem rozpoznaniem, sztuką? Cóż, zawsze można pojechać do Sieny. Czytać własną historię i współczesność w wersji średniowiecznych gigantów.

Arcydziela mają moc ściągania aktualnych interpretacji. Czyż u Dantego, w początkowych słowach „W połowie wędrówki naszego życia/ znalazłem się w mrocznej dziczy/ bo prosta ścieżka była zgubiona”, nie można znaleźć zagubionego na polskiej granicy Jemeńczyka?

Cóż jeszcze?... W końcu, po długiej drzemce, wzrastają białymi łakami wydumowe lilie. Wenus ukrywa się w pachnących mirtach. Tak, tak, z przepiękną rozumnego świata można się śmiać, lecz bez niego głupieje się bezpowrotnie. ●

WYROBNICZY HOLLYWOODU

FOT. JORDAN STRAUSS/AP

Grozi nam zastąpienie przez sztuczną inteligencję. Umowy, które proponują wytwórnie, to przedstawianie mebli na „Titanicu”.

Maciej Jarkowicz

W dzielnicy Studio City w południowo-wschodnim Los Angeles jest bar o nazwie Residuals Tavern. „Residual” znaczy „osad”. Tak mówi się na tantiemy aktorów epizodycznych. Gdy nieznany nikomu odcinek nieznanego nikomu serialu, w którym pojawiłeś się na dziesięć sekund, żeby dać komuś w mordę, został wyemitowany o drugiej nad ranem na nieznanym nikomu kanale telewizyjnym, po paru miesiącach dostajesz pocztą czek na dziesięć centów. W Residuals Tavern barman sprzedaje ci za ten czek piwo. Ulubiona speluna tych, którzy nie tracą nadziei.

W ubiegłym roku spotkałem się tam z Justinem Cuomo. Gość po czterdziestce w T-shircie i dżinsach, niewysoki, ale napałowany, z fryzurą na jeża. Przyjechał prosto z planu.

– Ostatnio grywam samych skurwysynów.

Tamtego dnia był gorylem dealera narkotyków. Wyszli z auta przed hangarem, podeszli do dwóch facetów, żeby dobić targu, ale tamci okazali się agentami FBI. W strzelaninie Justin musiał sam wykonać salto i wylądować na masce samochodu, bo kaskader dzień wcześniej doznał kontuzji. Scenę kręcili cały dzień.

– Jak długo będziesz na ekranie?

– Minutę, może dwie.

Justin postanowił, że zostanie aktorem, w czasie studiów w rodzinnym Massachusetts. Nauczył się na zajęciach teatralnych powiedzieć mu, że ma talent. Justin spakował do torby, wrzucił ją na tylne siedzenie sedana eagle, rocznik 1987, i przejechał przez kontynent, co kilkadziesiąt mil dolewając wody do dziurawej chłodnicy.

To było ćwierć wieku temu.

Jak w przypadku większości aktorów gaże nigdy nie wystarczały mu na życie. Dziś, żeby przetrwać, rozwodził się dla Ubera. Tak jak 160 tys. innych



członków gildii aktorów i 11 tys. gildii scenarzystów przystąpił do strajku.

Jesteśmy ofiarami chciwców, którzy nas wykorzystują – ogłaszała strajk Fran Drescher, szefowa związku aktorów (SAG-AFTRA). – Mówią że wszędzie ponoszą straty, a jednocześnie wypłacają setki milionów dolarów przerosom. To obrzydliwe.

Wywołani do tablicy wysoko postawieni ludzie w wytwórniach podśmiewali się anonimowo na łamach „New York Timesa”, że Drescher, gwiazda serialu „Pomoc domowa” z lat 90., swym wojowniczym wystąpieniem chciała zdobyć wymarzoną nominację do Oscara. Dzień później nikomu nie było już do śmiechu. Emily Blunt, Matt Damon i Florence Pugh, gwiazdy „Oppenheimera” – wyreżyserowanej przez Christophera Nolana najbardziej oczekiwanej produkcji sezonu – wyszli z londyńskiej premiery. Stało się jasne, że najpopularniejsi i najbogatsi aktorzy wesprą tysiące nikomu nieznanym aktorskich wyrobników.

Strajk się rozpoczął, gdy upadły rozmowy między SAG-AFTRA a stowarzyszeniem producentów, dotyczące odnawianej co kilka lat, liczącej dziesiątki stron umowy określającej zasady współpracy. Aktorzy i aktorki dołączyli do strajkujących od maja scenarzystów i scenarzystek. Ostatni raz oba związki strajkowały jed-

nocześnie w 1960 roku, kiedy szefem gildii aktorów był późniejszy prezydent Ronald Reagan. Inne branżowe organizacje – zrzeszające reżyserów, montażystów, operatorów, pracowników technicznych czy kierowców – w ostatnim czasie podpisały nowe umowy z producentami, ale popierały strajk.

Produkcje filmowe i serialowe zostały przerwane.

Nie można było wybrać gorszego momentu na strajk – stwierdził prezes Disneya Bob Iger.

Konflikt rozgrywa się bowiem na tle – i z powodu – tektonicznych zmian, które zachodzą w branży filmowo-telewizyjnej. Dwadzieścia lat temu stacje telewizyjne produkowały łącznie mniej niż 200 seriali w języku angielskim rocznie. W roku 2007 stosunkowo niewielki kanał AMC wypuścił serial „Mad Men” o biznesie reklamowym w latach 60., a rok później „Breaking Bad” o nauczycielu, który wchodzi na drogę przestępstwa, żeby zapewnić byt rodzinie. Ich oszalamiające powodzenie odmieniło rynek. Rozpoczął się boom na serialu. W 2012 roku powstało już niemal 300. Wtedy do akcji wkroczył Netflix – jeszcze kilka lat wcześniej firma wysyłająca klientom DVD za pośrednictwem poczty. Serial „House of Cards” wyreżyserowany przez hollywoodzką legendę Davida Finchera (twór-

cz m.in. „Siedem”) dokonał radykalnej zmiany – wszystkie odcinki pierwszego sezonu udostępniono na platformie w dniu premiery. Serialowa heroinizacja stała się faktem. Miliony, później setki milionów widzów na całym świecie zarywały noce, żeby śledzić losy bohaterów. Wkrótce wyścig z Netflixem rozpoczęły Disney+, Apple TV+, HBO Max, Paramount+ i inne platformy. Amazon rozwinął serwis Prime Video.

W ubiegłym roku branża wypuściła 599 seriali w języku angielskim.

Żeby zrobić naraz cały sezon wysokobudżetowego serialu, trzeba produkować w zawrotnym tempie. Kiedyś w przemyśle telewizyjnym rządził jasny dla wszystkich kalendarz – przygotowanie pilota, badania reakcji widzów, pierwszy sezon produkowany odcinek po odcinku, badania, przerwa wakacyjna, przygotowanie do kolejnego sezonu itd. Zatrudnieni przy produkcji scenarzyści pracowali cały rok. Teraz odcinków jest mniej i trzeba je napisać bardzo szybko. A później szukać innej fuchy. Zawód scenarzysty uległ tzw. gigifikacji, od „gig” – zlecenie, fucha. Co więcej, z emisji telewizyjnych scenarzystom przysługiwały tantiemy. Umowy tantiemowe nie obejmują streamingu. Gdy liczba serialoholików rośnie, firmy zarabiają coraz więcej, ale twórcy nie. To jedna z najważniejszych kwestii

spornych między producentami a scenarzystami i aktorami.

Wytwórnie wysyłają na medialny front księgowych pokazujących, że branża – w sensie finansowym – tonie. Produkcje kinowe przestały zarabiać wystarczająco wskutek serialowej konkurencji. Dobiła pandemia. Jak świat długi i szeroki, kina stały puste, a setki milionów serialowych heroinistów siedziało w sypialniach przed ekranami i dostawało bardzo dużo towaru. Okazuje się, że za dużo. Księgowi od streamingu też zalamują ręce, bo rynek został przegrzany. Produkcji było zbyt wiele, stawały się do siebie coraz bardziej podobne, nastąpiło znużenie odbiorców i spadek subskrypcji. W 2022 roku Netflix pierwszy raz od dekady zaczął tracić klientów. Akcje firmy na Wall Street poleciały w dół.

Od tamtego czasu zdążyły się jednak odbić. Netflixu ratuje model biznesowy promujący filmy i seriale na lokalnych rynkach. Nie narzekają też Apple i Amazon, dla których produkcja i dystrybucja rozrywki są tylko pobocznym źródłem dochodu. W najtrudniejszej sytuacji znalazły się tradycyjne wytwórnie. Od marca 2021 roku akcje Disneya spadły o 55 proc., Paramount o 83 proc.

W ostatnich miesiącach Disney zwolnił 7 tysięcy pracowników. W tym samym czasie szef wytwórni Bob Iger pobierał 5 milionów dolarów rocznego wy-

nagrodzenia. Kierujący Warnerem – gdzie też trwają masowe zwolnienia – David Zaslav zarabia 39 milionów rocznie. Stojący na czele Netflixa Ted Sarandos – 50 milionów.

To między innymi tych panów miała na myśli Fran Drescher, gdy mówiła o chciwcach wykorzystujących artystów.

Gdy ćwierć wieku temu Justin Cuomo przyjechał do Los Angeles, zamieszkał w wielkim domu z basenem i jacuzzi na Wzgórzach Hollywood. Wynajmował go do spółki z kilkunastoma innymi marzycielami. Mieszkał w garażu, gdzie miał łóżko, motocykl, worek treningowy i sztangę. Zrobił zdjęcia do portfolio i 200 kserokopii życiorysu, w którym skłamał, że grał w teatrze w Irlandii. Wysłał do agentów. Żeby przeżyć, zatrudnił się jako ochroniarz przy bramie wjazdowej do Paramount. Później jako ochroniarz na balangach u bogaczy. Później robił rzeczy, o których nie opowie.

– Wyobraź sobie albo wymyśl. W każdym razie finansowo dobrze sobie radziłem. Jako aktor nie istniałem. Ocierałem się o sławy na imprezach. Byłem ich blisko, a jednocześnie daleko.

Hollywood od zawsze robi filmy o hollywoodzkim marzeniu. Rok 1937, „Narodziny gwiazdy” (reż. William A. Wellman): córka farmerów pierwszego dnia w Los Angeles w biurze rekrutacji Paramount Pictures dowiaduje się, że wytwórnia ma 16 razy więcej statystów, niż potrzebuje. Rok 1950, „Bulwar Zachodzącego Słońca” (Billy Wilder): Norma Desmond, kiedyś najsłynniejsza, dziś zapomniana aktorka, śni o powrocie. „Nadal jestem wielka. To filmy stały się małe”. Scenarzysta, który ma jej pomóc w powrocie na szczyt, kończy martwy w basenie. Rok 1992, „Gracz” (Robert Altman): producent dostaje do przeczytania 50 tysięcy scenariuszy rocznie, z których produkuje 12 filmów. Dewiza: żadnych gwiazd, tylko talent. Rok 2019, „Pewnego razu... w Hollywood” (Quentin Tarantino): Rick Dalton, aktor, który nie jąka się tylko wtedy, kiedy gra, spadł z topu. Zalewa się łzami: „Nikt już nie pamięta, kim ja, kurwa, jestem”.

Dla Justina przełom nastąpił, kiedy przez znajomości, o których nie opowie, dostał się do związku zawodowego aktorów. Znalazł agentkę. Zaczął grać epizody w ostatnich serialach i filmach klasy B. Później większe role. Po 10 latach w Los Angeles dostał angaż do popularnego serialu „Justified: Bez przebaczenia”. Potem do „Agentów NCIS”.

Pokazał mi w telefonie monolog, który nagrał na najbliższe przesłuchanie. Weteran wojny w Afganistanie nie może spać, bo nękają go koszmary. Lekarze informują, że wywiercą mu dwie dziury w głowie, żeby go wyleczyć. Weteran nie chce się zgodzić. Justin nie wie, o czym jest film i jak duża jest rola. Dostaje tylko opis sceny. Prosi kumpla z Massachusetts, aby przez ekran telefonu odczytywał mu dialogi drugiej postaci. Nagrywa swoje kwestie i wysyła klip przez internet.

Casting jest nieodłączną częścią aktorskiego zawodu, najczęściej bardziej stresującą niż pra-

ca na planie. Rose McGowan – aktorka, jedna z ofiar Harveya Weinsteina, aktywistka ruchu MeToo – opisywała, jak w latach 90. poszła na casting do horroru „Krzyk”. Na długim korytarzu na krzesłach jedna obok drugiej siedziało kilkadziesiąt młodych kobiet. Trzymały w dłoniach kartki, na których wydrukowano fragmenty scenariusza. Nawet nie zerknęły na siebie. Po kolei wchodziły do sali. Zza drzwi słychać było przeraźliwe wrzaski. Rose potrafiła dobrze wrzeszczeć, dostała rolę.

Casting jest rozmową o pracę. Większość aktorów w Hollywood odbywa ich setki. Ci, którzy mogą sobie pozwolić na czekanie, aż producent zadzwoni do nich z ofertą, to garstka gwiazd – kilkadziesiąt osób pośród 160 tysięcy zrzeszonych w związku zawodowym.

Przygotowania do castingu pochłaniają większość czasu większości aktorów. Castin-

g w branży telewizyjno-filmowej rozgrywa się ten sam klasowy konflikt co w wielu innych. My – coraz bardziej zapracowani i coraz słabiej opłacani – przeciwko nim – prezesom pobierającym wielomilionowe pensje. W ostatnich miesiącach z tych samych bytowych powodów co artyści w Kalifornii strajkowali dokerzy, kierowcy autobusów, kucharze i kucharki w szkolnych stołówkach. Trwa wielki strajk pracowników hoteli. W ostatnich latach powstał ruch związkowy pracowników fast foodów. To jego energia doprowadziła do podniesienia pensji minimalnej w ponad 30 stanach. Aktorzy i scenarzyści zapowiadają, że też nie odpuścą. Eksperti wieszczą jednak, że paraliz potrwa długo, bo producenci mogą grać na zwłokę. Kołem ratunkowym dla stacji telewizyjnych ma być choćby produkcja programów reality show, która od lat jest nazywana „szwalnią Hollywood”.

Emily Blunt, Matt Damon i Florence Pugh, gwiazdy „Oppenheimera”, wyszli z londyńskiej premiery.

Wspierają w strajku tysiące aktorów i scenarzystów

gowe szkoły i trenerzy to osobny biznes generujący miliony dolarów zysku. Po większości castingu aktorzy nie dostają pracy, bo konkurencja jest ogromna. Kiedyś przesłuchania odbywały się na żywo, reżyserzy obsady wybierali z kilkunastu albo kilkadziesiątu kandydatów. Pandemia przeniosła casting do sieci. Teraz producenci przeszukują tysiące profili aktorskich, zamawiają klipy od kilkuset osób, pobeżnie przeglądają, co przyszło. Justin Cuomo wysłał kilka klipów w tygodniu.

Jednym z postulatów aktorskiego związku jest to, aby za castingi producenci wypłacali wynagrodzenie. Taki zapis figuruje zresztą w umowie branżowej podpisanej w latach 30. ubiegłego wieku. Wytwórci mówią, że nigdy się na to nie zgodzą. Twierdzą, że tysiące aspirujących aktorów wykorzystywałyby system, utrzymując się wyłącznie z castingów.

Przeciętny roczny zarobek aktora w Stanach jest o jedną czwartą niższy od średniej krajowej. Statystyka obejmuje zarówno Toma Cruise’a, który w 2022 roku zarobił 100 milionów dolarów, jak i tysiące anonimowych aktorów, którzy nie zarobili nic.

W powszechnym odbiorze aktorstwo oznacza sławę i pieniądze, ale większość aktorów i aktorek uprawia raczej codzienną walkę o byt. Więcej niż z Tomem Cruise’em – w kwestii finansów – łączy ich z pracownikami McDonalddów czy odzieżowych sieciówek.

„Jest piąta nad ranem i cała się trzęsę. Nie dlatego, że jestem chora albo ćpam i potrzebuję działki, ale dlatego, że pracowałam przez 18 godzin bez przerwy, przez sześć dni w tygodniu, przez ostatnie trzy miesiące przy produkcji reality show”. Tak zaczyna się wyznanie Toni-Ann Lagany opublikowane dwa lata temu w piśmie „Hollywood Reporter”.

Jej praca z grubsza polega na tym, aby z setek godzin nagrań zarejestrowanych przez kamery śledzące bohaterów programu układać spójną historię. Formalnie przy reality show nie pracują scenarzyści. Ludzie tacy jak Lagana wykonują jednak podobną pracę – choć nie na papierze, tylko przy programie do montażu.

Strajki scenarzystów z końcówki lat 80., a później z 2007 r. przyczyniły się do wstępu reality show, takich jak „Cops”, „America’s Most Wanted” czy „Big Brother” – bo teoretycznie nikt nie musiał ich pisać. Powstał całkiem nowy gatunek telewizyjny zapleniający ramówkę. W dodatku tani. Nie potrzeba reżyserów, scenarzystów, aktorów. Ludziom takim jak Lagana w skali całej branży płaci się grosze. Nie są też oni zrzeszeni w żadnym związku.

Narzekają, ale zasuwać po 18 godzin na dobę. Taka jest bowiem natura całej branży filmowo-telewizyjnej. Przyciąga jak magnes.

Gerren Keith, z którym rozmawiałem w Hollywood, zaczynał jako stażysta w telewizji NBC. Doszedł do posady kierownika produkcji. Pracował przy teleturniejach, później przy serialach. Gdy pewnego dnia reżyser nie zjawił

się na planie, Gerren stanął za kamerą. Przez pierwsze miesiące reżyserskiej kariery sypiał po dwie godziny na dobę. Ostatni wychodził ze studia, w domu planował kolejny dzień zdjęć, o świcie pierwszy zjawiał się w pracy. Żona go zostawiła.

– Każdego dnia przyjeżdżają tu nowi ludzie, którzy tak samo jak ty, albo jeszcze bardziej, chcą dojechać na szczyt – powiedział mi. – Potrzebujesz dużo szczęścia i jeszcze więcej zapалу. Większość nie daje rady. Wracają do swoich miast albo zostają tu i dryfują od fuchy do fuchy.

W latach 80. Keith reżyserował hitowe sitcomy. Ożenił się drugi raz. Został ojcem. Gdy żona zaczęła chorować, rzucił show-biznes.

– Nie da się tutaj mieć dwóch rzeczy naraz – rodziny i kariery. Tylko nielicznym się udaje. Oddajesz się karierze, a gdy wypadasz z gry, bez rodziny toniesz. Moja żona umarła, gdy nasze córki by-

ci w „Avatarze” Jamesa Camerona. Aktorzy są odmładzani – jak Robert De Niro i Al Pacino w „Irlandczyku” Martina Scorsese czy ostatnio Harrison Ford w piątej części „Indiany Jonesa”. Zmarłych wstają – jak Marlon Brando w „Superman: Powrót”.

Błyskawicznie rozwijająca się technologia deepfake umożliwia nakładanie aktorskich twarzy na dowolne ekranowe postaci. Z technicznego punktu widzenia możliwe jest dziś odtwarzanie mimiki, gestykulacji, całego instrumentarium gry aktorskiej dowolnej gwiazdy filmowej na wygenerowaną komputerowo sylwetkę. Nie ma przepisów, które regulowałyby w cyfrowej przestrzeni prawa autorskie artystów do własnego wizerunku i warsztatu.

Możliwe jest też tworzenie nowych scenariuszy przez sztuczną inteligencję na podstawie dostarczonych jej danych – historii wymyślonych, napisanych lub nakreślonych wcześniej przez ludzi. Również w tej sferze brakuje przepisów. Związki zawodowe aktorów i scenarzystów donoszą, że wytwórci wzbraniają się przed umieszczeniem odpowiednich regulacji w nowych kontraktach. O to toczy się największy spór. Ogłaszając strajk, Fran Drescher powiedziała:

– Grozi nam zastąpienie przez sztuczną inteligencję. Umowy, które proponują wytwórci, nie przystają do zmian, które nastąpiły. Ich propozycje to przestawienie mebli na „Titanicu”.

Konflikt rzuca światło na artystyczną kondycję całego Hollywood. Już dziś pisane przez ludzi seriale i komercyjne produkcje kinowe coraz częściej sprawiają wrażenie wytworzonych mechanicznie. Nadmiar szablonowej treści zaczyna nudzić nawet największych ekranowych narkomanów.

W idealnym modelu biznesowym opowieści stworzone przez bezduszne i bezmyślne roboty oglądałyby za opłatą miliony bezdusznych i bezmyślnych robotów. Zawierucha w Hollywood daje nadzieję, że do tego punktu jeszcze nie doszliśmy. ●

„**Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka**” – książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowicz płytnie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na KulturalnySklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl



A w przyszłym roku ukaże się książka tego autora o historii Hollywood.

POLAK WSPINAŁ SIĘ WYŻEJ

Na Jackowie zamieszkali Meksykanie,
w kościołach msze są odprawiane po hiszpańsku

Z PISARZEM I PSYCHOTERAPEUTĄ
GRZEGORZEM DZIEDZICEM*
ROZMAWIA **JOANNA DZIKOWSKA**

W pierwszym numerze tygodnika „7 Dni w Polsce” – pisma dla Polaków w kraju i za granicą – z 3 marca 1957 roku czytelnicy znaleźli anons: „Redakcja ogłasza wielki konkurs na pamiętniki i wspomnienia emigrantów”. Czytelnicy przysłali 104 prace z 13 krajów, m.in. ze Stanów Zjednoczonych.

Były wypadki, że przybywali tutaj ludzie z polskich wiosek, w butach i niezłym ubraniu krajowym, i już następnego dnia wszystko szło do pieca, a ubranych i ogolonych po amerykańsku nie poznawałem, kiedy przychodzili do mnie. Dziewczyny ubrane po nowemu dostawały prędko mężów, a mężowie musieli wszystkie koszty poniesione na taką dziewczynę pokryć. Wesel odbywało się tutaj dosyć wiele, bo było dużo mężczyzn samotnych, więc każda kobieta – kulawa, garbata czy też o jednym oku – aby tylko kobieta, to zaraz męża znalazła.

Pamiętnik Marcelego Siedleckiego,
lata 1878-1936

Kto to jest Polonus?

– Dzwone słowo, prawda? Mój znajomy, amerykański pisarz polskiego pochodzenia John Guzlowski napisał esej o tym, co to znaczy być Polakiem. „Mój tata to wiedział” – twierdził.

Przeczytałam ten esej. „Dla mojego taty Polska była zawsze krajem głębokiej wiary w Boga i w siłę Polskiego Honoru. Kiedy mówił o Polsce, jego głos zamieniał się w nabożny szepc”.

– Jego zdaniem bycie Polakiem w Ameryce składa się w dużej mierze z ograniczeń. Nie dla Polaków są mecze bejsbola, piosenki Elvisa Presleya albo kolacje w restauracjach chicagowskiego downtown. „Kiedy byłem chłopcem, wszystko, czego pragnąłem, to być amerykańskim dzieckiem”, pisał John.

A ty?

– Jestem z Tarnowa, w klasie parę osób miało przynajmniej jednego rodzica w Stanach. U mnie wyjechała mama – ojciec chorował na cukrzycę, nie mógł pracować fizycznie – ale miało jej nie być tylko przez parę miesięcy. Wróciła po trzech latach. Rodzice się rozwiedli, znów wyjechała.

W listach pisała, że tęskni i jak smakuje amerykańska pizza, wysyłała paczki. W tych wyczekiwanych przeze mnie paczkach oprócz słodczy i pachnących Ameryką prezentów były gazety i reklamówki samochodów. Raz trafił mi się nawet „Playboy”! Byłem absolutną gwiazdą w klasie, zhandlowałem go strona po stronie za resoraki, naklejki, breloczki.

To były dwa różne światy i tylko te paczki udowodniały, że ten drugi jest prawdziwy.

Podobno kiedy polonijny przedsiębiorca Walter Kotaba szukał nowych widzów dla swojej kablówki, rozesłał listy do mieszkańców Chicago, którzy noszą polskie nazwiska. Zaczęli dzwonić oburzeni, że nie chcą, by ich łączono z Polską. – To było dawno. Dziś nikt by tak nie odpowiedział.

Przestaliśmy się wstydić?

– Przyjaciel, który urodził się w Chicago, opowiadał mi, że w amerykańskiej szkole parę razy w tygodniu musiał się bić, bo kiedy wyzywali go od „głupich Polaków”. Próbowali go upokorzyć. Od kilkunastu lat mamy jednak modę na polskie pochodzenie. Ludzie zamawiają drzewa genealogiczne, zależy im na pamiątkach i wspomnieniach po dziadku. Nie chcą być „znikąd”. A miesiąc temu w prestiżowym Chicago History Museum otwarto wystawę „Back Home: Polish Chicago”. To rzecz bez preceden-

Kiedy przeczytałem „The Gang” socjologa Fredericka Trasher’a, głowa mi eksplodowała. Przebadal 1313 chicagowskich gangów i już we wstępie napisał, że większość z nich jest polska. Ulice były wtedy podzielone między młodzieżowe szajki, które zajmowały się kradzieżami i włamaniami. Później – na gruncie prohibicji – wyrosła z tego zorganizowana przestępczość. Ostatni znaczący, bardzo brutalny polski gang – a właściwie polsko-meksykański – The Almighty Saints działał w dzielnicy Back of the Yards jeszcze w latach 70., wymuszał haracze i brał morderstwa na zlecenie.

Dziś nie ma już polskich gangów, choć są oczywiście polscy przestępcy.

Jak to się stało, że miejsce strachu zajęła pogarda?

– Sami to sobie zafundowaliśmy. Im bardziej Polacy odcinali się od amerykańskich kodów kulturowych, tym bardziej przestawali rozumieć rzeczywistość, która ich otacza. Byli łatwym celem żartów.

Polonia jeszcze w latach 90. i wczesnych dwutysięcznych była dość wsobna. Kiedy wprowadziłem się do Chicago, nie chciałem mieszkać na Jackowie. Wyglądało, jakby ktoś łyżką nabrał małe polskie miasteczko sprzed 20 lat: polski fryzjer, polska wypożyczalnia kaset, polski sklep monopolowy, polskie flagi, Maryjki... Na polskich piknikach były piwo i kielbasa, leciało disco polo, zespoły ludowe tańczyły krakowiaka. Dożynki, park rozrywki Polska.

Z socjologicznego punktu widzenia to oczywiście ma sens, bo emigracja powoduje wzmoczenie lęku przed nieznanym, ludzie chcą się trzymać razem.

Piszesz, że „Polacy w Chicago już tak mają. Nienawidzą wszystkich. Negrów i śniadych Latynosów traktują z pogardą, a innych Słowian ze słabo skrywaną wyższością, chyba że to Litwini, to wtedy z nienawiścią. Boją się Włochów, Irlandczyków, nie znoszą Niemców, gardzą Żydami...”

– ...ale najbardziej nienawidzą samych siebie”.

Ta litania nienawiści nie jest jednak tak radykalna jak program ONR, wynika raczej z kompensacji: czegoś w sobie nie lubimy, czujemy się mali albo przestraszeni, więc szukamy innych – mniejszych, bardziej wystraszonych.

Dziś kolejne pokolenia Polaków wspinają się wyżej po drabinie społecznej, ktoś inny zasiadł na niższych szczebelkach. Na Jackowie zamieszkali Meksykanie, w kościołach msze są odprawiane po hiszpańsku. I jest tak, jak pisał prof. Dominic Pacyga: Chicago to „wąz, który co trzydzieści lat zrzuca skórę i przywdziewa kolejną, żeby dostosować się do nowej rzeczywistości”.

Wydaje mi się, że czasem ludzie, słysząc mój akcent, zaczynają mówić wolniej, prostszym językiem. Bardzo tego nie lubię. Pytają potem, czym się zajmuję, i kiedy słyszą, że jestem psychoterapeutą i pisarzem – a nie kierowcą ciężarówki na przykład – robią wielkie oczy

su, niezwykła legitymizacja tej społeczności i przyznanie, że bez nas nie byłoby miasta w takim kształcie, w jakim istnieje.

Ale te kompleksy, które dotyczyły środowiska polonijne, nie wzięły się chyba znikąd.

– Piszę o polskim Chicago w latach 20. XX wieku. Wtedy Polak faktycznie był kozłem ofiarnym: często pijany, skłonny do agresji, impulsywny. No niebezpieczny po prostu. Polaków należało się bać. Taka retoryka strachu jest z reguły skuteczna, wtedy doprowadziła m.in. do znaczącego zaostrzenia praw migracyjnych. A Polacy w Chicago tym bardziej zamykali się w emigranckich gettach, osaczeni i nieufni.



Dziś nie spotykam się wprost z pogardą, chociaż... No, może reaguję trochę paranoicznie, ale wydaje mi się, że czasem ludzie, słysząc mój akcent, zaczynają mówić wolniej, prostszym językiem. Bardzo tego nie lubię. Pytają potem, czym się zajmuję, i kiedy słyszą, że jestem psychoterapeutą i pisarzem – a nie kierowcą ciężarówki na przykład – robią wielkie oczy. Polonia się rozpuszcza.

To znaczy?

– Opuściliśmy nasze dzielnice, przenieśliśmy się do domków z ogródkami na przedmieściach, wtapiamy się w amerykańskie społeczeństwo. Trudno mi ocenić, czy to dobrze, czy źle. Ryzykujemy naszą tożsamość, ale może trzeba się trochę rozpuścić, żeby pozbyć się tego polskiego konserwatyzmu i uwstecznienia?

Wystawy w Muzeum Historii Chicago nie odwiedzą zresztą Polacy; będą zajęci zarabianiem pieniędzy.

A współczesna Polska ich jeszcze obchodzi?

– To zależy, co masz na myśli.

Polonia w Ameryce chce mieć kontakt z rodakami w Polsce. Pożądane jest, aby przedstawiciele Polski przyjeżdżali do Ameryki i aby nam tutaj, na obczyźnie, opowiadali, jak się gospodaruje u nas w kraju dla dobra wszystkich obywateli w Polsce, nie robiąc różnicy z pochodzenia rodowego i wyznania religijnego oraz partyjnej przynależności. By nam przybywający z Polski przywozili naszą piękną mowę, opowiadali o naszych górach i la-

FOT. JACQUELINE DORMER/AP



sach, o ląkach kwitnących, o lanach obsianych zbożem. Aby nam opowiadali o powstających fabrykach, w których miliony robotników znajduje zatrudnienie. Większość nas tu, w Ameryce, każdej nocy śni o naszym kochanym kraju.

Pamiętnik Marcellego Siedleckiego, lata 1937-1947

Mieszkam w Stanach już ponad 20 lat. Zachwycam się Polską, ale nie chciałbym tu mieszkać i borykać się z codziennością.

Czyli z czym na przykład?

– Jest fajnie, kiedy masz portfel pełen dolarów. Ale w ubiegłym roku spotkałem się z moją klasą z liceum i okazało się, że choć byli tam zdolniejsi ode mnie, wielu nie poradziło sobie z polską rzeczywistością. Koleżanka zastanawiała się, czy iść do fryzjera w tym miesiącu, bo nie wiedziała, czy dopnie budżet.

Zależy nam na Polsce w ten sposób, że chcemy, żeby ona wciąż istniała. Wielu – łącznie ze mną – rozważa powrót do kraju na emeryturę. Zabrzmię amerykańsko, ale każdy ma prawo do szczęścia. Mam oczywiście to imigranckie rozdarcie w środku, ale nie kupuję modelu męczennictwa, nie chcę się poświęcać. Polska nigdy nie była dla mnie dobra: byłem za młody, żeby dorobić się na zmianie stroju, a kiedy szedłem na studia, słyszałem, że kształcą bezrobotnych.

Patriotyzm jest oczywiście potrzebny, ale nauczyłem się go w Ameryce. Nie wiem amerykańskiej flagi na 4 lipca – nie lubię tego rodzaju plemiennego epatowania symbolami – ale chodzę na wybory.

Świadomie nie uczestniczę przy tym w polskich wyborach. Niektórzy przyjaciele się na mnie złością, ale uważam to za niemoralne. Nie chcę decydować za was o kraju, w którym nie mieszkam.

Czytałem twoje felietony w „Dzienniku Związkowym”. Jak na kogoś, kto nie głosuje w polskich wyborach, masz dość konkretne zdanie.

– Dwa razy mi te felietony zawieszali. Napisałem, że amerykańskie obchody 3 maja to chocholi taniec; pisałem też o faszyzującej pracy w Chicago albo o „żołnierzach wykletych”, pogrożki dostawałem za te teksty.

Ostatnio mam mniej czasu, ale staram się być na bieżąco z tym, co się dzieje w Polsce. Wkurza mnie, że obywatele nie szanują demokracji, że wolność nie jest dla nich nadrzędną wartością. Polska cierpi na zespól gotowanej żaby. W 2019 roku pisałem, że macie putinizm light, ale on już dawno przestał być light. Woda zaczęła wrzeć. No, a ekonomicznie to jesteście ugotowani od dawna.

Podczas ostatniej wizyty w Polsce rozmawiałem ze sprzedawczynią na krakowskim Kazimierzu o tym, co Jarosław Kaczyński zrobił z tym krajem. I nagle ona: „No, ale przecież Duda został wybrany przez Polonię z Chicago!”. Musiałem jej wytłumaczyć, że to nieprawda. Polonijne głosy liczą się jak te z okręgu warszawskiego i 85 procent wyborców głosuje na PiS, ale frekwencja tych wyborów była taka, że na 300 tysięcy uprawnionych do głosowania poszło 10 tysięcy osób. To ledwie 3 procent.

Świadomie nie uczestniczę w polskich wyborach.

Niektórzy przyjaciele się na mnie złością, ale uważam to za niemoralne

Przychodzi Polska do gabinetu terapeuty i...

– Odpowiem, bo jestem optymistą. Najpierw trzeba nazwać schematy: zranienie, głęboka trauma, deprivacja emocjonalna. Polacy mierzą się z emocjonalnym zaniebdaniem, opuszczeniem. Fanatyczne ideologie – nieważne, religijne czy narodowe – wynikają z poczucia bezsilności.

Według terapii schematu lekarstwem powinno być coś, co nazywamy pozytywnym rodzicielstwem. Gdyby politycy mieli wejść w rolę takich rodziców, musieliby powiedzieć Polakom: jesteście wartościowi, możecie na nas liczyć. Oczywiście same słowa nie wystarczą, trzeba by naprawić służbę zdrowia, edukację i tak dalej.

I rozliczyć „tych złych”?

– Trudne pytanie. Jeśli rozliczanie wynika z chęci zemsty, nie jest ani dobre, ani skuteczne. Natomiast odpowiedzialność jest bardzo ważna. Złodziej to złodziej, przestępca to przestępca – i powinien ponieść konsekwencje, inaczej całą tę moralność można wyrzucić.

A wiesz, że w Chicago czuję się bezpieczniej niż kiedyś w Polsce?

Słucham?! Według policyjnych statystyk tylko w maju w mieście zabito 62 osoby. To dwie śmierci na dzień.

– Koniec lat 90. nie należał w Polsce do najbezpieczniejszych. Nie mówię oczywiście o strzelaninach, ale nie zliczę, ile razy ktoś mnie zaczepił na ulicy, kiedy wracałem w nocy do domu. Uciekałem, a jak nie było wyjścia – białem się. Zanim skręcałem w ulicę czy bramę, zaglądałem, czy nie stoi tam jakaś pijana banda. Kraków to kibolskie miasto, za złą odpowiedź na pytanie „Za kim jesteś?” można mieć problem.

Te 60 ofiar w czerwcu to mniej więcej średnia. Ostatnio było gorzej, mieliśmy długi weekend, policjanci naliczyli 49 strzelanin. Wiem, jak to brzmi, ale w Chicago niebezpieczne są tylko konkretne dzielnice, których po zmroku się po prostu nie odwiedza. Teraz mieszkają w nich Afroamerykanie i Latynosi, ale warto pamiętać, że 100 lat temu chicagowskie getta były między innymi polskie.

W przewodniku po Chicago znalazłam taki opis: jeśli zabudowa robi się luźniejsza, widać ślady po pożarach, a sklepy mają w oknach kraty – uciekaj, to strefa wojny.

– W południowych dzielnicach – Back of the Yards czy Gresham – tak to właśnie wygląda. Jesteś biały, to znaczy: jesteś obcy.

Jeśli mieszkasz na przedmieściach po drugiej stronie miasta, bez strachu puszczasz dzieci do szkoły. To, gdzie się uro-

dzisz, determinuje całe życie. Mój znajomy z południowej dzielnicy wyrwał się z tego świata, skończył studia i znalazł dobrą pracę. Ale syna nie dopilnował; chłopak wyszedł do kolegów na róg, zastrzelili go.

A ty masz broń?

– Potrafię strzelać. Mieszkam teraz z żoną w Indianie, na dużej leśnej działce; daleko do sąsiadów. Prawo stanowe pozwala załatwić pozwolenie na broń w 15 minut, trzeba tylko poczekać 24 godziny na odbiór pistoletu, żeby nie użyć go w afekcie. W Indianie prawie wszyscy mają broń i mają też świadomość, że za wejście na cudzą działkę czy do domu można zrobić kulkę. Statystyki włamań są bliskie zera.

Ale według statystyk, jeżeli masz w domu broń, najbardziej prawdopodobne jest, że sam z niej zginiesz. Będzie narzędziem samobójstwa, nie samoobrony.

Alarmujące są też dane dotyczące bezdomności: liczba bezdomnych w Chicago przekroczyła w 2021 roku 65 tysięcy osób. Łatwo jest stracić dom w Ameryce?

– Bardzo łatwo. Popijesz trochę, stracisz pracę, nie masz na wynajem i nagle widzisz swoje rzeczy wyrzucone na ulicę. Te historie są podobne, za uzależnieniem zawsze stoi jakiś ból, jakaś trauma.

Pracowałem jako terapeuta uzależnień w programie odwykowym dla bezdomnych Polaków w Chicago. Trwał 5 lat, kosztował 5 milionów dolarów. To nie była łatwa robota, bo na amerykańskiej ulicy dość łatwo jest przeżyć: nie umrzesz z głodu, możesz się umyć w przytulku. Wrogiem jest pogoda. Co roku zimą dziesiątki bezdomnych zamarza na śmierć.

Dlaczego nie wracają do Polski?

– Bo się wstydzą. Wyjechali lata temu do kraju możliwości, mieli podbić świat. Nie chcą wracać na tarczę.

Gdy wysiedliśmy z pociągu, trzeba było iść pieszo kilka minut. Po drodze rozglądałem się, czy nie zobaczę tych dolarów, które miało zbierać po ulicach, lecz nie zauważyłem ani jednego, więc pytam się swego przewodnika, dlaczego nie widzę dolarów na ulicy, bo będąc w kraju, słyszałem, że ich tak dużo jest, że zbiera się je po ulicach. A on mi mówi: Gdy pobejdiesz tu, to sam zobaczysz, że i w kieszeni będzie trudno je znaleźć, nie tylko na ulicy. Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem i mówię mu, że po co ja tutaj jechałem? Jeśli tak jest, jak wujek mówi, to ja mógłbym mieć to i w kraju.

Pamiętnik Stanisława Szelażka

„W buty sobie nasrałem” – mówi Świniak, jeden z bezdomnych, których opisujesz w „Gangwayu”. Mimo to mam wrażenie, że jest w tych opisach czułość.

– Świniak to akurat prawdziwa postać.

Wśród bezdomnych panuje sztywna hierarchia, liczy się siła. W grupie musi być ktoś gorszy, ktoś „bardziej bezdomny” od pozostałych. Tym facetem był właśnie Stasiak, ksywa Prosiak. Pamiętam, jak się poznaliśmy: w Wigilię po południu pojechaliśmy z koleżanką na Outreach, na obiad dla bezdomnych. Przy jedynym stoliku zupełnie sam siedział mały facet w lachmanach i tak niemilosownie śmierział... Nie kąpał się od pół roku. Siedział i płakał, a lzy mu wpadały do barszczu. Powiedziałem, że go stamtąd zabiorę.

Filmowa scena: wieczór wigilijny, a my jedziemy autostradą w stronę ośrodka; zimno, ale wszystkie okna w samochodzie mamy otwarte – bo Stasiak tak strasznie śmierział. Śpiewaliśmy kolędy. Spędziłem ten wieczór na zapisywaniu go na detoks. To była naprawdę porządnie spędzona wigilia.

Udało mu się?

– Nie.

To najtrudniejsze momenty. Pierwszy zmarł mi trzydziestoletni mężczyzna. Świetnie się zapowiadał, ale chciał wziąć ten ostatni raz. Przedawkował heroinę dwa dni po wyjściu z programu. Potem byli ko-

lejni. Taką jest skuteczność terapii odwykowej: pojedyncze procenty.

No to dlaczego wybrałeś pracę w ośrodku uzależnień?

– Głównie z takiej przyczyny, że sam jestem uzależniony.

Zacząłem pić standardowo, po polsku – na imprezach w liceum. Jestem raczej introwertyczny i nigdy tego w sobie nie lubiłem, ale po alkoholu stawałem się kimś, kim zawsze chciałem być. Kiedy mama po raz drugi wyjechała do Chicago, byłem już po maturze. Szybko straciłem kontrolę.

Mówiłeś o tym rodzicom?

– Nie. Zresztą nic by to już nie zmieniło. Bierając pod uwagę to, co dziś wiemy o uzależ-

szę przemoc; nie lubię się bić, bo się boję, że mi ktoś nos rozwali albo zęby wybije – że będzie bolało.

Sublimuję więc męskość gwałtowną, a przez to toksyczną. Z jednej strony jest we mnie chłopięca potrzeba wejścia w ramy męskości, a z drugiej strony – najbardziej na świecie nienawidzę gwałtowników. Nie ma zresztą dobrej terapii – ani dobrego piśniania – bez zagładania we własny cień. Cień to jest ta część, której najbardziej się wstydzisz, o której chcesz zapomnieć. A tymczasem należy ją oswoić i utulić.

Wiesz, gdybym był Teodorem Ruckim, prawdopodobnie dawno bym już nie żył. Jestem wdzięczny, że jest inaczej.

Nie bez powodu wspominałeś o tej bronii.

Sprzeciwiam się łatkowaniu mężczyzn, że ktoś jest na przykład z ONR, więc musi być agresywny

nieniach, nie mogłem się nie uzależnić – to kwestia historii z wczesnego dzieciństwa.

Zawodowo zajmuję się terapią schematu. Wiem, które próbowałem zapisać: opuszczenie i wstyd, wewnętrzne przekonanie, że coś jest ze mną nie tak; że nie jestem wystarczająco dobry.

Ksiądz Roman Ogorzałek w „Gangwayu” mówi: „Jesteś nikim. Też mi no wina. Nigdy nie udało mi się być kimś, a przecież kilka razy próbowałem. Nie udało mi się być synem dla moich rodziców – może trochę dla mamy, ale nigdy dla ojca. Nie udało mi się zostać kimś wśród moich kolegów na podwórku i w szkole, bo za wolno biegałem, nie potrafiłem się bić, a w piłkę grałem jak dupa wołowa”. To echo tego, co sam usłyszałeś?

– Mhm. Ojciec był dość krytyczny, lubił powtarzać, że nic ze mnie nie będzie – i że nadaję się tylko do łopaty. Nie miał racji, ale z łopatą też sobie poradziłem. Moja pierwsza praca w Stanach Zjednoczonych była przy robieniu zabezpieczeń przeciwpożarowych; dobrze płacili – 10,5 dolara za godzinę.

Wiesz, to jest oczywiście przerysowane, ale jeśli weźmiesz moich bohaterów – Teodora Ruckiego i Romana – i skleisz ich razem, to w dużej mierze mógłbym być ja.

Teodor miał zasadę, żeby co drugi dzień nie pić. Próbowalesz?

– Wszystkiego. Nie pić przez jakiś czas, pić co drugi dzień, nie pić przez piątą po południu. Dostyc późno zorientowałem się, że nie potrafię przestać. To podstępna choroba, uzależniony zwykle dowiadyuje się o niej na końcu.

Choć byłem wysoko funkcjonujący, coraz trudniej było mi utrzymać pracę. W końcu nie miałem czym zapłacić za mieszkanie na następny miesiąc. Wkurzyło mnie, że zostałem niewolnikiem płynu w butelce; że muszę się napić, żeby przeżyć. I kiedy doszedłem do tego momentu, przestałem. W 2004 roku zacząłem terapię i od tej pory nie tknąłem alkoholu. Jestem trzeźwy od 19 lat.

Pisziesz o pijącym bohaterze i szmuglowaniu alkoholu, opisujesz smak i zapach. Nie jest ci trudno?

– Po tylu latach niepicie jest już dla mnie stanem naturalnym.

Uważam jednak, że należy się znać na tym, o czym się pisze. Mam kwalifikacje do pisanie o alkoholu, a z drugiej strony – uprawiam sublimację. Polega to na tym, że zaspokajają potrzeby w mniej szkodliwy albo akceptowalny społecznie sposób.

Co jeszcze sublimujesz?

– Teodor to ja, gdybym się nie bał. Przez lata trenowałem sztuki walki, ale wciąż nie zno-

– Mam skłonności do depresji, jestem niepijącym alkoholikiem. Cóż, jestem realistą – nie sądzę, żeby kupowanie pistoletu było dobrym pomysłem.

Lata temu mój przyjaciel – facet w moim wieku, mój sponsor w AA – odebrał sobie życie, strzelając w skroń. Bardzo za nim tęsknię. Już po jego śmierci dowiedziałem się, że cierpiał na chorobę dwubiegunową, którą bardzo skrzętnie ukrywał przed światem. Nie pasowała do jego wizji męskości. Wstydził się depresji, nie udało mi się namówić go na leczenie.

Kilka tygodni po jego śmierci zamknąłem moją firmę remontową i postanowiłem zostać terapeutą.

Podejście do męskości, która musi zaciśnąć zęby i dać sobie radę, zmienia się bardzo powoli. Ale myślę, że zorientowaliśmy się wreszcie, że jej konsekwencje mogą być tragiczne.

Da się w ogóle oderwać męskość od agresji?

– Sprzeciwiam się łatkowaniu mężczyzn, że ktoś jest na przykład z ONR, więc musi być agresywny. Miałem takich pacjentów. Pod fasadą okazywało się, że to zagubieni chłopcy. Kiedy ktoś ich wreszcie emocjonalnie przytulił, ten ONR przestawał mieć znaczenie; więcej – oni mentalnie natychmiast przestawali być ONR-owcami.

Sam mam w sobie taką chamską męskość, ale ona jest odpowiednio ukierunkowana. Moja żona lubi to we mnie, że potrafię zrobić remont łazienki i obronię ją, jeśli będzie taka potrzeba. Ale to musi być świadoma decyzja. Granicę wyznacza empatia. Gdybym zobaczył, że ktoś kopie na ulicy drugą osobę – pomógłbym ofierze. Gdybym usłyszał awanturę u sąsiadów i płacz dziecka, zadzwoniłbym na policję.

Męskość to wrażliwość, to pomaganie innym – nie krzywdzenie ich.

Nasza męskość różni się od tej amerykańskiej?

– Ameryka jest bardzo konserwatywna i purrytańska – w tym aspekcie jesteśmy do siebie podobni. Wzorce kobiecości i męskości też się zgadzają. Zmieniają się tylko dekoracje, stenografia, statystyki.

W Chicago jest mnóstwo polskich gabinetów psychoterapeutycznych, 80 procent moich pacjentów to Polacy. Przychodzą do mnie bogaci i biedni, niektórych przyjmuję za półdarmo. Nie potrafię ich zostawić, czuję się odpowiedzialny. Nie chciałbym, żeby leczenie się było przywilejem dla elity, terapia jest prawem człowieka.

Pracowałeś jako terapeuta w programie dla sprawców przemocy. Oni tam z własnej woli przychodzili?

– Większość nie. Byli skierowani przez sąd. To byli zbuntowani mężczyźni, w ogóle

nie dopuszczali do siebie, że są sprawcami przemocy. Tłumaczyli, że żona ich sprowokowała, że ich nie szanowała, że nic nie jest czarno-białe. Kiedy czujesz się jak śmieć, agresja wobec kogoś słabszego to najłatwiejszy sposób, by urosnąć.

A miałeś pacjentów, którzy musieli wyleczyć się z Polski?

– Chyba nie. Chociaż... W tym programie dla sprawców przemocy zauważyłem, że najbardziej oporni na wgląd i zmianę byli konserwatywni katolicy. W ogóle nie chcieli dyskutować, na koniec dnia ich koronnym argumentem było stwierdzenie, że stoi za nimi Pismo Święte: Bóg stworzył kobietę z żebra Adama. I tak ma być, jak jest.

Co im mówiliście?

– Używałem takiego narzędzia, które się nazywa empatyczną konfrontacją – starałem się, mimo wszystko, ich nie zranić. Musiałem jednak jasno i wyraźnie, popierając to faktami, powiedzieć, że to kwestia wierzeń. I że przez te wierzenia trafili do programu, a jeśli się nie zmienią – pójdą do więzienia. Zdarzało się, że docierało.

Czterdzieści pięć lat upływa od mego przyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Pierwsze parę lat było ciągłym szukaniem pracy, walką o coś do zjedzenia i miejsce do mieszkania, później o poprawę bytu i uniezależnienie się od bossów. Gdy założyłem swój garaż, sądziłem, że byłem na tej drodze. Okoliczności wykazały coś innego. Depresja zniszczyła mój dwudziestoletni dorobek. Aby w interesie tutaj coś zrobić i dojść do czegoś, trzeba być trochę lepszym byznesmenem, niż ja jestem. Trzeba brać, gdy można, gdzie można i co się da. Człowiek, który chce uczciwie zarobić na kawałek chleba, zarobi tylko na kawałek chleba.

Pamiętnik Stanisława Kazimierowskiego



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Grzegorz Dziedzic

• mieszka w Chicago od 1999 roku. Z wykształcenia i zawodu psychoterapeuta. W USA pracował m.in. jako robotnik budowlany, kładł kafle, pomagał w fabryce perfum i głośników. Później jako terapeuta uzależnień w jedynym poza Polską polskojęzycznym programie odwykowym dla bezdomnych Polaków w Chicago. Od 2014 roku kierował sekcją miejską i pisał felietony do „Dziennika Związkowego” – najstarszej polskojęzycznej gazety w Chicago. Za powieść „Żadnych bogów, żadnych panów” otrzymał prestiżową Nagrodę Wielkiego Kalibru 2022. Właśnie wydał drugą część chicagowskiej trylogii, „Gangway”.

„Żadnych bogów, żadnych panów” i „Gangway” Grzegorza Dziedzica oraz „Greenpoint. Kroniki Małej Polski” Ewy Winnickiej dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków na Publio.pl



FOT. MUZEUM ETNOGRAFICZNE/EAST NEWS



DLACZEGO ISTNIEJĄ BABCIE

Ile podróży można odbyć? Ile kościołów zwiedzić?
Nieśmiertelność musiałaby być strasznie nudna

Z BIOLOGIEM EWOLUCYJNYM PROF. JANEM KOZŁOWSKIM* ROZMAWIA KASPER KALINOWSKI

OGŁOSZENIE

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Nauka może oszacować, ile statystycznie życia nam zostało? Rozmawiamy w poniedziałek, a wywiad ukaże się w sobotę. Dożyjemy?

– Z dużym prawdopodobieństwem dożyjemy. Oczywiście nie możemy być tego całkowicie pewni. Istnieją zdarzenia losowe – mogą przecież zginąć, przechodząc przez ulicę.

A możemy coś zrobić, aby wydłużyć życie? Niektórzy prowadzą nieustanne głodówki, inni mówią o obniżeniu temperatury ciała.

– Polecilibym książkę prof. Marka Konarzewskiego „Na początku był głód”. Niedojadanie było obecne przez prawie całą historię *Homo sapiens*. Sytość i pełny żołądek są zjawiskami nowymi. Niedojadanie przedłuża życie zwierząt i prawie na pewno ludzi. Czy lepsze jest niejedzenie do syta, czy głodówki – to już sprawa indywidualna. Osobiście źle znoszę głód, więc wolalbym nie najaść się do syta.

Co do temperatury mam poważne wątpliwości. Nasze organizmy mają wbudowany termostat – temperatura ciała jest ustalona. Czy jej obniżenie przedłużyłoby życie? Nie mówimy oczywiście o życiu utajonym, tzw. anabiozie – skrajnym obniżeniu aktywności organizmu w odpowiedzi na niekorzystne warunki środowiska. Wtedy moglibyśmy żyć wiecznie, ale w zasadzie nie byłoby to już życie.

Z oczywistych względów badań nad obniżeniem temperatury ciała o kilka stopni nie można przeprowadzić na ludziach, ale na pewno odczuwalibyśmy wtedy dyskomfort. Innym zagadnieniem jest obniżenie temperatury otoczenia, co prawdopodobnie wpłynęłoby nieco na długość życia, ale w grę wchodzi już inne mechanizmy fizjologiczne – w takich warunkach spalilibyśmy więcej tłuszczu, aby utrzymać stałą temperaturę, co miałoby dobry wpływ na zdrowie, a więc i na długość życia. Podobnie jak przy ograniczonej diecie należy unikać skrajności, bo znaczne pogorszenie jakości życia najprawdopodobniej je skróci, a nie przedłuży.

Jakość życia jest ważniejsza niż jego długość?

– Uważam, że tak.

Wiele gatunków nie doczekałoby jednak publikacji wywiadu. Dlaczego niektóre owady żyją tylko kilka dni?

– Po pierwsze, istnieje coś takiego jak śmierć programowana. Występuje u organizmów, które rozmnażają się tylko raz w życiu, co jest rzadkie u zwierząt, ale częste u roślin. Marchew czy pietruszka znikają po dwóch latach i zostają po nich tylko nasiona. U zwierząt to już rzadkość

– dotyczy jednak całej grupy gło-
wonogów, które potomstwo wy-
dają tylko raz w życiu. Wyczer-
pują wszystkie zasoby organizmu
i giną. Wśród ssaków natrafimy
na nieliczne przykłady takiego ro-
dzaju rozmnażania. Wyjątkiem są
chutliwce – niewielkie torbacze
z Australii. Ich polskie określenie
dużo o nich mówi – samce roz-
mnażają się raz w życiu, po czym
wyczerpane giną. Ma to sens, je-
śli szansa dożycia do kolejnej ko-
pulacji jest niewielka. W Brazylii
występują natomiast oposy, u któ-
rych obie płcie rozmnażają się raz
w życiu.

Populacje niektórych owa-
dów czy innych niewielkich orga-
nizmów rosną do końca sezonu
lub wyczerpania zasobów. W tym
przypadku z ewolucyjnego punktu
widzenia liczą się już nie tylko
liczba potomstwa, ale też długość
trwania pokolenia. Ważne jest
więc, aby szybko urosnąć i szyb-
ko się rozmnożyć. Taką strategię
przyjmują muchy, także komary.

Ostatnia grupa, która chyba
nas najbardziej interesuje, to ga-
tunki, których liczebność utrzy-
muje się na mniej więcej stałym
poziomie. W ich przypadku naj-
ważniejsza jest oczekiwana ca-
łożyciowa produkcja potom-
stwa, którą najłatwiej osiągnąć
poprzez reprodukcję trwającą
przez całe życie. Termin „ocze-
kiwana” oznacza, że uwzględ-
niająca prawdopodobieństwo
śmierci. Jeśli w pierwszym mio-
cie rodzi się 100 młodych, w dru-
gim 200, a prawdopodobieństwo
przeżycia między miotami jest
równe 0,5-50 procent – to oba
mioty mają identyczny wkład
w tę oczekiwaną produkcję po-
tomstwa. Tam, gdzie prawdopo-
dobieństwo przeżycia jest wy-
sokie, nie ma np. dużej presji ze
strony drapieżników, można po-
zostawić więcej potomstwa, je-
żeli żyje się długo. Jeżeli ryzyko
śmierci jest jednak wysokie, to
ważne jest tempo – trzeba szyb-
ko dojrzeć i się rozmnożyć.

**Przyszły mi na myśl lososie. To
jeden z tych gatunków, który
umiera po reprodukcji. Jak
ewolucja mogła premiować
brak opieki nad młodymi?**

– Poza ssakami i ptakami opieka
jest rzadkim zjawiskiem w przy-
rodzie, więc raczej nie łączylbym
kwestii opieki ze strategią jedno-
razowego rozmnażania się. Lepiej
zapytać, dlaczego nie oplaca się
żyć dłużej i rozmnożyć drugi,
a może nawet trzeci raz.

Odpowiedź jest prosta. Sztan-
dardowym przykładem są lososie
– w ich przypadku niektóre ga-
tunki rozmnażają się tylko raz.
Wylęgają się z jaj w rzekach, od-
bywają niebezpieczną wędrówkę
do morza, a potem znów do
rzek, by się rozmnożyć. Wyobraź-
my sobie mutację, która umoż-
liwiłaby im rozmnażanie wie-
le razy. Jak duże jest prawdopo-
dobieństwo kolejnego rozrodu?
Wędrówka jest kosztowna, a po
drodze, w Kanadzie do dziś, po-
lują na nie niedźwiedzie. Koszt
jest więc ogromny. Druga możli-
wość to wyczerpać wszystkie za-
soby, rzucić wszystko na jedną
szalę i zginąć. Trzeba oszacować
skuteczność obu strategii. Jeże-
li bardziej korzystne okazuje się
rozmnażanie raz w życiu, to taka
strategia ewolucyjnie zwycięża.

Również niektóre rośliny roz-
mnażają się raz w życiu, czasem

nawet po kilkudziesięciu latach.
Agawy produkują ogromne ło-
dygi, aby przyciągnąć jak najwię-
cej zapylaczy. Mogłyby oszczędzić
energię i wyprodukować nie-
wielką bulwę, by żyć dalej, jednak
pięknie pachnący kwiat przyciąga
nie tylko wielu zapylaczy, ale rów-
nież wrogów. Taka bulwa nie ma
dużych szans na przeżycie. Aga-
wa również rzuca wszystko na
jedną szalę.

**Istnieją jednak gatunki w teorii
nieśmiertelne. Golce nie choru-
ją i nie umierają z przyczyn ze-
wnętrznych. Dlaczego u innych
gatunków ewolucja nie mogła
się potoczyć podobnie?**

– W przypadku golców wyjątko-
wy jest ich tryb życia. Są gatun-
kiem społecznym, a żyją długo,
bo w wydrążonych pod ziemią tu-
nelach, w których szukają bulw,
nie ma drapieżników. Sporadycz-
nie do ich nor wchodzi co praw-
da węże i wtedy niektórzy „żołnie-
rze” decydują się na obronę typu
kamikadze. Zatykają otwory wła-
snym ciałem, zanim inne osobniki
zasypią korytarz.

Czy gdybyśmy znaleźli geny,
które odpowiadają za ogólną kon-
dycję golców, to pomogłoby to lu-
dziom? Nie jestem pewien. Geny
działają nie samodzielnie, ale na
tle całego programu genetycznego
osobnika. Zmiana tych genów
nie musiałaby pociągać za sobą
korzystnych skutków, mogłaby się
nawet okazać katastrofalna.

**Śmiertelności – przecież obser-
wujemy u nich żalobę?**

– Im bardziej poznajemy psychi-
kę i zachowanie innych gatun-
ków, tym różnice między nimi
a ludźmi stają się mniejsze. U co-
raz większej liczby gatunków od-
krywamy samoświadomość.
Czy to wystarczy do świadomo-
ści własnej śmiertelności? Tego
nie wiem.

Jeśli chodzi o żalobę, czę-
sto przywołujemy przykład sło-
ni. Mam wewnętrzne przekonanie,
które nie jest podparte żad-
nymi dowodami, że słonie, obser-
wując umieranie starszych osob-
ników, mogą mieć świadomość,
że same umrą. Jednak nie sądzę,
aby robili z tego taki problem jak
ludzie. Moim zdaniem wśród ga-
tunków o dobrze rozwiniętym
systemie nerwowym może istnieć
jakaś świadomość nieuchronno-
ści śmierci.

Niektórzy z nas mają obsesję
na punkcie śmierci, a inni trak-
tują śmierć jako coś naturalnego.
Mam szczęście należeć do tej dru-
giej grupy. Nie marzę o wiecznym
życiu. Przeraza mnie cierpienie,
nie sama śmierć. Warto odnoto-
wać to, że coraz więcej ludzi opo-
wiada się za dobrowolną eutana-
zją w sytuacji długotrwałego cier-
pienia. To tendencja, której nie po-
wstrzymują apele Kościoła. Moż-
liwość eutanazji wprowadza co-
raz większa liczba państw. Jestem
zwolennikiem w pełni kontrolo-
wanej i dobrowolnej eutanazji.

Wydłużanie starczej fazy życia to droga donikąd. Nie chciałbym obciążać bliskich swoją starością

**Nieśmiertelność nie byłaby ko-
rzystna na poziomie osobnika?**

– Ewolucja nie działa na poziomie
osobnika. Fizjologiczna nieśmier-
telność wcale nie oznacza najlep-
szego rozprzestrzeniania się pro-
gramów genetycznych. A rzeczy-
wista nieśmiertelność jest nie-
możliwa, gdyż zawsze istnieją ja-
kieś zewnętrzne zagrożenia.

**My, ludzie, kiedyś jednak
umrzemy. Jaki powód jest naj-
bardziej prawdopodobny?**

– Trudno o jednoznaczną odpo-
wiedź. W krajach zachodnich to
z pewnością nowotwory i cho-
roby układu krążenia, jak wyle-
wy albo choroby serca. Jednak
wszystko zależy od okoliczności.
Młodzi ludzie w Ukrainie, zwsz-
czka mężczyźni, giną obecnie z po-
wodu wojny. Nawet współcze-
śnie w wielu krajach tropikalnych
śmiertelne żniwo zbierają cho-
roby. Do tego młodzi mężczyźni
często giną w wypadkach z po-
wodu ryzykownych zachowań, co
wynika z doboru płciowego. Nie-
stety ryzyko podnosi atrakcyjność
na rynku matrymonialnym, przy-
najmniej w oczach niektórych ko-
biet.

**Tylko my, ludzie, możemy snuć
takie rozważania? Czy inne
gatunki są świadome własnej**

Mam nadzieję, że zostanie zalega-
lizowana, zanim dotkną mnie po-
ważne problemy wieku starczego.

Martwi mnie to, jak współ-
cześnie unikamy samego widoku
śmierci. Nie przypadkiem daw-
niej żegnało się zmarłych w ich
domach, w otwartych trumnach.
Dziś wysyłamy chorych do szpitala
i z niechęcią jedna osoba idzie
zidentyfikować zwłoki. Pamię-
tam, jak mój ojciec był w kiep-
skim stanie i nie chciał trafić do
szpitala. Mama wręcz chciała wy-
móc na mnie przyrzeczenie, że
się tam nie znajdzie. Zmarła w sę-
dziwym wieku 105 lat, w szpitalu,
ale na skutek wypadku. Nigdy
nie wysłałbym jej do szpitala tyl-
ko po to, aby tam samotnie umar-
ła. Znałem ludzi, którzy życzy-
li sobie, aby wnuki nie szły na po-
grzeb, by nie obcowali ze śmier-
cią. Śmierć jest częścią życia i mu-
simy się z nią oswajać, by móc za-
akceptować własną.

Brak kontaktu z widokiem
zmarłego to problem nawet dla
naszych psów. Żona mojego bra-
ta umarła w szpitalu, więc ich
pies nie miał szansy jej zobaczyć
po śmierci. Bardzo długo czekał
na nią pelen nerwów w poczuciu,
że został opuszczony i zdradzo-
ny. Gdyby zobaczył ją martwą,
to prawdopodobnie by się z tym
szybko pogodził.

**Ale chyba każdy gatunek broni
się przed śmiercią i jej unika?**

– Poza wspomnianymi gatunka-
mi o zaprogramowanej śmierci.
Śmierć z przyczyn gwałtownych
to koniec szans na przeka-
zanie genów, więc wszystkie or-
ganizmy żywe muszą mieć wbu-
dowane mechanizmy jej unika-
nia. Strach przed śmiercią jest jak
najbardziej naturalny. A może le-
piej powiedzieć: strach przed za-
grożeniem?

**A może tak duże różnice w dłu-
gości życia wynikają z różnic
w wielkości ciała? Mucha
żyje 30 dni, a słoń nawet 90 lat.
A może istotne jest ryzyko?
Nietoperze, które latają, żyją
dziesięciokrotnie dłużej niż
myszy, a albatrosy dorównują
długością życia ludziom.**

– Te wszystkie gatunki żyją
w mniej więcej stabilnych popu-
lacjach. Decydującym czynnikiem
jest prawdopodobieństwo śmierci
z przyczyn zewnętrznych. Tam,
gdzie występuje duże zagrożenie
taką śmiercią, oplacalne są szyb-
kie dojrzewanie i szybki wzrost,
a skutkiem ubocznym jest krót-
kie życie. U ryb, płazów i gadów
płodność jest związana z rozmiar-
ami ciała. Nawet jeśli z rozmiar-
em ciała nie wzrasta liczba mło-
dych, jak w przypadku ptaków
i ssaków, to zwykle wzrasta praw-
dopodobieństwo, że młody osob-
nik przetrwa. Najczęściej w przy-
rodzie duzi mają lepiej, ale trze-
ba dożyć tego wieku, gdy się jest
dużym. Przy ryzyku, jakie ponosi
mysz, dożycie rozmiarów słonia
byłoby ułamkiem promila wszy-
stkich osobników – szansa na prze-
kazanie genów byłaby więc zni-
koma.

Nietoperze i myszy mają zbli-
żone rozmiary ciała. Nietoperze
dojrzewają najczęściej w drugim
roku życia, mają zwykle dwoje
młodych i żyją długo, myszy mają
kilka pokoleń w roku i żyją krótko.
Drapieżnikom trudno upolowa-
wać nietoperze ze względu na ich
zdolność do lotu i nocny tryb ży-
cia, inwestują więc w opóźnie-
nie starzenia, kosztem tempa doj-
rzewania i rozrodu. Podobnie jest
z ptakami – rzadziej padają ofiarą
drapieżników i żyją znacznie dłu-
żej niż ssaki podobnej wielkości.
W młodości cztery lata obrącz-
kowalem ptaki w Puszczy Niepo-
łomickiej. Byłem zdumiony, że
drobne ptaki żyją tak długo.

Różnice między ptakami
a ssakami w długości życia poka-
zują, że proste zależności, jakie
pojawiały się w nauce, w rodzaju
ograniczonej liczby uderzeń serca
w ciągu życia czy związku dłu-
gości życia z tempem metabolizmu,
nie sprawdzają się. Ptaki mają
wyższy metabolizm, a żyją dłużej.

**Wszystkie zwierzęta, które żyją
długo, cechuje powolny rozwój?
To klucz do sukcesu?**

– Starzenie to tak naprawdę trzy
ewolucyjne mechanizmy, które
się nie wykluczają. Pierw-
szy to nagromadzenie dziedzicz-
nych szkodliwych mutacji, któ-
rych skutki pojawiają się w póź-
nym wieku – jeżeli szansa dożycia
do późnego wieku jest niewielka,
to selekcja przeciw takim muta-
cjom jest słaba.

Kolejny to obecność takich ge-
nów, które są pożyteczne w mło-
dości i w okresie intensywnego
rozmnażania, ale wiążą się
z ujemnymi skutkami ubocznymi

w późnym wieku. Selekcja bę-
dzie sprzyjać tym genom, gdyż
tylko niewielka liczba osobni-
ków dożyje wieku, gdy pojawią
się negatywne efekty. Przez więk-
szość historii ludzie rzadko doży-
wali sędziwego wieku, zatem oba
mechanizmy mogły działać u lu-
dzi, a dziś, gdy żyjemy dłużej, czę-
sto obserwujemy ich negatywne
skutki.

Trzecia, najbliższa mi koncep-
cja, to coś, co na język polski moż-
na przetłumaczyć jako koncep-
cja somy jednorazowego użytku.
W przypadku człowieka soma to
wszystko w naszym ciele poza ko-
mórkami jajowymi i niewielką
częścią jąder – nabłonkiem pro-
dukującym plemniki. W przypad-
ku niskiego ryzyka śmierci z przy-
czyn zewnętrznych oplacalne są
duże inwestycje w utrzymanie do-
brego stanu somy kosztem tem-
pa wzrostu i inwestycji w rozr-
ód. Skutkiem tych inwestycji jest
długie życie. Wprowadzie w ewo-
lucji chodzi nie o długie życie,
ale o przekazywanie genów, jed-
nak dzięki długiemu życiu w bez-
piecznym środowisku nawet niż-
sze chwilowe inwestycje w rozród
zsumują się w wyższe inwestycje
całożyciowe.

**To trochę jak z samochodami?
Ford, produkując pierwszy
seryjny samochód, zapytał
inżynierów, która z części jest
najmniej trwała. „Ile wytrzy-
muje ta część?”, spytał. „Cztery
lata”, odpowiedzieli. „Bardzo
dobrze”, odparł. „Reszta ma
wytrzymać tyle samo”. Nie
chciał produkować części, które
mogłyby wytrzymać sto lat,
skoro inne za cztery miałyby
wyłądować sprawne na złomo-
wisku.**

– Jeżeli wypadki są częste, nie
opłaca się konserwować samo-
chodu ani o niego dbać. Lepiej od-
kładać na nowy. Nie opłaca się też
inwestować w drogi, niezawodny
samochód, chyba że dla szpanu.
Jeśli natomiast żyjemy w bez-
piecznym miejscu, warto za-
dbać o samochód. W Papui-No-
wej Gwinei, gdzie swego czasu,
nie wiem, jak jest obecnie, odse-
tek wypadków był najwyższy, sa-
mochody zajeżdżano.

Przykład Forda odnosi się do
organizmów żywych – nie ma
sensu tworzyć serca na 200 lat, je-
śli nerki wytrzymają 90. Sukces
współczesnych firm samocho-
dowych polega jednak na czymś
innym. Przeprowadza się bar-
dzo dokładne badania tego, co
się psuje, i ulepsza najslabsze ele-
menty, gdyż samochody są kon-
struowane do eksploatacji w wa-
runkach niskiej wypadkowości.
Niezawodność wymaga jednak
starannej konserwacji. To ana-
logia do organizmów żyjących
w bezpiecznym środowisku, ze
starannie zbudowaną i konserwo-
waną somą.

**A co z wieczną młodością?
W przyrodzie piękny jest przy-
kład aksolotli – jeśli odetniemy
im łapę, ta odrósł. Dlaczego
nie możemy się regenero-
wać tak jak one? Pracują nad
tym setki start-upów w Doli-
nie Krzemowej.**

– Wśród kręgowców pełna rege-
neracja kończyn występuje tyl-
ko u płazów ogoniastych. U ga-
dów dotyczy w zasadzie ogo-
nów jaszczurek. U ssaków i pta-
ków ogranicza się do gojenia ran.

Ciekawym przykładem jest jednak wątroba, która regeneruje się dobrze, a jest to organ, który jest nieustannie niszczone.

Im bardziej skomplikowany organ i im więcej rodzajów komórek macierzystych zawiera, tym trudniej o regenerację. W ewolucji istotne jest też prawdopodobieństwo przeżycia po utracie organu. W przypadku utraty nawet dużej części wątroby wciąż istnieje duża szansa na przeżycie. W historii człowieka jedzenie zagryzionego pokarmu czy roślin zawierających toksyczne substancje było normą. Ssaki, a zwłaszcza ptaki, jedzą często pokarm roślinny zawierający trujące substancje chroniące rośliny przed owadami. Wątroba była więc niszczone i jej zdolności regeneracyjne były ważne.

Pytanie, jak długo może przeżyć pozbawiona kończyny salamandra, a jak długo ssak? Utrata ręki lub nogi u człowieka powodowała szybką śmierć – w toku ewolucji nie istniała więc selekcja na taką regenerację. Nie oznacza to, że nie da się pobudzić regeneracji w warunkach sztucznych. Coraz lepiej poznajemy mechanizmy molekularne. Hodujemy już niektóre organy, ale ciągle musimy je jeszcze wszczepiać.

Jedno wydaje się pewne. Ze względu na cenę nie będą to zabiegi dostępne dla wszystkich. Porzucmy nadzieję, że takie zabiegi będą wykonywane rutynowo na NFZ. To zabawa dla miliarderów z Doliny Krzemowej, których, nawiasem mówiąc, może zacząć ubywać z powodu rozwoju sztucznej inteligencji.

Taka regeneracja to jakaś forma nieśmiertelności. Jednak chyba oferuje nam wieczną starość, nie młodość. Zgodzi się pan?

– W pełni popieram badania biomedyczne, które mają na celu zapewnić nam jak najdłuższą aktywność fizyczną, seksualną czy intelektualną. Mogą przynieść lepszą jakość życia społeczeństwu, a nie grupie wybrańców. Kiedyś ludzie po sześćdziesiątce rzadko mogli się cieszyć życiem seksualnym. Dziś, dzięki osiągnięciom farmacji, możemy uprawiać seks do późnej starości. Korzystne skutki psychologiczne i zdrowotne są oczywiste. Natomiast ta zabawa dla bogaczy, czyli sztuczna regeneracja narządów, będzie co najwyżej przedłużać starość, nie aktywną fazę życia, przynajmniej w dającym się przewidzieć horyzoncie czasowym.

Niektórzy mówią, że w przyrodzie nie ma starości, bo osobniki nie dożywają takiego wieku. Więc może starość to wytwór kultury?

– Jest niezwykle rzadka. Aby móc zaobserwować starość, trzeba znaleźć osobnika, który dożył do takiego wieku. W warunkach naturalnych szanse są niewielkie. Zwierzę, które kuleje, dość szybko padnie ofiarą drapieżnika. Mam kota, który wychodzi na zewnątrz i żyje już bardzo długo. Jednak w którymś momencie, gdy będzie przebiegał przez ulicę, zawiędzie go percepcja lub sprawność mięśni i zginie pod kołami. Pewnie w przyrodzie już by nie żył.

Możemy przedłużać okres starości przez odpowiednią opiekę i tworzenie warunków, więc tak,

powszechna starość to w dużej mierze wytwór kultury. Wśród Inuitów starzy ludzie śpiewali przy ognisku pieśni i dobrowolnie zamazali. To przykład innej drogi – dobrowolnej eutanazji. Nie widzieli sensu dalszego życia kosztem swoich rodzin.

Może chodzi tylko o ograniczenie płodności – osobnik stary to osobnik nieplodny?

– Nie zgodziłbym się. W przypadku ludzi można wciąż pomagać innym osobnikom. Do niedawna starzy ludzie posiadali pewną mądrość, którą przekazywali młodszemu. Ta rola uległa oczywiście osłabieniu przez zmianę warunków życia i tempo przemian, które powodują, że ich doświadczenie nie może już wiele pomóc. Kiedyś ludzie starsi byli nośnikami wiedzy. Dziś często pomagają finansowo, a także od zawsze pomagają przy wnukach.

Właśnie, dlaczego istnieją babcie? Mamy je my, ludzie, ale również orki czy słonie. Jaki ma to ewolucyjny sens?

– Te wszystkie trzy gatunki żyją bardzo długo. U ssaków żeńskie komórki rozrodcze nie są produkowane w ciągu życia. Pula komórek, które staną się jajowymi, jest więc ograniczona. Do tego ciągle tych komórek ubywa, nie tylko przez jajczkowanie, ale też z nieznanego jeszcze powodu. Jeśli ewolucyjnie zwiększała się długość życia, komórek jajowych zaczęło bywać coraz więcej w zaawansowanym wieku – tak jest przynajmniej w przypadku człowieka. Gdyby nie opieka nad dziećmi i wnukami, to nagromadziłyby się szkodliwe późno objawiające się mutacje i życie kończyłoby się szybko po utracie zdolności do reprodukcji. Jednak tak się nie dzieje, bo życie po utracie zdolności do rozrodu ciągle sprzyja rozprzestrzenianiu genów.

Przyjmijmy, że kobieta rodzi ostatnie dziecko w 46. roku życia. Niewątpliwie obecność matki przez następne kilkanaście lat będzie zwiększać prawdopodobieństwo przeżycia i dobrego startu życiowego potomka. Do tego udowodniono, że pomoc babć to szansa na większe sukcesy życiowe, a kiedyś większe szanse przeżycia. Bez względu na to, czy menopauza jest prostym wynikiem braku komórek jajowych, czy też wynika z ewolucji, faworyzującej opiekę nad już istniejącym potomstwem kosztem urodzenia kolejnego, kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat życia po zakończeniu reprodukcji zwiększa sukces w przekazywaniu genów.

Paradoksalnie śmierć, głównie niemowląt, to główny napęd ewolucji. Może jest więc niezbędna?

– Wysoka przeżywalność dzieci to zupełnie nowe zjawisko. Jeszcze moja babcia mawiała: „Jedno dziecko to nie dziecko, dwoje dzieci to nie dzieci, dopiero troje dzieci to dzieci”. Śmiertelność była tak wysoka. Dopiero opieka medyczna nad noworodkami i szczepienia sprawiły, że prawie każde dziecko dożywa do dorosłości.

Mojego kolegę prof. Adama Łomnickiego fascynowało, czy poprzez ratowanie niemowląt,

które rodzą się z wadami genetycznymi, nie eliminujemy selekcji przeciw tym wadom. Przez całe lata spieraliśmy się na ten temat. Choroby genetyczne są najczęściej powodowane przez rzadkie geny recesywne i jeszcze rzadziej otrzymujemy je jednocześnie od ojca i matki, a zatem rzadziej pojawiać się będą objawy,

– Śmierć zaprogramowana nie istnieje poza przypadkami omówionymi wcześniej. Śmierć to wynik nagromadzenia się wielu nieprawidłowości. Tempo ich nagromadzenia zależy od struktury genetycznej i trybu życia, w tym sposobu odżywiania, ćwiczeń fizycznych, przebytych chorób zakaźnych i sposobu ich leczenia,

Ta zabawa dla bogaczy, czyli sztuczna regeneracja narządów, będzie co najwyżej przedłużać starość, nie aktywną fazę życia

czyli selekcja jest i tak słaba. Skutki obniżonej selekcji mogą być widoczne nie wcześniej niż za kilkadziesiąt lat. Moim zdaniem mamy większe zmartwienia, takie jak katastroficzne zmiany klimatu czy ryzyko wojny atomowej.

Ponadto dziś wiemy, że ogromną rolę ewolucyjną, zarówno w populacjach zwierząt, jak i ludzi, odgrywa migracja. Nasilających się migracji czy powstawania mieszanym małżeństw nie powstrzymamy, będzie zatem ciągły napływ genów z tych rejonów świata, gdzie selekcja niemowląt jest bardzo silna. To wystarczy, aby nie podejmować się ograniczeniem selekcji nieprawidłowości genetycznych w krajach zamieszkałych.

To jak w końcu jest – śmierć jest zaprogramowana czy jest wynikiem gromadzenia mutacji i drobnych uszkodzeń organizmu? W pierwszym przypadku mamy kiedyś szansę złamać jej kod i cieszyć się nieśmiertelnością?

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, spadają kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na Wyborcza.pl/Jutronauci

a ogólnie – od warunków środowiskowych.

Nie wierzę w nieśmiertelność czy nawet znaczne przedłużenie życia osiągnięte przez manipulację genami. Osobniki nie są nieśmiertelne, to geny są potencjalnie nieśmiertelne. Świetnie wyczuwali to Izraelici, którzy we wczesnym okresie judaizmu nie wierzyli w życie pozagrobowe, a jedynie w nieśmiertelność genetyczną – stąd bezwzględny nakaz rozmnażania się czy obowiązek „wzbudzenia potomstwa” u żony zmarłego bezdzietnego brata. Posiadali doskonałą intuicję genetyczną – konieczność współżycia z wdową po bezdzietnym bracie dziś wytłumaczylibyśmy doбором krewniaczym.

Współczesny świat jest już znacznie przeludniony. Nie ma potrzeby, by wszyscy mieli dzieci, i coraz więcej ludzi z nich rezygnuje. Dlaczego? Spójrzmy na seks i rozmnażanie racjonalnie. Czy ktoś uprawia seks dla przedłużenia istnienia gatunku? Nie, motywacją jest przyjemność. W naszych mózgach działa układ nagrody i kary, wpływający na podejmowanie różnorodnych decyzji. Antykoncepcja powoduje, że seks bez ryzyka poczęcia działa na układ nagrody w mózgu, natomiast świadomość konieczności wyrzeczeń wiążących się z rodzicielstwem działa na układ kary. Myślę jednak, że niemal każdy, kto przeżył rodzicielstwo, docenia je, gdyż dostarcza ono wiele radości, a nie tylko trosk. Dlatego mimo oddzielenia seksu i rozmnażania wielu ludzi pragnie mieć dzieci. Na tym polega współczesne, świadome rodzicielstwo, w odróżnieniu od dawnego rodzicielstwa, będącego często tylko skutkiem ubocznym seksu.

Tylko czy w ogóle chcielibyśmy nieśmiertelności? Ja bym się wahał, a pan?

– Nie chciałbym. Nawet przy nie-realistycznym założeniu, że bym się nie starzał, nieśmiertelność musiałaby być strasznie nudna. Ile podróży można odbyć? Ile kościołów zwiedzić? Wciąż dużo podróżuję – odkryłem, że nie chce mi się już nawet pamiętać wielu

szczegółów. Liczą się tylko emocje i nastroje, nie chęć poznawania. Natomiast wydłużanie starczej fazy życia to droga donikąd. Nie chciałbym obciążać bliskich swoją starością.

Problemem dla mnie jest to, że kiedy już dojrzejemy do eutanazji, to trudno ją przeprowadzić. Jeden z moich przyjaciół chciał jej dokonać za granicą. Mimo że był człowiekiem dość zamożnym, po wyliczeniu kosztów zrezygnował. Myślę jednak, że procedury związane z eutanazją się uproszczą. Wystarczy, że przestaniemy wierzyć w świętość życia, jednocześnie mocno je lekceważąc. Tak jak część z nas decyduje się na brak dzieci, tak w przyszłości część będzie się decydować na eutanazję lub z własnej inicjatywy przenosić się do domu opieki.

Dla mnie wysoka jakość życia trwać będzie do czasu, gdy mogę więcej dawać, niż brać. Dopóki jestem takim „płatnikiem netto”, to życie ma dla mnie wartość. W niektórych krajach już to rozumiano – starość spędzana w domu opieki, często z własnej inicjatywy, jest tam czymś naturalnym. To pewien etap rozwoju społecznego, ale w naszym społeczeństwie pokutuje przekonanie: „Oddali rodziców do domu opieki – to obrzydliwe”. Nawet jeśli dotyczy to rodziców z chorobą Alzheimera czy ciężką demencją. Czy moralne jest wywieranie presji na poświęcanie życia dla ludzi, którzy już nic z niego nie mają poza cierpieniem, jeśli możemy zapewnić dobrą opiekę? ●



FOT. PRZEMEK WIERZCHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jan Kozłowski

• biolog ewolucyjny, emerytowany profesor Instytutu Nauk o Środowisku UJ, członek rzeczywisty PAN i członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności. W 2016 r. został uhonorowany nagrodą Fundacji na rzecz Nauki Polskiej za prace teoretyczne dotyczące ewolucji strategii życiowych.

„Życie i śmierć. Wielka księga pytań”

Juan Luis Arsuaga i Juan Jose Millas, przeł. Ewa Ratajczyk. Książka roku magazynu „New Scientist” właśnie ukazała się w Polsce nakładem wyd. Znak. Dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na stronie wydawnictwa Znak.



80. urodziny Micka Jaggera.

DERWISZ

wciąż nie może osiągnąć satysfakcji

LUKASZ KAMIŃSKI

Można opędzić laurkę urodzinową suchymi faktami. Datą i miejscem urodzenia (26 lipca 1943, Dartford). Przedługą listą wybitnych nagrań (od „Gimme Shelter” po „Satisfaction”). Kolekcją nagród i wyróżnień (od wprowadzenia do Rock and Roll Hall of Fame w 1989 roku po nadanie mu przez królową Elżbietę II szlacheckiego tytułu w 2002 roku). Obecnością w popkulturze (zdjęcie pupy Jaggera autorstwa Cecila Beatona sprzedano na aukcji Sotheby’s za kilka tysięcy dolarów, a obraz autorstwa Andy’ego Warhola zdobył jedną ze ścian pałacu w Teheranie, bo jak się okazało, wielką fanką wokalisty była ówczesna żona szacha). W końcu litanią narkotykowych wyczynów i skandali oraz zdrowotnym reżimem zapewnianym artyście doskonałą kondycję.

My z okazji 80. urodzin gwiazdora postanowiliśmy przypatrzeć mu się przez barwny, wieloznaczny, fascynujący pryzmat ośmiu (tylko ośmiu, bo pewnie i osiemdziesiąt by nie wystarczyło, żeby namalować jego portret) jego piosenek. A wy za co lubicie Micka Jaggera?

„Nadchodzi burza, która zagraża mojemu życiu, / Jeśli nie znajdę schronienia, to będzie mój koniec” („Gimme Shelter”). Jagger w panteonie muzyki popularnej wyśpiewał sobie miejsce dziesiątkami piosenek. Ale nie ma chyba dla niego ważniejszej, takiej, z której bardziej byłby dumny, takiej, która wciąż wywołuje u niego silne emocje, niż „Gimme Shelter”. To jedna z tych wybitnych kompozycji, w których poznajemy Jaggera nie jako króla rozrywki, mistrza imprezy, rockandrollowego derwisza, tylko kogoś, kto baczenie przygląda się płonącemu wokół świata i bije na alarm. W jego głosie, pięknie splecionym z głosem wokalistki Merry Clayton, nie słychać tej charakterystycznej dla Jaggera, ujmującej buty. Jest za to cała paleta smutku, niepewności, strachu, troski. Kiedy ją nagrywał, miał zaledwie 26 lat. W późniejszych wywiadach przyznawał, że to piosenka o końcu świata, o apokalipsie. Mimo to jest w „Gimme Shelter” nadzieja, promyk światła. Nic dziwnego więc, że utwór wywoływał potężne wrażenie, kiedy powstał w burzliwej końcówce lat 60., wywołując potężne wrażenie dziś, kiedy apokalipsa jest coraz bliżej nas. I jeśli „Gimme Shelter” to ostatnia rzecz, jaką mielibyśmy usłyszeć, to przynajmniej pożegnamy się w wielkim stylu.

„Pozwólcie, że się przedstawię, / Jestem człowiekiem o wielkim bogactwie i wysublimowanym smaku, / Jestem wśród was od wielu, wielu lat, / Niejednemu skradłem duszę i wiarę” („Sympathy for

the Devil”). Niegrzeczny magnetyzm Jaggera to temat rozpraw naukowych. Niektórzy obrońcy moralności grzmieli z oburzenia, czytając już same tytuły piosenek. U innych popłoch wzbudzało jego bogate w wysoki życie prywatne. Jeszcze inni z przerażeniem patrzyli na jego jedyne w swoim rodzaju tańce i harce na scenie, które rozpały serca i wyobraźnię, wywołując podobno u niektórych mężczyzn seksualne zakłopotanie. Krótko mówiąc, Jagger, jako ikona rocka, często obracał powszechne zasady moralności w pył. Ale był wzorem dla wielu przyszłych gwiazd. David Bowie wyznał kiedyś, że za młodu marzył, żeby być jak Mick Jagger, a magazyn „Billboard” w artykule sprzed kilku lat zastanawiał się, czy bez Jaggera, jego stylu, seksualności i seksowności w ogóle powstałby współczesny wzór rockowej gwiazdy. Dziś Jagger już nikogo nie straszy, obrońcy moralności znaleźli sobie nowych wrogów, z którymi toczą zażarte, z góry skazane na porażkę boje.

Jeśli „Gimme Shelter” to ostatnia rzecz, jaką mielibyśmy usłyszeć, to przynajmniej pożegnamy się w wielkim stylu

„Nie da się nas pokonać biciem, nie da się nas zastraszyć słowami, nie da się nas omamić oszustwem („Ventilator Blues”). Małe ćwiczenie. Wyobraźmy sobie, że nie ma takich piosenek, jak „Gimme Shelter”, „Angie”, „(I Can’t Get No) Satisfaction”, „Paint it Black” czy „Wild Horses”. Trochę to straszna perspektywa, ale ograniczając się jednak tylko do hitów, można przeoczyć wiele skarbów, w których talent Jaggera lśni jak złoto. Na przykład „Ventilator Blues”, piosenka z płyty „Exile on Main St.” z 1972 roku. To smolisty, duszny, tocący się wolno blues, w którym głos Jaggera brzmi szorstko, zadziornie. Słychać w niej, jak wiele Stonesi zawdzięczają artystom, na których się wychowali, od Muddy’ego Watersa po Howlin’ Wolfa. Co ciekawe – na żywo „Ventilator Blues” wybrzmiał podobno tylko raz, podczas koncertu w 1972 roku. Przy całym swoim geniuszu muzykom nigdy później nie udało się wywołać tego bluesowego ducha, który ich natchnął do skomponowania utworu.

„Wiem, że to tylko rock’n’roll, ale i tak to lubię” („State of Shock” i „It’s Only Rock’n Roll (But I Like It”). Mick Jagger na scenie wygląda jak dzieciak wpuszczony do największego sklepu z zabawkami. Roznosi go radość, przepelnia ciekawość. Świetnie czuje się wśród współtowarzyszy z zespołu, doskonale też odnajduje się w towarzystwie innych wielkich artystów. A jak wielką mu to sprawia frajdę, widać choćby w nagraniu z „Live Aid”, gdzie wspólnie z królową Tiną Turner wykonał splecio-

ne w jedno piosenki „State of Shock” i „It’s Only Rock’n Roll (But I Like It)”. By opisać chemię między tą parą, nie starczyłoby tablicy Mendelejewa!

„Modłę się, żeby wszystko skończyło się dobrze” („Under My Thumb”). Altamont Speedway Free Festival odbył się 6 grudnia 1969 roku w Kalifornii. I był jednym z najczarniejszych, najgorszych dni w życiu Jaggera i rock’n’rolla. To miało być wielkie święto muzyki, w programie były koncerty Santany, Jefferson Airplane, Flying Burrito Brothers, Crosby, Stills, Nash & Young, The Grateful Dead oraz The Rolling Stones. Od samego początku jednak cały festiwal naznaczony był przemocą, która z każdą kolejną minutą stawała się coraz bardziej paskudna. Rock nie lagodził obyczajów, działał jak katalizator. Tego wieczoru zginęły cztery osoby: dwie potrącone przez samochód, jedna z przedawkowania narkotyków, jedna zamordowana przez zatrudnionych do pilnowania porządku

inni artyści, np. zespół Maroon 5 w piosence „Moves Like Jagger”. Wyśpiewany (i wytańczony wspólnie z Davidem Bowiem) w połowie lat 80. „Dancing in the Street” to jeden z największych hitów Jaggera poza Stonesami. Panowie wzięli na warsztat kompozycję, która już 20 lat wcześniej stała się arcypopularna dzięki grupie Martha and the Vandellas, i uczynili z niej własną piosenkę, która hulała po listach przebojów. Zagorzała miłość do tańca to też jeden z sekretów długowieczności artysty i jego doskonałej kondycji – której osiemdziesięciolatki mogą, a często powinni, zazdrościć ludzie o połowę od niego młodszy.

„Życie było tak piękne, / Potem zakazano nam wychodzić, / Czuję się jak duch, / Zamieszkuje miasto duchów” („Living in a Ghost Town”). Jeśli rock’n’roll cię nie zabije, to cię wzmocni. To wielki paradoks muzyki, która czerpie z młodości, ale często i prowadzi ku zgnębieniu. Niektórzy sarkają i kręcą nosem, widząc starszych już panów, którzy rockandrollowy ogień lat młodzieńczych przekuli w dostatnie życie zapewniające spokojną starość. Ich prawo nie lubię Jaggera, Richardsa, ale też i Iggy’ego Popy, Paula McCartneya czy Rogera Daltreya. Kiedy jednak dwa lata temu świat ogarnęła pandemia i szlag trafił wszelki porządek rzeczy, to wielu ludzi znalazło ukojenie, pocieszenie, oparcie w pierwszej od prawie dekady nowej piosence, którą wyczarowali Jagger z Richardsem. Choć to utwór wcale niewesoły, dobrze było usłyszeć głos Jaggera, dobrze było poczuć, że są rzeczy trwale, niezmiennie.

„Kochanie wróć, choćby i za tydzień, / Czy nie widzisz, że trafiłem na złą paszę?” („(I Can’t Get No) Satisfaction”). To ulubiona piosenka nie tylko fanów (m.in. numer 1 według czytelników „Wyborczej”), ale i Charliego Wattsa, który wspominał, że podczas koncertów publiczność tak głośno śpiewała razem z zespołem ten przebój, że w ogóle nie słyszał stojącego nieopodal Micka Jaggera. Watts, siedząc z tyłu, za perkusją, widział, jak Jagger niczym rockandrollowy feniks się w tej piosence spala i odradza, jak zatracca się w niej i jak prowadzi tłumy do zatracenia, jak proste, banalne słowa refrenu w wybuchowym, zawiadającym wykonaniu Jaggera nabierają rangi hymnu kolejnych już pokoleń. W tym utworze, zwłaszcza w wersji na żywo, widać cały sceniczny geniusz Jaggera, jego niezwykłość, potęgę. Powstała w 1965 roku piosenka była pierwszym hitem zespołu i katapultowała go w gwiazdy. Według portalu serlist.fm Stonesi zagrali ten przebój prawie tysiąc razy. Z okazji urodzin niech Jagger śpiewa ją kolejne tysiące, dla swojej i fanów satysfakcji. ●

„To zaproszenie dla wszystkich, / Okazja, by się spotkać, śmiać, śpiewać, / Tańczyć na ulicy” („Dancing in the Street”). Gdyby zasłonić mu twarz, wyciszyc muzykę i pozostawić na ekranie tylko tańczącą postać, to i tak 10 na 10 fanów rocka odgadłoby, że ma przed sobą Micka Jaggera. Owszem, Jagger przede wszystkim wyśpiewał sobie nieśmiertelność, ale również i ją sobie wytańczył. Jest jednym z tych artystów – obok Michaela Jacksona, Iggy’ego Popy, Jamesa Browna – których ruchy na scenie są natychmiast rozpoznawalne. Ruchów Jaggera można nauczyć się na youtube’owych kursach tańca, śpiewają o nich (ruchach, nie kursach rzecz jasna)



• Mick Jagger w wiedeńskim hotelu, 1973 rok

FOT. ROGER BAMBER / ALAMY STOCK PHOTO

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Autorem wielu haseł jest **Marcin Szubski**

BUDUJEMY

22 lipca 1944 roku w Chełmie ogłoszono Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Lokalizacja tegoż wydarzenia jest dyskusyjna, bowiem manifest faktycznie upubliczniono 22 lipca 1944 roku, ale nie w Chełmie, a w Moskwie. Jego treść zatwierdził i podpisał wcześniej Józef Stalin, a ogłoszono go na antenie Radia Moskwa.

Niechlubny ów dokument stwierdzał, że jedynym źródłem legalnej władzy w Polsce jest Krajowa Rada Narodowa, Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie, będący rzeczą jasną legalną kontynuacją władz II RP, uznano za nielegalny, a konstytucję z 1935 roku (tzw. konstytucję styczniową) – za bezprawną.

Rok później KRN ustanowiła dzień 22 lipca Narodowym Świętem Odrodzenia Polski. Świętowanie trwało do 1989 roku – 6 kwietnia 1990 pożegnaliśmy je bez żalu.

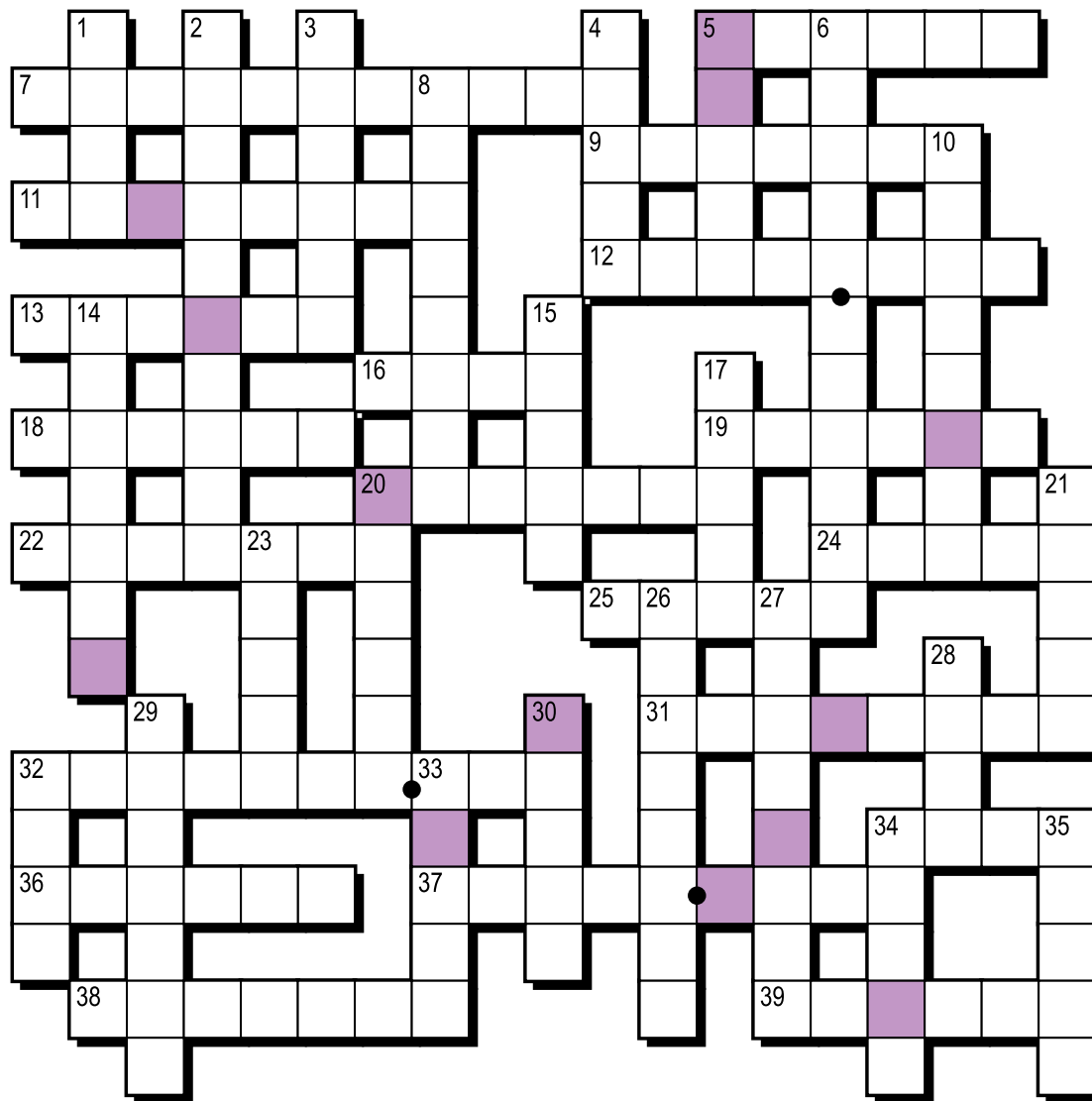
Ale przez ten czas najważniejsze narodowe święto Polski Ludowej zdążyło stać się oficjalną datą oddania do publicznego użytku wielu legendarnych rodzimych obiektów. Wszak nie ma to jak uczcić taki dzień okazałą inauguracją.

I tak w 1946 roku w Warszawie oddano do użytku odbudowany po II wojnie świątowej most Księcia Józefa Poniatowskiego, trzy lata później Trasy W-Z, a w 1950 roku Marszałkowską Dzielnicę Mieszkanio-wą. W 1955 roku, na dziesięciolecie rocznicy „odrodzenia Polski” pochwalono się aż dwoma nowymi obiektami – Pałacem Kultury i Nauki, darem narodu radzieckiego dla narodu polskiego, oraz Stadionem Dziesięciolecia. W 1962 roku uczczono święto nowym kinem „Luna”, zaś w 1974 roku mostem Łazienkowskim.

Ale nie tylko stolica była „beneficjentem” 22 lipca. W Krakowie, w Hucie im Lenina dokonano pierwszego spustu surówki z wielkiego pieca (1954), w Chorzowie otwarto Stadion Śląski (1956), w Białymstoku – Stadion Miejski, w Gdańsku – Port Północny (1974), zaś w Lubinie – stadion Górniczego Ośrodka Sportu, naprawdę wielki obiekt z charakterystycznymi głębokimi bramkami, na którym grali piłkarze Zagłębia Lubin (stali widzowie ekstraklasy na pewno te bramki pamiętają).

Dlatego dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy różnym polskim budowlom, charakterystycznym, znanym, rozpoznawalnym. A o pomoc w ułożeniu pytań do krzyżówki poprosiliśmy – po raz kolejny – Marcina Szubskiego, warszawskiego architekta, który współpracował i współpracuje z wiodącymi pracownikami architektonicznymi w kraju. Powodzenia i udanej podróży! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 61 z 15.07:

Poziomo:

- 4) Sulima 7) nagi miecz
- 10) sztandar
- 11) Sienkiewicz
- 13) aleja 14) plac
- 15) Kuno 17) jezioro
- 18) powiat 20) zwycięzca
- 22) Bogurodzica
- 25) komtur 27) mitra
- 28) zastępy 31) kochanek
- 33) mury 34) No To Co
- 35) Ruda Śląska 36) kości

Pionowo:

- 1) Jagiellonowie
- 2) Winnicki 3) lipiec
- 5) las 6) Matejko
- 8) Związek 9) zakon
- 12) Zawisza 15) księstwo
- 16) obraz 19) tron
- 21) Ciołek 23) Ulrich
- 24) Zbyszko 26) rycerze
- 28) Zyndram 29) pomnik
- 30) okrzyk 32) czerni
- 33) most.

HASŁO:
MALBORSKI ZAMEK

BUDOWLE

Hasła Marcina Szubskiego oznaczono inicjałami (M.S.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 5) miasto z ratuszem z trykającymi się koziołkami
- 7) rękodzieło lub tódzkie centrum handlowe (M.S.)
- 9) miasto z zamkiem wpisanym na listę UNESCO (M.S.)
- 11) budynki kojarzone z katowickim Nikiszowcem
- 12) organizowane w sopockiej Operze Leśnej lub katowickim Spodku (M.S.)
- 13) nadbałtyckie miasto z dwoma wieżowcami Sea Towers

- 16) pod mostem Grunwaldzkim we Wrocławiu
- 18) Kraka, Wandy, Kościuszki lub Piłsudskiego (M.S.)
- 19) wielkopolskie miasto z okazałą rezydencją Działyńskich
- 20) wawelska świątynia św. Stanisława i św. Wacława
- 22) nie zdobyli Jasnej Góry
- 24) najważniejsza część Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie
- 25) Floriańska w Krakowie i Krakowska w Lublinie (wpisujemy w liczbie mnogiej)
- 31) biało-czerwony stadion stolicy (M.S.)
- 32) akwen, w pobliżu którego znajduje się Wozownia – najstarsze istniejące schronisko w Tatrach Polskich

- 34) ...Śląski w Chorzowie, z planetarium
- 36) z największą bazyliką w Polsce powstałą w latach 1994-2004 (M.S.)
- 37) bydgoska mekka melomanów
- 38) w Poznaniu z koziołkami i zegarem w Tarnowie (M.S.)
- 39) obiekty takie jak ten im. Juliusza Słowackiego w Krakowie lub Opera Narodowa w Warszawie

Pionowo:

- 1) Stulecia (dawniej Ludowa) – we Wrocławiu
- 2) budynek z kramami na krakowskim rynku (M.S.)
- 3) kojarzy się z Soliną
- 4) Czocha, Książ lub Krzyżtopór

- 5) stołeczne Muzeum Historii Żydów Polskich
- 6) galeria handlowa w sąsiedztwie dworca Warszawa Centralna
- 8) ...Modlin, u zbiegu Wisły, Narwi i Wkry
- 10) miasto z wysokościowcem Skyline, biurami KTW, budynkami MCK i NOSPR (M.S.)
- 14) Gdańsk Główny (eklektyczny) lub Poznań Główny (żartobliwie nazywany Chlebakiem)
- 15) wzgórze z Kaplicą Zygmuntowską
- 17) Zamek Pieskowa..., na terenie Ojcowskiego Parku Narodowego
- 20) stolica województwa świętokrzyskiego z Pałacem Biskupów Krakowskich (M.S.)

- 21) góry ze schroniskiem Murowaniec
- 23) Krzywy – przy sopockim Monciaku
- 26) styl architektoniczny poznańskiego ratusza
- 27) zaprojektowany przez Tadeusza Stefańskiego, Jerzego Skrzypczaka i Andrzeja Bielobradka (M.S.)
- 28) dzielnica z osiedlem Kofo i Syrenką Picassa (M.S.)
- 29) z drapaczem chmur Sky Tower, rotundą „Panorama Raclawickiej”
- 30) ...Pod Różą, najstarszy w Krakowie
- 32) duma Sopotu
- 33) z amfiteatrem na wyspie Pasieka
- 34) P w skrótownicy PKiN
- 35) Święty..., z Kłasztorem Misjonarzy Oblatów

Leszek Rydz

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store** / **GOOGLE PLAY**